

Ewa Lach jest autorką następujących książek dla dzieci starszych i młodzieży:
Zielona banda - 1961 Kosmobikanie - 1962, 1967, 1970 Na latającym dywanie - 1963 Kryptonim
Czarna Morwa - 1968 Klub Kosmohikanów - 1972 Przygrywka - 1975
Romeo, Julia i błąd szeryfa - 1976, 1979 Andrzejki - 1981

Ewa Lach

Klub Kosmohikanów 1990

© Copyright by Ewa Lach, Warszawa 1972 ISBN 83-07-00874-3

Wakacje skończone

- Mam przecucie, że to nasze ostatnie kosmohikańskie lato - mruknął ponuro Zbyszek zerkając w stronę wyciągniętego na nadrzecznym piachu Michała. Wódz Atomowy Tomahawk zawiesił pióropusz na najbliższej gałęzi, na nos włożył przeciwsłoneczne okulary i zatonął w lekturze „Problemów”.

Gośka zdziwiła się nieco, nie posądzała brata o skłonność do refleksji. Sama wiedziała o tym od dawna, od pierwszego dnia pobytu w „Cichatce”, i może dlatego oddawała się każdej zabawie bez reszty, pełna nowych, zwariowanych pomysłów, rozbrykana i swobodna jak nigdy dotąd. Przeżyli cudowny lipiec. A tak z początku kręcili nosami, gdy tato zapłonął entuzjazmem dla odkrywania Głuchej Prowincji i zamiast jak co roku nad morze czy w góry, przytaskał rodzinę gdzieś w środek mapy, do źródeł Noteci. Tu, na bezludziu, ukryli swój letni domek zaprzyjaźnieni z Borzęckimi państwo Filipiakowie z Poznania. „Cichatka” tak przypadła do gustu Kosmohika-nom, że nie mogli się zdecydować na powrót do cywilizacji, uknuli więc subtelną intrygę, dzięki której przybyli na sierpień właściciele ustronia zapragnęli gorąco poopieko-wać się nimi jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie. Rodzice odetchnęli z ulgą i wyjechali czym prędzej, podrzucając Filipiakom także i Jarka Marcinowskiego, powierzonego im na wakacje przez matkę.

- No, popatrz na niego - mruczał dalej Zbyszek, zły na Michała o zlekceważenie jego wspaniałego pomysłu nocnego napadu na leśniczówkę, oddaloną od „Cichatki” o jakieś pięć kilometrów. - Lada dzień zacznie zadzierać nosa, dorosły licealista. Szczęściarzu, uciekł przed ósmą klasą i tylko czekać, jak zacznie nas traktować w stylu „jawwaszymwiekuhoho”!

5

- Cóż, czas leci - zauważyła filozoficznie Gośka. - A Jarka jeszcze nie widać - dodała obserwując ścieżkę, którą raz dziennie dyżurny posłaniec przywoził na rowerze zakupy oraz wieści ze świata. Leżakująca nie opodał pani Filipiakowa także nie mogła się doczekać poczty i Gośka starała się nie domyślać, jakiej treści list od rodziców byłby tu najmilej widziany. Zaczął się bowiem drugi tydzień ujarzmiania Wolnych Ludzi Puszczy i tylko mała Madzia cieszyła się szczerze z posiadania „rodzeństwa”.

Trudno, nie wszyscy dorośli mają dostateczne kwalifikacje na rodziców wielodzietnych, co nie każdy niedorosły potrafi w porę zrozumieć.

Z tranzystora przy leżaku popłynął hejnał mariacki, pani Filipiakowa uznała, że trzeba podać dzieciom lekki posiłek. Gdy krzątała się po kuchence, na polankę wyjechał z lasu Jarek. Adzik i Madzia zaraz go otoczyli wyrывая torbę z zakupami, zagarnęli też listy. Jarek oparł rower o ścianę domku, chwilę przy nim pomajstrował, wreszcie powoli zbliżył się do rzeki i usiadł w trawie obok Zbyszka. Milczał patrząc nieruchomo na drugi brzeg. Gośka wyczuła, że coś się stało.

- Adzik! Gdzie poczta? - ocknął się Michał. Najmłodszy nie zareagował, nadał się tylko. - Prawda, ty się już uważasz za Andrzeja, przepraszam.

- List jest do Gośki - podkreślił najmłodszy. - Proszę. Mama poważnym tonem zaapelowała do taktu córki,

nakłaniając do szybkiego przyjazdu. Krótko, jasno, tylko ostatnie zdanie zabrzmiało tajemniczo: „wasz szybki powrót jest konieczny ze względu na dobro Jarka”.

- Hm... - Gośka spojrzała niepewnie na Jarka. Chłopiec nie zmienił pozycji ani wyrazu twarzy. Bracia nic nie zauważyli. Przysunęła się bliżej i spytała przyciszonym głosem: - Możesz powiedzieć, co się stało?

- Mogę... czemu nie? I tak się wszyscy dowiedzą -

odparł po chwili. Podniósł głos, starając się opanować jego drzenie: - Moja matka wyszła za męża. Zbyszek gwizdnął, Michał zmarszczył brwi. Gośka wyczuła, że nie można teraz milczeć, i zasypała Jarka pytaniami, przybierając możliwie neutralny ton:

- Kiedy? Gdzie? Znasz tego pana? Jak ci o tym oznajmiła?

Jarek odpowiadał automatycznie, wciąż wpatrzony w drugi brzeg rzeczki:

- Trzeciego sierpnia. W Jastarni. Ten... pan był tam na wczasach w zeszłym roku. Parę razy go widziałem... Teraz przyjechał na cały lipiec prywatnie i zamieszkał u nas. Z dziećmi.

Zbyszek znowu gwizdnął.

- Duże te dzieci? - spytała Gośka.

- Jeden ma dwanaście, a drugi osiem.

- No, to jesteś szefem bez ciężkich trudów odchowywania pędraków — zażartował Michał.

Docenili jego intencje, ale nikt się nie roześmiał.

Nad rzeczką pojawiła się promieniejąca pani Filipiakowa z tacą pełną smakołyków.

- No, wodzowie - rzekła przyjaźnie - zawieście wojenne obrady. Oto łupy do spożycia... Rodzice was odwołują? - spytała zmartwionym tonem, wskazując głową list, w który Gośka wciąż trzymała w ręce. - Do mnie też mamusia pisała, że macie zaraz wracać. Nie natychmiast, nie, ale w ciągu najbliższych trzech dni.

- Wyjedziemy jutro - postanowił Michał.

- Och, po co ten pośpiech! Mąż musi sprawdzić stan wozu, czegoś mu tam jak zawsze brakuje* trzeba też przygotować wam coś na drogę!

- Wyjedziemy jutro - powtórzyła Gośka.

- Ja nie chcę! - rozryczała się Madzia i złapała Adzika kurczowo za rękę. Zatupała: - Ja nie chcę!

Na zakręcie rzeczki wyrósł pan Filipiak, w pełnym,

błyszczącym nowością rybackim rynsztunku, brnąc w wodzie mniej więcej po łydki ogromnych gumowych butów. Niósł z gniewną miną puste wiaderko.

- Co to za koncerty? - spytał. - I tyle razy cię prosiłem, kotuniu, nie stawiajcie tranzystora nad wodą! Niesie kilometrami. Cztery pierwsze drobiazgi wypuściłem, bo Uczyłem na większe, a tu masz! Przepłoszyły się.

Kosmohikanie powstrzymali się od uwag. Wiedzą to i owo o rybołówstwie, czasem jednak nie trzeba rozwiewać złudzeń bliźniego.

- Spróbuj mojego nowego koktajlu, rybciu, pyszny! I Madziunia się napije grzecznie... napije się...

- szarpnęła ryczącą córkę i wspólnie z mężem zaciągnęli ją do „Ci-chatki”.

Kosmohikanie odprowadzili ich wzrokiem.

- Miałeś dobre przecucie - powiedziała Gośka do Zbyszka, ale brat już nie pamiętał, o czym mówił przed godziną.

Klub Kosmohikanów

Podróż z Warszawy do Bielska-Białej trwa wystarczająco długo, aby zebrać rozproszone myśli, jeszcze raz zastanowić się nad nową życiową sytuacją. Na zimno, logicznie.

Jarek wsiadł do pociągu pokrzepiony nieco, podniesiony na duchu przez żegnającą go serdecznie całą rodzinę Borzęckich, ale silnej woli i zimnych myśli starczyło za ledwie na pierwszą godzinę jazdy. Czuł ogromny żal do matki za brak zaufania. Wysłała go na wakacje jak smarkacza, nie porozmawiała poważnie, raczyła tylko zawiadomić, że ślub już się odbył... Napisała co prawda do niego długi, poważny list jeszcze w lipcu - data na stemplu pocztowym: 25.07 - ale do Warszawy, dokąd mieli wrócić zaraz po dwudziestym. Prosiła w tym liście, żeby się nie zatrzymywał u Borzęckich, lecz zaraz przyjeżdżał do Jastarni, czekają na niego niecierpliwie. Trudno, do „Cichatki” dotarł drugi list, wysłany już po fakcie. Czuły, serdeczny, ale zawsze... Nie, nie może darować matce tej... niespodzianki.

- Chłopcze, źle się czujesz? Głowa cię boli? - zatroskała się starsza pani siedząca naprzeciwko pod oknem. - Tu jest duszno, straszny upał. Może chcesz się przesiąść?

- Nie... dziękuję - Jarek zaczerwienił się mimo woli. Chwilę powiercił się na swym miejscu, wreszcie wyszedł na korytarz i stanął przy oknie. Usiłował skupić się na obserwacji przepływającego krajobrazu, lecz szybko wrócił do rozpamiętywania swego podłego losu. Doszedł już do najczarniejszych wniosków, gdy raptem przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Goską, w parku Łazienkowskim. Dziewczyna, zniecierpliwiona może przydługim ponurym milczeniem, powiedziała między innymi: „Człowieku, z miłości traci się głowę i w szesnastym, i w czter-

3

dziestym roku życia, jak sędzę! Matka na pewno chciała ci się wcześniej zwierzyć, tylko nie wiedziała, jak to zrobić. Wcale niełatwo jest dorosłym dogadać się z takimi ponurymi dryblasami, jak ty. Już o tym wiem, bo mam oczy na właściwym miejscu. Ty się też wreszcie rozejrzyj przytomnie dokoła. Byłeś strasznym egoistą, wiesz? Twoja matka jest jeszcze młoda, a przez całe dziesięć lat sama cię wychowywała i bała się bliżej z kimś zaprzyjaźnić, bo ty kręciłeś nosem na wszystkich kandydatów. Przypomnij sobie... Może tylko raz miałeś rację, z tym żonatym typem sprzed dwóch lat”.

E-go-is-ta, e-gois-ta... - stukały koła pociągu.

Przyznawał jej w duchu rację, ma się przecież te prawie dojrzałe czternaście lat na karku, ale resztki przekory kazały mu pomruczeć w szept:

- Łatwo Gośce rzucać mądre życiowe myśli. Sama dobrze trafiła, ma równych rodziców, braci...

Właśnie, bracia. Różnie się sprawy układają między rodzeństwem, co dopiero wśród przyfastrygowanych ni-by-braci. Żeby trafić na takich, jak młodzi Borzęccy! Solidarni, nigdy się razem nie nudzą, w razie potrzeby jedno za drugie w talarki da się pokrajać. Jarek podziwiał zwłaszcza Michała, który potrafił utrzymać autorytet wodza, choć od Gośki dzieli go tylko rok, a od buntowniczego z natury Zbyszka niecałe dwa lata. Nie narzuca się przy tym, sami go słuchają w ważniejszych sprawach. Postanowił brać z niego przykład.

Trzeba będzie z mety czymś malcom zaimponować, potem podtrzymać zainteresowanie jakąś dłuższą hecą. Na początek założy klub... Klub Kosmohikanów! Wypróbuje w nim wszystkie zabawy, jakie przeżył z Borzęckimi, a potem przyjdą własne pomysły. Może nie będzie źle? Podniecony planami rodzinnej kampanii, spacerował po korytarzu tam i z powrotem, potem zwiedził cały pociąg, z wagonem restauracyjnym włącznie. Uspokoił się, poweselał. Znowu miał minę twardego, zimnego czło-

10

wieka, który niejedno w życiu widział i wiele jeszcze może zdziałać. Nie da się, udowodni Kosmohikanom, że potrafi być ozdobą ich plemienia. Zwłaszcza Gośce. Niech jej się nie wydaje, że musi się nim opiekować. „Zaraz napisz, jak coś będzie nie tak!” - przykazała na pożegnanie.

Akurat, będzie jej głowę zawracał, samemu trzeba walczyć z kłopotami.

Gośka... Dziewczyna-kumpel. Szczupła, zgrabna sylwetka, zwinne ruchy. Pełna pomysłów. Mądra. Szaronie-bieskie bystre oczy, czarna gęsta czupryna, ostrzyżona jak chłopak... Nie, tak było dawniej, na te wakacje wystąpiła z włosami do ramion. Ładna.

Jarek niemal ją ujrzał w szybie wagonowego okna, na tle szybko zmieniającego się krajobrazu. Poczł się dziwnie. Do licha, czyżby się na dobitkę zakochał, i to nieszczęśliwie, bo przestrzeń między nim a dziewczyną wzrasta nieubłaganie! Czas im też nie sprzyja, spotkają się może za rok, a i to nie wiadomo.

Wrócił do przedziału. Troskliwa sąsiadka spojrzała na niego badawczo i spytała:

- No i jak się czujesz, młodzieńcze? Może to zęby? Wciąż blade wyglądasz.

- Dziękuję... nic mi nie jest - odburknął niezbyt grzecznie i dał jej do zrozumienia, że zatapia się w myślach, musi więc mieć spokój.

Do samego Bielska nikt mu już więcej nie przeszkadzał.

Ładnie się zapowiada

- No tak. Niespodzianki podobno upiększają życie -mruknął, gdy po kilku minutach alarmowego dzwonięcia drzwi z wizytówką „inż. Stefan Konior” ani drgnęły. Postawił bagaż pod ścianą i rozejrzył się po klatce schodowej z miną lekko zniecierpliwionego turysty, któremu tak znów bardzo nie zależy na mieszkańcach spod numeru czwartego, gdzie indziej też przecież można miło

spędzić wieczór. Zagwizdał nawet jakąś wesołą melodyjkę, na co za drzwiami sąsiadów („Bronisław Awiejski, lek. dentysta”) rozległ się natychmiast cienki psi jazgot. Jarek przestał gwizdać i zawarczał możliwie najbardziej buldogo-wato. Jazgot wzmógł się do granic odporności słuchu ludzkiego, klamka szczęknęła i na korytarz wysunął się nos wściekłego ratlerka oraz dwie babskie twarze, jedna smarkata, druga trochę starsza, obie z jasnymi grzywkami.

- No i czemu straszysz psa? - powiedziała starsza, gniewnie wydymając usta. - Zabawę sobie znalazł, dowcipniś! - zatrzasnęła drzwi, uprzednio dokładnie obejrzawszy chłopca. Młodsza też miała ciekawską minę, ale musiała skupiać uwagę na wierzgającym ratlerku.

Jarek wzruszył ramionami, zszedł na półpiętro i usiadł na parapecie okna. Podwórko tonęło już w mroku, coraz więcej światła w oknach zapalało się na wprost, z prawej i lewej strony - cóż, miasto. Nadmorskie sosny wokół małego domku znikły bezpowrotnie z codziennego krajobrazu.

Drzwi mieszkania dentysty znowu się otworzyły i starsza z dziewcząt zbiegła po schodach z kubelkiem w ręku. Po obojętnej minie, z jaką przeszła obok Jarka, każda inna kobieta w jej wieku poznałaby od razu, że ten spacer ze

12

śmieciami został zaaranżowany na cześć nieznanego, ale on oczywiście nic nie spostrzegł. Od stóp do głów uzbrojony w cierpliwość, oddał się czekaniu na dalszy rozwój wypadków, starając się według recepty Goški myśleć o samych przyjemnych wydarzeniach tegorocznych wakacji.

Sąsiadka wracała nieco wolniejszym krokiem, lecz cały efekt zepsuł jej schodzący z góry starszy mężczyzna, któremu musiała się uklonąć. Przez dłuższą chwilę nikt Jarkowi nie przeszkadzał w kontemplacji niedalekiej przeszłości, pełnej Goški śmiechu, Goški pomysłów i powiedzonek, kosmohikańskich leśnych przygód. Gdy poczuł, że za chwilę wpadnie w niemęską melancholię, wstał i zaczął zwiedzać dokładnie teren swych najbliższych życiowych działań. Liczył kolorowe szybki w oknach klatki schodowej, ścigał za sobą windę z piętra na piętro, próbował zamkniętych na klucz drzwi, prowadzących z korytarza na balkony od strony podwórza, zastukał konspiracyjnie na strych. Chciał też zwiedzić piwnice, ale przepłoszyła go tęga niewiasta o niezbyt przyjaznym wyrazie rumianej twarzy.

- Czego tu szukasz? - spytała tarasując równocześnie obie drogi ucieczki: do sieni i na górę.

- Dobry wieczór - powiedział prędko na wszelki wypadek. Przełknął ślinę i przedstawił najniewinniejszą wersję: - Chciałem jeszcze raz sprawdzić w spisie lokatorów, czy się nie pomyliłem. Bo ja tu będę mieszkał.

- U kogo? - kobieta ujęła się pod boki, umacniając pozycje.

- U inżyniera Koniora.

- Aha, to ty jesteś ten jego nowy synek - kiwnęła głową i zaznaczyła ostrzegawczo: - Tu jest porządna kamienica, zapamiętaj sobie. Żadnych rozróbek na schodach. Inżyniera, nie inżyniera, każdy łobuz oberwie w razie czego -zakończyła już na progu mieszkania opatrzonego wizytówką „W. Tuba” oraz tabliczką „dozorca”.

13

Jarek zrobił Kosmohikańską Minę Nr 7 w kierunku tych drzwi, ale błyskawicznie musiał ją zmienić na Zerowy Uśmiech Towarzyski, bo dozorczyńni wyjrzała jeszcze raz.

- A Komorowie jeszcze z letniska nie wrócili - poinformowała, wciąż trochę podejrzliwie lustrując wykrzywioną twarz nowego lokatora. Odechciało mu się wszystkich min, może nawet przybladł nieco, bo kobieta już łagodniej dorzuciła: - Babka chyba została, siądź sobie na podwórzu i zaczekaj, aż wróci z plotek.

- Dziękuję pani! - zdążył zawołać, zanim trzasnęła drzwiami.

To było na razie najrozsądniejsze, co mógł zrobić, zaniósł więc bagaż na podwórko, odkrył za trzema nędznymi krzewinami wygodną ławkę, obliczył, które okna mogą należeć do jego nowego mieszkania, i popatrywał w nie przez godzinę albo i dłużej, wyobrażając sobie nocleg pod gołym niebem. Nie miałby nic przeciwko spędzeniu nocy na przykład w parku, wygodnie w zaroślach w pobliżu ławki, na której usiadłoby dwóch aferzystów lub szpiegów omawiających szczegóły kolejnej akcji. Wyobraźnia trochę go poniosła, aż do szpitala, w którym walczyliby ze śmiercią po próbie udaremnienia bandytom wykonania niecnego czynu lub po ucieczce z ich niewoli, potem

zamarzyły mu się łamy gazet i ekran telewizyjny... i - Dziecinada! - otrząsnął się w końcu. Spojrzał w okna: ktoś już był w mieszkaniu. Potwierdziła to butelka na mleko wystawiona koło wycieraczki. Zadzwoił, jakoś niepewnie, urywanie.

- Kto tam? - damski obcy głos.

Podał imię, nazwisko. Zabrzęczał łańcuch, w szparze ukazało się oko.

- Nie dosłyszałam. Kto?

Powtórzył i kobieta otworzyła szeroko drzwi.

- Ach, to ty! Co za pech, że syn musiał jeszcze jeden dzień zostać na delegacji i dopiero jutro przywiezie rodzinę z letniska. Oba telegramy przysłyły jednocześnie, o -

14

sięgnęła ręką do kieszeni żakietu - właśnie je wyjęłam ze skrzynki. Długo czekasz? Chodź do kuchni, zjesz coś przed snem.

- Nie jestem głodny - skłamał honorowo i głupio, ale i tak przygotowała herbatę, chleb z dżemem, ser.

- Kolacja mało wytworna, pan wybacz - zażartowała, jakoś z wysiłkiem i wcale niewesoło. -

Matka chciała upiec ciasto na twój przyjazd, a ty jesteś wcześniej.

, Nie miała prawdopodobnie złych intencji, lecz Jarek poczuł się jak niepożądany gość. Bez apetytu kończył kolację odpowiadając monosylabami na nieliczne zresztą pytania starszej pani. Chciała tylko wiedzieć, ile chłopiec ma lat, czy pamięta ojca i do której klasy pójdzie, że pewno czuje się zmęczony podróżą, i wstała, aby przygotować mu wannę do kąpieli. Kiedy się umył, zaprowadziła go do sporego pokoju obok kuchni i zaczęła usprawiedliwiać się jako gospodyni:

- Straszny tu bałagan, ale to po malarzach, nie miałam siły wszystkiego poustawiać. Prześpij się na tapczanie Bogusia. Syn zamówił trzeci dla ciebie, ale jeszcze nie odebrał... Rzeczy powykładaj na krzesło albo na stolik, jutro się rozgościsz w szafie... Dobranoc, Jacku.

- Dobranoc. Mam na imię Jarek - sprostował grzecznie, ale chyba nie dosłyszała.

„Wszystko jedno, jak cię tam przyjmą, nowa sytuacja i nowi ludzie są zawsze ciekawi. Każdy człowiek to przygoda” - przypomniał sobie ostatnie słowa Gośki na warszawskim dworcu.

- Postaram się nie wykopywać topora wojennego przeciwko Nowej Babci. Niech mi tylko pułapek na ścieżce nie stawia - zamruczał wierząc się na wysuniętym skośnie na środek pokoju tapczanie.

Długo tak się przewracał z boku na bok, zanim wreszcie zasnął.

Rozpoznanie - Może być interesująco

Leżąca w centrum miasta ulica Kamienna powstała z dwóch odcinków połączonych pod niemal prostym kątem. Starszy, pokryty nierównym brukiem, obudowany wysokimi, ciemnoszarymi kamienicami, był kiedyś zaułkiem zamkniętym bramą niewielkiej fabryczki włókienniczej. Nowszy powstał tuż przed wojną przez wyburzenie kilku ruder czynszowych, jest znacznie szerszy, wyasfaltowany, trochę weselszy, choć także bez najmniejszego skrawka zieleni.

- Rzeczywiście kamień na kamieniu - mrucał do siebie Jarek, niezbyt zachwycony nowym otoczeniem. Szybko zarejestrował w pamięci wszystkie nieliczne osobliwości ulicy: cukierenka „Cichy Kącik”, brama z pomalowanych na zielono desek, wiodąca na jakieś większe podwórze, obok żelazna brama fabryczki - w starszej części; dom pokryty rusztowaniami, pralnia i magiel, artystyczna ce-rownia, zakład mechaniki precyzyjnej, sklep z artykułami żelaznymi, fotograf, szewc

- na nowszym odcinku. Postąpił chwilę na rogu Bohaterów Warszawy i ruszył dalej zwiedzać miasto.

Zrobił spore koło, więc gdy wrócił na plac przed teatrem, miał ochotę posiedzieć przez chwilę obok fontanny, lecz nagle wydało mu się, że jest już późno, a matka miała przyjechać koło południa. Zerwał się i podszedł do sąsiedniej ławki, na której jakaś dziewczyna w jaskrawych kraciastych spodniach i butach z błyszczącymi klamerkami czytała szeroko rozłożoną gazetę.

Sklonił się lekko w stronę widocznych zza gazety długich, pięknie utrzymanych blond włosów i spytał:

- Przepraszam panią, która godzina?

Siedzący na drugim końcu ławki dwaj chłopcy zarechotali radośnie, gazeta drgnęła, opuściła się powoli i Jarek

IG

ujrzał pryszczate nieco oblicze piętnasto—szesnastolatka.

- Patrzcie, taki młody i już podrywacz! - zapiszczał falsetem i dodał zachrypniętym barytonem marszcząc brew: - Odpalaj stąd, ale już!

- Pobawić się z nim? - spytał usłużnie niższy z tamtych dwóch.

- Szkoda energii - złotoloki wrócił do lektury. Asystenci jeszcze raz zarechotali.

- Oczęta byś staranniej mył co rano! - zaproponował cieńszy odchodzącemu Jarkowi i nastawił trzymany na kolanach tranzystor.

W drzwiach mieszkania Jarek zastał kartkę od pani Leokadii: „Jeszcze nie przyjechali. Jestem w sklepie”. Posiedział więc trochę na podwórku, potem znów ruszył do miasta, z coraz większym apetytem zerkając na wystawy sklepów spożywczych i w okna restauracji - południe już na pewno minęło. Znalazł w kieszeni dwa złote, a że przechodził akurat obok małej cukierni na wzgórzu pod zamkiem, przełamał swą męską pogardę dla wstępowania na ciasteczko i postanowił kupić jakiś solidny rogal z marmoladą. Gdy dochodził już w kolejce do kontuaru, zauważył przy stoliku pod ścianą trzy albo cztery wpatrzone weń smarkule, wśród nich starszą z córek dentysty, która skwapliwie i z głupim uśmiechem udzielała koleżankom informacji. Zaczzerwienił się, wpadł w lekką panikę, zamiast ciastka kupił lody i szybko wyszedł, wściekły na siebie i wszystkie baby. Odechciało mu się spacerów, poszedł prosto na Kamienną.

Zielona brama obok fabryki była tym razem otwarta. Na podwórzu, należącym do jakiegoś zakładu gastronomicznego, kobieta w białym fartuchu głośno wymyślała złotowłosemu młodzianowi w kraciastych spodniach, znajomemu Jarka ze skwerku.

- Wynoś się, p^{^j}»4arzam! - krzyczała. - Wstyd mi tylko robisz przy lu

Z okna zfclej f^{€ie}mtl Wyglądały rozbawione twarze

2 - Klub Kosmohikanér

17

dziewczyn, rozładowujący „Nyskę” mężczyźni też się uśmiechali. Klótnia już się widocznie kończyła, złotowłosey szedł w kierunku bramy, starając się zachować twarz, ale nie wytrzymał i wrzasnął:

- A zamknij się wreszcie! W domu pogadamy! - spostrzegł Jarka i oczy jeszcze bardziej zwęziły mu się ze złości. - Czego tu szukasz? Do „Baniałuki” na kukielki, tam się rozerwiesz! Albo do kina!

- warknął i spluwając odszedł parę kroków. Odwrócił się jeszcze i zapowiedział: -Jak mi jeszcze raz wpadniesz w oko, to się nie będę bawić w rozmówki angielskie.

- Spać nie będę z wrażenia - zaśmiał się Jarek z możliwie najzimniejszą pogardą.

Tamten nie odpowiedział, popatrzył tylko wymownie i poszedł wolniutko do „Cichego Kącika”, a Jarek pomyślał z trochę sztucznym entuzjazmem: „No, pierwsze kon-takciki już nawiązane! Miłe miasteczko”.

W domu znów zastał tylko panią Leokadię, bliską stadium przypominania sobie wszystkich większych wypadków samochodowych, o jakich czytała w prasie. Po skromnym obiedzie zabrała się do sprzątnięcia, by rozładować zdenerwowanie, a Jarka wysłała z dywanikami na podwórko, zwracając się do niego per „Jurku”, na co taktownie nie zareagował.

Na podwórku nie było nikogo, poza jakimś tłustawym chłopakiem, zajęтым naprawą młodzieżowego roweru, i burym kocurem wylegającym się na dachu śmietnika. Jarek położył dywaniki na ławce i wypróbował trzepak, włączając nań kilkoma zręcznymi ruchami. Posiedział na wyższej poprzeczce, oglądając ciasnawe podwórko, z trzech stron obudowane (kamienica miała dwie oficyny), z czwartej zagrodzone wysokim ceglastym murem. Gdyby nie trzy smętne krzaczki bzu i doniczki z kwiatami w kilku oknach, wzrok znużyłby się szybko jednostajną szarością. Dla dodania sobie animuszu Jarek postanowił sprawdzić siłę swych mięśni - zawisł na poprzeczce, opuszczał się

i podciągał, a gdy wykonywał właśnie jakiś skomplikowany zwrot własnego pomysłu, ktoś z dołu zapytał go uprzejmie:

- Przepraszam, czy ty koniecznie chcesz pierwszy trzepać? Bo ja mam tylko jeden dywan.

Spojrzał przez ramię - znowu jakaś smarkata, chuda, nijaka, z krzywo zaplecionym ciemnym warkoczem, przytłoczona ciężarem wielkiego dywanu. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Mogę po tobie. Nie pali się - westchnął i zeskoczył.

- Dziękuję.

Uprzejma mina dziewczynki zaczęła go irytować, niechętnym okiem śledził jej próby umieszczenia dywanu na trzepaku w taki sposób, żeby się nie brudził koniec już oczyszczony, wreszcie spytał:

- Nie lepiej zawiesić go na górnej poprzeczce?

- Nie dam rady go przerzucić - wyjaśniła spokojnie. Cóż, mężczyzna Jarek udał zgrabnie, że zawiesza na

gałązce magnoli szal kaszmirowy, choć mu coś w stawach barkowych chrupnęło, i powiedział prędko, uprzedzając kolejne podziękowanie:

- Pociągnij trochę do siebie, bo krzywo wisi...

- Nie tu! - sam szarpnął i raptem znalazł się na ziemi, przyduszony perską sfatygowaną imitacją.

- Oj, bardzo się potłukłeś?

- Nie żyję, jak widzisz - wygrzebał się niezgrabnie i jeszcze raz zawiesił kłopotliwy dywan na trzepaku.

- Niech się śmieje! - powiedziała prędko dziewczynka widząc, że Jarek odwrócił się gniewnie w stronę uradowanego widowiskiem grubaska z rowerem. - To Sławek, syn dozorca. Jego lepiej nie ruszać, bo ma strasznie wrażliwą matkę. Niejednego już zbiła. A Sławek jest spokojny, tylko trochę mazgaj.

- Są jacyś inni chłopcy w tej kamienicy? - spytał Jarek, wyraźnie niezadowolony z towarzystwa.

- Są, ale młodszy od ciebie. Jeden Marian Pawlas ma

19

siedemnaście, ale on się do nas nie miesza... Wkrótce ich wszystkich poznasz, wakacje się kończą - po krótkiej pauzie dodała ciszej: - Ja mam na imię Zosia.

- Jarek - przedstawił się mrukiwie. - Resztę znasz pewnie ze szczegółami, jak wszystkie ciekawskie sąsiadki.

Zabrzmiało to zjadliwie i dziewczynka umilkła. Skończyła trzepać swój dywan, spróbowała sama go zwinąć, co jej się nawet udało, założyła ciężar na ramię i powiedziała cicho, nie patrząc na chłopca:

- Ty też po jakimś czasie będziesz dużo wiedział o sąsiadach, nawet się specjalnie nimi nie interesując. Trudno inaczej.

W sieni rozległo się nagle triumfalne wycie indiańskie, zadrżały schody. W oknie korytarza dostrzegł Jarek dwóch wymachujących kijami chłopców, za nimi przesunęły się sylwetki rudowłosej kobiety i wysokiego mężczyzny. Gwałtowny dzwonek, trzask drzwi.

- Twój przyjechali - stwierdziła Zosia.

Jarek poczerwieniał i odwrócił oczy. Nie poznał matki.

Klub klubowi nierówny

Ostatni tydzień sierpnia upłynął Jarkowi pod znakiem życia rodzinnego. Nie miał dla siebie wolnej chwili, nawet na podwórko zaglądał tylko razem z Bratkami (tak sobie w duchu nazwał obu chłopców, nie przyzwyczajony jeszcze do tytułowania kogokolwiek bratem). Dopiero pierwszego września, po powrocie z inauguracyjnych uroczystości w nowej szkole, wykręcił się od przyjemności obejrzenia z matką i Bratkami jakiegoś młodzieżowego filmu i zyskał dwie godziny swobody. Początkowo chciał ruszyć „w miasto”, popadł jednak w nastrój refleksyjny i postanowił napisać list do Kosmohikanów, podsumowujący pierwsze bielskie wrażenia. Niełatwo jednak uporządkować myśli, jeszcze trudniej przedstawić je tak, aby nie skłamać i zarazem nie powiedzieć całej prawdy - nie chce przecież zmartwić przyjaciół jakimś nieostrożnym słówkiem, a znów w jego szczęście niczym nie zmaćcone nie uwierzą. Zwłaszcza Gośka.

Zastanowił się. Może jej jednej mógłby się szczerze zwierzyć nawet z tego, że nie poznał własnej matki - czego tak okropnie się wstydzi. Ech, męskie pozory! Oczywiście, zatytułował list neutralnie: „Cześć Kosmohikanom!”. I -stop. Nigdy nie był za mocny w pisaniu, wypracowania układał jak najkrótsze a treściwe, listów nie zdążył jeszcze wiele w życiu skomponować. Po pierwszej godzinie dumania rezultat nie był zbyt imponujący:

„Cześć Kosmohikanom!

Podróż miałem przyjemną i bez przygód. Przyjechałem już po ciemku. Przywitała mnie pani Leokadia, babcia. Dopiero nazajutrz obejrzałem miasto. Dosyć mi się podoba. Zwłaszcza okolice. Mąż mamy ma samochód, więc nas woził po południu w góry, a w niedzielę byliśmy także nad

21

wodą. Nad sztucznym jeziorem koło Żywca. Poznałem tam Marka, syna znajomego lekarza. Ma kajak, więc czasem będę z nim pływał".

Ojciec Marka to wieloletni przyjaciel pana inżyniera, miło by im było, gdyby i chłopcy poczuli do siebie sympatię - o czym dowiedział się Jarek już przy pierwszej wspólnej kolacji i trochę się w duchu zbuntował. Przyjaciół wybiera się samemu. Dlatego też odniósł się do Marka z rezerwą, choć pod koniec weekendu nowy znajomy wydał mu się bardziej sympatyczny.

Rozmyślenia o Marku przerwała pani Leokadia zaglądając do pokoju:

- Janku, zapomniałam cię spytać, czy lubisz herbatę z mlekiem? Zrobię na kolację.

- Owszem, pijam - odrzekł wytwornie.

Nastrój Skupienia Korespondencyjnego prysnął, dopiero po dłuższej chwili, wypełnionej bazgraniem na gazecie dziwołagów-głownogów, Jarek przestał martwić się kompozycją listu, machnął ręką i napisał po prostu:

„Dużo chciałbym Wam opowiedzieć, ale nie lubię się rozpisywać. Więc tylko krótko o wszystkim po trochu. O Marku już pisałem, jak go bliżej poznam, to pewnie coś dodam. Może o babci Leokadii, bo właśnie przeszła przez pokój. Ona ciągle zapomina, jak mam na imię. Byłem tu już Jackiem, Jurkiem, dzisiaj Jankiem. Piotrusiem chyba mnie nie nazwie? Stara się być miła, zwłaszcza...” - tu uznał, że się trochę zagalopował, list ma być neutralny. A to, że go irytuje, jak pani Leokadia stara się być bardzo miła dla matki i jak dziesięć razy dziennie powtarza wnukom, aby jej słuchali i byli grzeczni - to jego sprawa. Przekreślił i pisał dalej:

„Bratki mówią na Matkę «Mama Sonia» i chyba bardzo ją lubią. Zwłaszcza Stefanek chodzi za nią jak cień. Przefarbowała włosy. Na razie mąż jej nie pozwala pracować, ale Mama chce dostać posadę w tutejszym «Orbisie». Tam pracuje nasza sąsiadka i przypilnuje, bo mają być

22

jakiś zwolnienia" - zdziwił się, że napisał o tym, nigdy dotąd nie interesowały go bytowe kłopoty dorosłych. Może wyczuł, ostatnio dużo myśląc o matce, że to dla niej ważna sprawa?

- Gośka stwierdzi, że dojrzewam do szarej rzeczywistości - westchnął. Cieszyć się czy martwić faktem wkraczania w tak zwany wiek przejściowy? Na razie nie chciał wiedzieć. Po namyśle pisał dalej:

„Na podwórku bractwo nieciekawe. Same maluchy i dziewczyny. Może w szkole wykroi się jakaś paczka. Zapisali mnie do VIIIB". Dyrektor, też kolega pana inżyniera, dał Jarkowi możliwość wyboru.

Chłopiec słyszał to i owo od Zosi o jej klasie, zainteresowała go zwłaszcza informacja o

„aferzystach" - uczniach, którzy rok temu wzięli udział w ujęciu złodziei wełny*, zdecydował się więc na VIIIB. Pożałował tylko, że zamiast Zośki na jego podwórku nie mieszka chłopak, będzie z nią musiał czasami pogadać o sprawach klasowych, a postanowił ograniczyć do minimum kontakty z głupimi dziewczynami. Ostatnio jakoś specjalnie go irytują. Wszystkie. Oprócz Gośki.

Miał wielką ochotę przemyścić w liście jakiś komplement dla niej, ale przewyciężył się mężnie i relację onował dalej:

„Zadarłem tu już z jednym takim, zobaczymy. Specjalnie w oczy mu nie będę leźć, bo po co. Ale jakoś prawie codziennie nadziewamy się na siebie na ulicy. Dwa lata temu skończył podstawówkę i teraz odpoczywa. Przezywają go Łysy Bolo, bo ma długie włosy i na imię Bolek". -Tych szczegółów dowiedział się częściowo od wszystkowiedzącej Zosi, częściowo od Bogdana. Łysy Bolo był widać popularną figurą tej dzielnicy. Cichy konflikt z miejscowym zawadiaką imponował w głębi duszy spokojnemu raczej Jarkowi. Najmniej raz dziennie, głównie przed zaśnięciem, chłopiec usiłował wyobrazić sobie

Opowiada o tym powieść „Kryptonim Czarna Morwa".

23

ewentualną przyszłą rozprawę i głowił się nad najlepszym sposobem pognębienia przeciwnika, a przynajmniej ujęcia z honorem z jego rączek. Pod tym też kątem spenetrował w krótkim czasie

bardzo dokładnie całą dzielnicę, sporządził nawet coś w rodzaju mapy strategicznej, uwzględniającej tajne przejścia i rozmaite kryjówki. Chciał ją właśnie opisać w skrócie Kosmohikanom, ale znowu przeszkodziła mu pani Leokadia, która przyszła po coś do pokoju chłopców i wychodząc przypomniała sobie:

- Aha, Januszku, idź na chwilę do wujka. Chce z tobą porozmawiać.

Jarek nie przywykł jeszcze do myśli, że ma „wujka”, udawało mu się dotąd zwracać do niego bezosobowo, odczuwał przy tym spore skrępowanie. A na osobności jeszcze nie rozmawiali ze sobą, wchodził więc do sąsiedniego pokoju niepewnym krokiem, przyczajony wewnątrz, z dużą tremą. Pan inżynier szukał czegoś w biurku.

- Przygotowałem dla ciebie prezent inauguracyjny i masz, gdzieś go sprytnie wetknąłem, żeby był pod ręką - powiedział bez wstępów, puszczając oko do chłopca. - Dopiero co... o, jest! Tutaj? - zdziwił się wyjmując z kieszeni wraz z chusteczką niewielkie prostokątne pudełko. Chrząknął, też może trochę zmieszany oficjalnością chwili, wyciągnął rękę z prezentem: - Dlaczego stoisz w drzwiach? Wejdźże, chłopcze, niech nie tkwię tu jak święty Mikołaj. Proszę...

Jarek otworzył pudełko czując, że mu czerwienieją uszy. Na niebieskiej poduszeczce skromnie leżał elegancki srebrny zegarek. Z datownikiem.

- To między innymi drobna aluzja do punktualnego wracania ze szkoły, gdy mama czeka z obiadem - zażartował ojczym, znowu przeszukując kieszenie. - Mam też pasek... ale gdzie, oto pytanie? Cóż, podoba ci się?

- Dziękuję... - bąknął Jarek. - Bardzo mi się podoba.

- Świetnie, cieszę się. Nakręcaj go regularnie... O, jest i pasek. Pomogę ci założyć.

24

Zapadło kłopotliwe milczenie. Na szczęście na biurku rozdzwonił się telefon i Jarek poszedł do siebie. Posiedział chwilę nad listem, starając się zbyt często nie zerkać na przegub lewej dłoni, nadgryzł plastikową skuwkę długopisu i uzupełnił relację o nowej rodzinie:

„Chyba się wszystko dobrze ułoży. Z chłopcami też jeszcze nie miałem kłopotów. Mieszkam z nimi w jednym pokoju (w ogóle są trzy). Dostałem to i owo na początek roku szkolnego” - przerwał zastanawiając się, czy nie skreślić tego zdania. Nowy zegarek pewnie Kosmohika-nów nie obchodzi.

Tymczasem wróciła matka z Bratkami, narobili wielkiego szumu śpiewając na trzy zadyszane głosy piosenkę z filmu. Stefankowi bardzo podobały się przygody bohaterów i koniecznie chciał opowiedzieć babci całą fabułę. Bogdan wtrącał swoje spostrzeżenia, poprawiał go, co w końcu zirytowało braciszka aż do łez i tupania nogami. Matka zażegnała burzę, zawołała wszystkich do stołu i dopiero teraz zauważono Jarkowy zegarek.

- O, miła niespodzianka! - wykrzyknęła matka i spojrzała wymownie na męża.

Bogdan zeskoczył ze swego krzesła, złapał Jarka za rękę i porównał jego zegarek ze swoim.

- Też radziecki! Ale z datownikiem! - on także spojrzał wymownie na ojca.

Inżynier rozłożył ręce.

- Przyszedł nowy towar, wtedy nie było takich. Kiedyś sam sobie kupisz lepszy, może z telewizorkiem? - zażartował, ale Bogdan jeszcze dosyć długo miał nadąsaną minę.

Reszta kolacji upłynęła w miłej atmosferze. Potem dorośli zasiedli przed telewizorem, zostawiając Jarka w kuchni na dyżurze, a najmłodszy przedzierzgnął się w dzielnych polskich lotników niszczących Luftwaffe. Gdy Jarek wszedł do pokoju., Stefanek pikował zawzięcie drewnianym modelem nad swoim tapczanem, a Bogdan na środku wykonywał zgrabną beczkę. Skończył i spytał spokojnie:

25

- Jarek, co to są Kosmohikanie?

- Kto ci pozwolił czytać cudze listy? - rozłościł się Jarek. - I w ogóle grzebać w moich rzeczach?

- Wcale nie grzebałem - Bogdan wzruszył ramionami. - Przypadkiem przeczytałem „cześć, Kosmohikanie” i tyle. Co oni za jedni?

Jarek opanował się, bo wyczuł dobry moment do rozpoczęcia realizacji swej pedagogicznej kampanii, i powiedział, jeszcze nieco półgębkiem:

- Plemię nowoczesnych Indian. Kosmosem też się interesują. W ogóle fajni ludzie i moglibyśmy...
 - Indianie? - zainteresował się Stefanek. - Korespondujesz z Indianami? Może z Sat-Okhiem. co? Opowiedz!
 - Nie z Indianami, bo to nasi. Słuchajcie, założmy Klub Kosmohikanów! - włożył w ton tej propozycji maksimum entuzjazmu i obietnicę podjęcia czynów wielkich a tajemniczych, ale musiała wypaść szczególnie zachęcająco, bo Stefanek spojrział na niego nieufnie, Bogdan zaś uśmiechnął się ironicznie. Zamiast spytać o szczegóły, oznajmił z wyższością:
 - Co tam jacyś przestarzali Indianie! My z Witkiem mamy Klub Czterech Pancernych.
 - Rysiek z bratem się wyprowadzili! Weźmiecie mnie? Obiecałeś?! - oczy Stefanka zabłyśły.
 - Weźmiemy Tomka Szymika. On ma psa - uciał brat.
 - Obieca...ałeś... - szepnął nieszczęśliwy Stefanek.
 - Oho, zaraz się rozbeczysz! A co będzie w obliczu wroga? - zakpił Bogdan i zajął się przeglądaniem „Świata Młodych”.
 - To mają być drużyny podwórkowe, a Tomek mieszka naprzeciwno! - wykrzyknął po chwili z nadzieją Kandydat Odrzucony.
 - E tam, mogą być międzypodwórkowe. Nie nudź! Odczep się, czytam.
- Stefanek, pociągając nosem, zajął się swoim tornistrem, przygotowując jego zawartość na następny dzień. Jarek

26

wrócił do pisania listu, zły na Bogdana i niewinnych Czterech Pancernych, rozczarowany do swoich talentów pedagogiczno-wodzowskich. Pokpił sprawę, trzeba było przygotować grunt, wybrać lepszy moment, a w ogóle czy warto organizować cokolwiek dla tych prozaicznych, wiecznie dokuczających sobie Bratków? Chęci miał dobre, a że materiał nieciekawym, to nie jego wina. Poza tym - straszni smarkacze! Uświadomił to sobie w odpowiednim momencie, łatwo i szybko rezygnując z ewentualnych sukcesów wychowawczych. Odetchnął nawet z ulgą. Pozostało mu dokończenie nieszczęsnego listu. Podumał, podumał i dopisał zamasyżycie większymi literami, żeby zapełnić stronę:

„A co u Was? Napiszcie. Czekam na odpowiedź. Pozdrawiam wszystkich. Jarek”.

„Nowego” życie nie pieści

Do późnej nocy układał w myśli Plan Podboju Nowej Klasy, obudził się więc niewyspany i obrzucił tarmoszącą go lekko matkę wzrokiem pełnym wyrzutu.

- Cóż, każde wakacje mają swój koniec, życie nie składa się z samych przyjemności. Obowiązki przeważają! -matka przybrała ton dziarski, filozoficznie-żartobliwy i tryskała energią jak generał krzepiący swych żołnierzy przed bitwą. Jarek zdobył się na synowski uśmiech, ale zaraz pożałował tego, bo matka wypadła z roli i powiedziała miękko, kładąc mu dłoń na ramieniu: - Trzymaj się, to dla ciebie ważny dzień.

- Oj, mam, nie rób tragedii! -prychnął niegrzecznie, strząsając tę dłoń. Poszedł szybko do łazienki akcentując dodatkowym wzruszeniem ramion, że nie znosi scen sentymentalnych. Dla poprawienia humoru zanucił nad umywalką:

„Arriba, parias, z tej pościeli! Do szkoły bowiem nadszedł czas! I choćbyśmy jak nie wiem klęli, to obowiązki wzywa nas!”

Kątem oka zbadał efekt, ale chlapiące się Bratki nie doceniły śpiewki jak należy. Spodobała się za to inżynierowi przechodzącemu przez przedpokój do wyjścia.

- Brawo! Nie wiedziałem, że masz zdolności do rymowania! - zajrzał do łazienki.

- To nie j a, to Kosmohikanie - mruknął prawdomównie Jarek tracąc animusz, ale ojczym uznał to za jeszcze jeden dowcip i wyszedł z domu ubawiony. Bogdan zauważył złośliwie:

- Bez Kosmohikanów to ty nic nie wymyślisz.

Jarek zarzucił mu na głowę ręcznik i łazienka okazała się za ciasna dla nich dwóch. Matka zażegnała konflikt

28

wezwaniami na śniadanie, które połknęli w milczeniu. Jarek miał nadzieję, że przynajmniej sam wymarsz z domu odbędzie się zwyczajnie, więc zirytowała go do reszty wyraźnie wzruszona mina

matki, gdy stanęli przed nią wszyscy trzej, fasując owinięte starannie porcje drugiego śniadania i pocałunek w czoło. W dodatku pani Leokadia ustawiła się na progu swego pokoju w macierzyńskiej pozie, dobrotliwie kiwając głową. Jarek nie zdobył się „nawet na burkliwe „do widzenia”, pierwszy wypadł na schody i postarał się zgubić Bratki jeszcze na Kamiennej. Prawie biegł, pochylony, z teczką niedbale wciśniętą pod pachę i rękami w kieszeniach. Opamiętał się dopiero w połowie drogi, pod kioskiem „Ruchu” na Bohaterów Warszawy, ciągle zły, ale tym razem na siebie. Od początku przecież obserwował czujnie wysiłki matki montującej nową rodzinę i widział, jaka jest w gruncie rzeczy samotna, chociaż wszyscy Komorowie okazują wiele dobrych chęci. Nic dotąd nie zrobił, żeby jej pomóc.

„Ona się mnie o zdanie nie zapytała przed faktem!” - pomyślał jeszcze buntowniczo, lustrując gablotkę kiosku. Widocznie poruszył ustami, bo utleniona kioskarka spytała z niechęcią:

— Co proszę?

- Nic... ten... poproszę „Przegląd Sportowy” - zmieszał się. Zwinął gazetę w trąbkę i ruszył dalej wolnym krokiem. I tak przyszedł do szkoły jako jeden z pierwszych. Drzwi z tabliczką VIIB znalazł od razu, orientował się już w rozkładzie szkoły po sobotniej wizycie inauguracyjnej. Klasa pachniała jeszcze letnim remontem. Jarek wybrał najwygodniejsze miejsce w ostatniej ławce pod oknem i z niezależną miną zatonął w lekturze prasy.

Wkrótce po nim weszła poważna dziewczynka w okularach, powiedziała uprzejmie „dzień dobry”, zawahała się na progu i sprawdziła napis na tabliczce. Uspokojona, zaklasyfikowała Jarka prawidłowo jako „nowego” i usiadła w pierwszej ławce środkowego rzędu. Za nią wpad-

29

ły trzy rozgadane dziewczyny, plotkujące o wakacjach.

- Oczywiście, Rudecka już jest! - wykrzyknęła najładniejsza z nich, czarnowłosa, strzelając ciekawie okiem w stronę Jarka.

- Prędzej, prędzej! - gorączkowała się niższa, szatynka. - Tereska z Urbańską już lecą, wyprzedzą nas!

- Nie ma obawy - czarnowłosa usadowiła się w trzeciej ławce za Rudecką, zajmując teczką także miejsca przed sobą. - Elka chciała...

Z bojowym okrzykiem wpadło do klasy kilku chłopców. Widok Jarka, rozpartego na najlepszym miejscu, nie zachwycił ich zanadto.

- Nie pomyliłeś się przypadkiem? - zapytał najruchliwszy z nich, piegowaty, na którego ktoś przed chwilą wołał „Heniek”.

- To siódma B, nie? - stwierdził spokojnie Jarek nie przerywając lektury.

- Ale to miejsce jest zajęte.

- Jasne, skoro ja tu siedzę - Jarek raczył podnieść wzrok znad gazety. Jego spokój wywarł pewne wrażenie na przyszłych kolegach. Heniek co prawda jeszcze chwilę sterczał koło ławki, gwizdząc jakąś melodię i próbując na nowym siły swego wzroku, ale poprzestał na krótkim „No, no!” i rzucił teczkę na krzesło przed nim.

- Gościa mamy! - oznajmił nadchodzącym kolegom tonem przesadnie entuzjastycznym. - Skąd się tu wzięłeś? Z jakiej budy?

- Z Jastarni - Jarek postanowił nie dać się sprowokować i nie tracił zimnej krwi.

- Znad Bałtyku sinych wód ozdobionych bałwanami! - wrzasnął Heniek i wypadł na korytarz, zaczepiając po drodze dziewczęta. Za nim reszta paczki.

Klasa stopniowo wypełniała się gwarem, wybuchały krótkie sprzeczki o miejsca, jedna z dziewcząt nawet się popłakała. Witano się hałaśliwie, dopytywano o atrakcje wakacyjne, wyśmiewano kogoś, że pewnie leżał na kocu

30

całe lato, bo strasznie przytył, dziewczyny porównywały opaleniznę. Wszyscy przyglądali się Jarkowi z zainteresowaniem, ale nikt więcej go nie zaczepiał, nie okazywał chęci do rozmowy. Tak samo było i na pierwszej pauzie, którą „nowy” spędził w ławce nad gazetą, nawet Heniek dał mu spokój, popatrywał tylko złośliwie i szeptał z kolegami. Jarek czuł, że chcą mu zrobić kawał. Następną przerwę też spędził w ławce, czytając powtórnie niektóre artykuły w „Przeglądzie” lub

gapiąc się po prostu w okno, na trzeciej jednak musiał wyjść, bo takie siedzenie zaczęło mu się wydawać trochę niepoważne, no i poza tym dyżurni wyganiali wszystkich z klasy pod kontrolą nauczyciela. Powłóczył się po budynku, pewny, że wszędzie trafi, ale zaplątał się jakoś w korytarzach, za długo przebywał w skrzydle licealnym, no i gdy wrócił do siódmej B tuż po dzwonku, zastał swą teczkę wiszącą za rączkę na stojaku od map. W ostatniej ławce pod oknem siedział Heniek ze swym wiernym adiutantem.

- Tu siedzą Muszkietierowie, zapamiętaj sobie raz na zawsze! -zaznaczył Heniek. -Młodyś, jeszcze się będziesz musiał tego i owego nauczyć! Jak będziesz zdolny, to dobrze, a jak nie, to kiepsko. Muszkietierowie zarechotali.

Nauczycielka wchodziła już do klasy, Jarek przegrał więc pierwszą rundę. Zdjął ze stojaka teczkę i pomaszerował do jedynej wolnej ławki w trzecim rzędzie, za dziewczynami. Zachował kamienną twarz, co mógł innego zrobić? Nie chciał zaczynać od awantur. Nie okazał też satysfakcji, gdy na ostatniej lekcji wychowawczej pani Zalewska, znająca już swych podopiecznych, porozsadzała paczkę Heńka w ławkach bliżej katedry, a w ostatniej umieściła dwóch najwyższych dryblasów, siatkarza Bąka i solidnego Piotrowskiego, należącego do Ambitnych, czterech chłopców o szerszych zainteresowaniach i niezłych stopniach. Trzymali się razem, okazując pewną wyższość reszcie klasy, co obserwujący uważnie nowe

31

środowisko Jarek szybko spostrzegł. Dziewczyny też tworzyły zamknięte kółka, największe wokół ładnej czarnuli, Rysiówny, ale koleżanki go nie interesowały. Nauczyciele wydali mu się tacy sobie, nie za surowi i nie za łagodni, może bardziej rozmowni od tych z Jastarni - trudno jednak ocenić belfrów po pierwszym dniu nauki, kiedy głównie mówi się w klasie o przeżyciach wakacyjnych i planach na bieżący rok szkolny.

Muszkietierowie, upokorzeni przez wychowawczynię na ostatniej lekcji, szybko ulotnili się z horyzontu, nikt nie zakłócał Jarkowi spokojnego powrotu do domu. Włókł się noga za nogą dając Zosi szansę wyprzedzenia go, miał okazję podsumowania obserwacji i przygotowania odpowiedniej miny dla matki i Koniorów. Chciał być miły, uzbroił się w cierpliwość, ale nie było już więcej „sentymentalnych” scen. Matka przygotowująca obiad nie miała czasu na szczegółowe wypytywanie syna o tak zwane pierwsze wrażenia. Rzuciła tylko ogólnikowo - między odwracaniem sznycli na patelni a doprawianiem sałatki - „mam nadzieję, że ci dobrze poszło” i zagadała się ze Stefankiem, wiernie okupującym kuchnię. Może nie darowała jeszcze Jarkowi jego porannego zachowania? W każdym razie poczuł się nieco zawiedziony, za co natychmiast sam się zwymyślał w duchu: zamienia się w rozhisteryzowaną księżniczkę czy co?

Zaraz po obiedzie wybrał się na bezcelową włóczęgę po mieście, która zamiast uspokoić, rozdrażniła go jeszcze bardziej. Kroczył jak zdecydowany, znający życie dojrzały mężczyzna, a czuł się jak nieletni jamnik, który stracił węch zaraz na początku polowania w obcym lesie. I tak mniej więcej wyglądały następne trzy dni: w szkole opancerzanie się przeciwko dokuczliwym żartom Muszkietierów i obojętności reszty klasy, w domu uprzejme monosylabiczne odpowiedzi na pytanie „jak leci”. Odrabianie lekcji na razie lekceważył, wołał czytać kryminały. Czekał na list od Kosmohikanów.

Marek?

Do rozpoczęcia seansu pozostawało jakieś pół godziny, kiedy chłopcy zdecydowali się obejrzeć film grany w kinie „Apollo”. Już w biegu Marek wyjaśnił Jarkowi, że z zasady na westerny nie chadza ze względu na prymitywną zwykle fabułę i nieskomplikowane idee główne (przy „ideach” omal nie wyrznął nosem o krawężnik, potykając się o coś, ale utrzymał powagę i ton dyskusji), można jednak czasami zrobić wyjątek dla jakiegoś ambitnego filmu, należącego do klasyki światowej. Albo też dla znakomitego aktora, jasne. Tym razem był to Kirk. Douglas.

- Mam nadzieję, że wystąpi jako pozytywny czarny charakter - podsumował Marek tonem sugerującym dowcip intelektualny, więc Jarkowi wypadało uśmiechnąć się ze zrozumieniem. Dopadli drzwi kina i zaczęli przepychać się do kasy, lekceważąc kolejkę.

- No tak, właściwie można się było tego spodziewać -westchnął Marek odczytując tabliczkę nad okienkiem: „Na pierwszy seans bilety wysprzedane”. Nie poddał się jednak, rzucił okiem dookoła i

przemanewrował pod przeciwległą ścianę, gdzie w pobliżu drzwi stał niepozorny młodzieniec z rękami głęboko wbitymi w kieszenie zielonej wiatrówki.

- Masz dwa? Po ile?

- Po trzy - odparł tamten błędząc wzrokiem po suficie. Marek narysował wymowne kółko na czole i ruszył dalej

w stronę drzwi, w których nagle zrobiło się jeszcze tłoczniej, i inny wyrostek (obok niego zabłyśły złote loki Łysego Bola) spytał przez zęby:

- Cena nieodpowiednia?

- Nieodpowiednia - odparł Marek.

3 - Kluk Kosmohikanów

33

- A ile chciał? - zainteresował się Łysy Bolo.

- Cztery za dwa! - powiedział szybko ten w zielonej wiatrówce, przysuwając się do nich. Patrzył niespokojnie na Marka.

- To jest nieodpowiednia cena? - zdziwił się uprzejmie towarzysz Bola.

Marek zawahał się, Jarek tymczasem kątem oka zauważył zmierzającą do kasy starszą panią, która wyjęła z torebki cały pasek biletów i najwyraźniej chciała je zwrócić. Szarpnął Marka za rękaw i dał nura w tłum, sprzedając szczęśliwie co bystrzejszych bliźnich z kolejki. Ktoś tam zaprotestował, chciał im nawymyślać od koników, ale nie było już czasu na awantury. Marek zmierzył krzykacza uprzejmym lodowatym spojrzeniem i popchnął Jarka w stronę biletera. Dopiero w westybulu poinformował go, mrużąc oko, że film dzisiejszy dozwolony jest od lat szesnastu.

- Lepiej było o tym nie wiedzieć, człowiek się nie denerwuje i nie zasugeruje przypadkiem bileterowi, że coś nie gra - dorzucił wzbudzając podziw Jarka. - Od lutego będę już mieć oficjalnie spokój - poinformował jeszcze, gdy sadowili się w krzesłach. - Zrobię na urodziny kulig albo pojedziemy na narty, co?

- Ja nie jeżdżę na nartach - przyznał ze wstydem Jarek.

- Głupstwo. Nauczysz się w jeden sezon.

- Ciii - syknął za nimi jakiś wielbiciel filmów reklamowych.

Poszeptali jeszcze chwilę i umilkli. Prosta, rytmiczna melodia przeniosła ich na Dziki Zachód, zapowiadając męskie emocje.

Po seansie z kina wysypało się na ulicę mnóstwo dzielnych kowbojów, nawet niektóre dziewczyny kroczyły twardo, stawiając nogi energicznymi rzutami i maltretując obcasy. Jarek znowu natknął się na Bola, który go potrącił niby nieumyślnie, ale Marek w porę wkręcił się między nich, nie dopuszczając do zwady. Po kilku ską-

34

pych, spontanicznych uwagach na temat filmu powrócił do tonu doświadczonego krytyka i starał się ostudzić zachwyty Jarka, a i zapewne swój własny, co mu się jednak nie bardzo udało. Postali chwilę na rogu Kamiennej, umówili się na którąś niedzielę na kajaki, jeżeli będzie ładna pogoda, i Marek poszedł do siebie.

„Kto wie, może się dogadamy” - pomyślał radośnie Jarek odprowadzając wzrokiem wysportowaną sylwetkę licealisty. Marek wpadł dziś do niego niespodzianie bez żadnego interesu, zapytał nawet o Jarkowe pierwsze wrażenia ze szkoły, proponując dyskretnie pomoc w razie jakichś konfliktów, co „nowego” ujęło i ośmieliło.

Lecz gdy w chwilę potem na podwórku Zosia zapytała go o to sanio, Jarek rozżościł się nagle i odburknął:

- Od trzech dni raptem wszyscy są ciekawi moich wrażeń! Zareklamowałaś mi swoją klasę, to się domyśl, jakie wrażenie mogła na mnie zrobić... Nieszczególnie, jeśli chcesz koniecznie wiedzieć. Takie sobie.

- Nie wszyscy są tacy niesympatyczni, jak Heniek i jego paczka - powiedziała cicho Zosia przełamując przykre milczenie, jakie zapanowało po gniewnych słowach chłopca. - Oni każdego chcą sprowokować i wyśmiać.

- Myślisz, że się nimi przejmuję? - wzruszył ramionami. Przejął się, oczywiście, niezbyt miłym

przyjęciem przez kolegów, ale cóż to może obchodzić kogokolwiek poza nim, zwłaszcza jakąś ciekawską dziewczynę? Dodał więc zjadliwie: - Poopiekuj się kimś innym, dobrze? Masz tu całą gromadę - wskazał głową biegające wokół ławki maluchy i odwrócił się tyłem do niej. Właśnie jakaś sześciolatka z ogromną niebieską kokardą zaczęła się mazać dowodząc dokuczającym jej dzieciakom, że zaczarowany Książę Piknik istnieje naprawdę i mieszka u niej w najmniejszym pokoiku. Zosia zawołała ją do siebie, a Jarek odszedł obrzucając całą grupkę ironicznym spojrzeniem.

- Zośka chce być ważna na podwórku. Niańka - odezwała się do niego stojąca na schodkach Kasia Awiejaska,

35

starsza córka dentysty, ale źle trafiła, bo Jarek zlekceważył jej porozumiewawczy uśmiech.

- Pytał cię kto o coś? - burknął i pognął na górę, zły na wszystkie dziewczyny świata. Oprócz Gośki, oczywiście.

W domu trafił na przygotowania do kolacji. Matka i pani Leokadia uśmiechały się do siebie, do dzieci i do naprawiającego maszynkę elektryczną inżyniera, ale burza rodzinna wisiała w powietrzu. „Tego jeszcze brakowało” - westchnął w myśli Jarek i resztki dobrego nastroju, wywołanego filmem, prysnęły. W pokoju chłopców też nie zanosilo się na miły wieczór, bo Stefanek, pociągnięty pewnie przykładem ojca, usiłował „naprawić” aparat fotograficzny brata, czego Bogdan jeszcze nie zauważył, pochłonięty lekturą. Książka jednak już się kończyła, Jarek wziął więc podręczniki do geografii i przeniósł się do pokoju rodziców na bujany fotel. Przeczekał spokojnie braterską bijatykę, potem wciągnęło go przeglądanie atlasu i aż się wzdrygnął, gdy raptem zapalono w pokoju górne światło i podniesiony głos pani Leokadii oznajmił stanowczo:

- W takim razie pomóżcie mi je poprzesuwać do mojego pokoju!

- Mamo, może najpierw zjemy kolację - zaproponował inżynier ugodowym tonem. - Nie ma sensu...

- Nie ma sensu pozbywać się jeszcze zupełnie dobrych, porządných mebli - wpadła mu w słowo matka. - Spójrzcie na ten kredens! To wcale nie „gruchot”, tylko prawie stylowy mebel. Ludzie rozbijają się za stylowymi kompletami... Wytłumacz to żonie.

- No dobrze, dobrze, ale najpierw zjemy... Jarku, pomóż mamie nakryć do stołu - poprosił ojczym, zadowolony z obecności chłopca.

Pani Leokadia chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie dał jej dojść do słowa. Spytał Jarka o szkołę, poszedł nawet za nim do kuchni. Poirytowana starsza pani zamknęła się w swoim pokoju.

36

Matka też była zdenerwowana, stłukła szklanekę, rozlała na obrus herbatę, ale starała się utrzymać jako tako miłą atmosferę przy kolacji, znowu więc była mowa o szkole. Dorośli koniecznie chcieli poznać życiowe problemy chłopców, zwłaszcza Jarkowe. Przez cztery dni nowego roku szkolnego nie nabierało się ich wiele, więc sytuację musiała uratować telewizja, piorunochron wielu komórek rodzinnych.

Sensacja w siódmej B

Nazajutrz na drugiej pauzie Jarek, nie chcąc sterczeć samotnie koło okna, zlitował się nad przechodzącą właśnie Zosią, która po wczorajszej rozmowie omijała go ze smutną miną, i zapytał obojętnym tonem:

- No i którzy to w klasie ci sławni „aferzyści”?

- Zbyszek Opalek i Leszek Wojaczek. Byli jeszcze Eda i Andrzej, ale wyprowadzili się z tej dzielnicy. W ósmej A jest jeszcze jeden. Znasz tę historię?

- Nie.

- Spytaj, sami ci opowiedzą - Zosia zaczerwieniła się lekko, odwracając głowę od rozszepstanych koleżanek spacerujących po korytarzu. - Opalek lubi się przechwalać -dodała jeszcze i prędko odeszła do klasy.

Jarek rozejrzał się za „aferzystami”, trochę rozczerwany, bo nie tych kolegów podejrzewał o udział w prawdziwej przygodzie. Leniwy, powolny, gadatliwy Opalek i najmniejszy w klasie, cichy

Wojaczek nie wyglądali na bohaterów. Zobaczył ich przez okno, jak przechadzali się poważnie po podwórku, dyskutując z dwoma innymi chłopcami, ale pauza już się kończyła, odłożył więc wywiad do następnej. Opałek nie wzbudził jego większej sympatii, postanowił zacząć Wojaczka. Zapytany o aferę Leszek zrobił dziwną minę, ni to zawstydzoną, ni to uradowaną, i króciutko, w prostych słowach, streścił całą przygodę. Ani myślał przechwalać się i podkreślać trudności czy niebezpieczeństwa związane z tropieniem złodziei wełny. Udało im się przypadkiem wziąć udział w ważnym fragmencie śledztwa i to wszystko. Jarek docenił skromną postawę Leszka, lecz opowiadanie rozczarowało go, spodziewał się w głębi duszy większych sensacji.

38

- No, to macie teraz spokój w fabryce - stwierdził jakby z pewnym żalem na zakończenie rozmowy.

- Już znowu były drobne kradzieże.

- Ale nie afera?

- Nie...

Przebiegł obok nich jeden z paczki Heńka, potem on sam. Szturchnął lekko Wojaczka, do Jarka zawołał mrużąc oko:

- Czołem synkowi kapitańskiemu! Kiedy ruszasz na głębsze wody?

Pobiegł dalej, a Leszek pokonał nieśmiałość i zapytał:

- Czy... Skąd przyjechałeś?

- Z Jastarni - odburknął Jarek tonem wykluczającym dalsze zwierzenia. Czyżby Zosia była tak gadatliwa? Może ze szczegółami rozpowiedziała w klasie o jego sytuacji rodzinnej? Jeśli tak, to już on jej da nauczkę!

Raptem przypomniał sobie, że przecież zaraz pierwszego dnia przed lekcjami Heniek zapytał go o miejsce poprzedniego zamieszkania, o Jastarni słyszało kilka osób, Leszka mogło przy tym nie być, a cóż prostszego, jak skojarzenie Jastarni z zawodem marynarza? Heniek lubi być dowcipny...

- Aa... - chciał uprzejmie zapytać Leszka o inne bielskie sprawy, ale Wojaczek tymczasem odszedł po cichu, zrażony jego ponurym milczeniem. Jarek rozejrzał się bezradnie po podwórku, na szczęście rozległ się dzwonek.

Do klasy weszła pani Zalewska, powitała wszystkich uśmiechem i zaczęła się lekcja polskiego, jedna z ciekawszych, jakie zdarzyło się Jarkowi dotąd przeżyć. Po ogólnej rozmowie o wakacjach pani poruszyła temat piosenek harcerek, odśpiewali tradycyjne „Płonie ognisko w lesie”, potem nauczycielka zaproponowała „Pałacik Michła, Żytnia, Wola...”, spytała, kto wie coś o powstaniu tej piosenki, no i temat spoważniał, objął walkę dzieci i młodzieży Warszawy podczas okupacji hitlerowskiej i jej odbicie w literaturze polskiej. Cała klasa brała udział

39

w dyskusji, jeśli ktoś miał niewiele do powiedzenia, przynajmniej słuchał uważnie i nie przeszkadzał.

Po dzwonku Jarek, podniecony swym udziałem w lekcji, chciał przyłączyć się do rozmawiających o wojennych książkach chłopców, ale Ambitni (znał już ich nazwiska: Kowalski, Piotrowski, Dąbek i Bartecki) jakoś nie mieli ochoty zauważyć jego obecności, od Muszkietierów wolał się trzymać z daleka. Poszedł więc do drugiego skrzydła budynku, gdzie mieściły się klasy licealne, do Marka. I nie wiadomo, jak długo klasa siódma B dręczyłaby go pozorną obojętnością, gdyby nie pojawiła się jeszcze jedna nowa postać, wzbudzając o wiele większe zainteresowanie.

Mniej więcej w tydzień później wypadł język polski na pierwszej lekcji. Pani Zalewska, tak zwykle punktualna, spóźniła się jakoś, co nie martwiło nikogo, bo miała być gramatyka. Tylko pilna Hania Rudecka, pierwsza uczennica w klasie, przeglądała podręcznik, reszta zajmowała się swoimi sprawami: dziewczyny plotkowały, Ambitni studiowali prasę, Muszkietierowie pracowali nad zadaniem matematycznym odpisując je z zeszytu Orłowicza. Leszek tłumaczył siedzącemu z nim Opałkowi jakiś szczegół narysowanego na bibule modelu szybowca, Zbyszek odwdzięczał mu się połową swego drugiego śniadania, które według niego już można było zacząć jeść, Jarek patrzył w okno. Heniek pierwszy przepisał zadanie i wyskoczył na środek klasy w celu rozprostowania kości. Porwał teczkę którejś z dziewcząt, wsadził ją pod pachę gestem charakterystycznym dla

nauczyciela przyrody, przezwanego Robaczkiem, drobnym krokiem dotarł do katedry i zamierzał wygłosić mowę. Muszkietierowie zaczęli dopingować go okrzykami „panie psorze”, „nie mam zadania, panie psorze”, „nie wiem, co to glista, panie psorze”, „czy mogę wyjść siusiu, panie psorze?” i podobnymi, powstał mały harmider. Raptem wszyscy ucichli i grzecznie wrócili do ławek - weszła pani Zalewska, a za

40

nią nowa uczennica. Wychowawczynie rozejrzała się po klasie i wskazała jej jedyne wolne miejsce w ostatniej ławce trzeciego rzędu, obok Jarka.

- Tam usiądź - powiedziała. -A może wolisz gdzieś bliżej?

- Nie, dziękuję, mam dobry wzrok - odpowiedziała nowa. Nie raczyła się uśmiechnąć ani nawet spojrzeć na kogokolwiek po drodze do ostatniej ławki. Na Jarka też popatrzyła przelotnie dopiero po chwili, a on zaczerwienił się po uszy.

Dziewczyna miała wielkie, intensywnie niebieskie oczy i jasne, gęste, srebrnozłote włosy, na karku niedbale przewiązane gumką. Nie przejmując się zupełnie wrażeniem, jakie to może uczynić, wyjęła z granatowobiałej „lotniczej” torby puchatego rudego potworka i posadziła go obok kałamarza. Wychowawczynie nie zauważyła lub może udała, że nie widzi tego. Rozpoczęła lekcję usiłując wzbudzić entuzjazm dla prawideł gramatyki, ale chociaż mówiła interesująco i wybierała dowcipne przykłady do analizy, uczniowie nie dali się wciągnąć w grę. Panował w klasie nieustanny lekki szum, krążyły karteczki, szepty i uśmiechy, co chwila ktoś dyskretnie oglądał się do tyłu. Orłowicz, uważający się za wielkiego przystojniaka, usiadł nawet bokiem do tablicy. Najładniejsza dotąd z dziewcząt w klasie, Rysiówna, i jej nierozłączna przyjaciółka Kuszecka, obejrzały się tylko raz z ironicznymi uśmieszkami, po czym postanowiły demonstracyjnie uważnie słuchać, co mówi nauczycielka, pod ławką jednak pisały do siebie liściki.

Nowa zaraz po dzwonku wzięła maskotkę i wyszła dokądś z klasy, umożliwiając pozostałym oplotkowanie swej osoby.

- Hany humszyk, Bahdotka! - zawołał „szepem” Zbyszek Opalek, który nie wymawiał „r”, przyłożył dłoń do serca i westchnął.

Heniek predefilował przed ławkami babskim krokiem,

41

mrugając oczami i rozciągając sweter na piersiach, a Orłowicz obejrzał się do tyłu i zawołał od niechcenia:

- Jarek, popatrz no na jej zeszyt i przeczytaj, jak się to bóstwo nazywa!

Wszyscy wlepili oczy w Jarka, nie wyłączając Rysiówny i Kuszeckiej.

- Beata Banett - odczytał Jarek bardziej przejęty, niż chciał okazać: wyczuł, że już go zaczynają uważać za swego. -Banett przez dwa „t” - dodał umacniając pozycję.

- Be-be-bee przez dwa te! - za wrzasnął Heniek i wszyscy Muszkietierowie z pobekiwaniem wypadli na korytarz.

- Patrzcie, Eda i Andrzej odeszli, Jarek i Beata przyszli! - zauważyła z inteligentnym zdziwieniem jedna z dziewczyn, Joaśka.

- O, a panna Joanna została, ku hadości ogółu! -zawołał Opalek i pociągnął ją za warkocz. Obraziła się, a jakże.

Następną pauzę Beata spędziła w oknie. Usiadła na parapecie, zgrabnie podwinęła długie nogi, posadziła na kolanach swego potworka i wystawiła twarz do słońca. Klasę miała w nosie, to widać.

Dyżurni nie ośmielili się wyprosić jej na korytarz, choć wszystkich innych udało im się wygnać.

Chłopcy zajęli pozycje pod oknami klasy, wyglądali się tam i poszturchiwali przez całą pauzę,

dziewczęta spacerowały statecznie w drugim końcu podwórza, pod kasztanami. Jarek poszedł do Marka.

Dopiero na dużej przerwie dołączył do kolegów kopiących pod płotem stary kapeć i dosyć

energicznie sobie poczynął, usadzając w pewnym momencie tęgiego gola prosto w ramionach

przechodzącego tamtędy woźnego, zwanego Fi-jołeczkiem, co ostatecznie zbratało go z kolegami.

A wszystko dlatego, że tuż przed dzwonkiem Beata poprosiła go o przyniesienie dla niej następnego dnia wszystkich zeszytów.

- Na pewno zaraz zacznę dokładnie mnie kontrolować, zobaczysz - powiedziała robiąc wymowny

ruch głową

42

w stronę katedry. Jarek obiecał jej wszystkie notatki i rozkład zajęć, Beata uśmiechnęła się lekko, a on wyprysnął na podwórze, podśpiewując w duchu z radości.

- Już zaczepia, podrywaczka! - powiedziała Rysiówna do Kuszeckiej.

- Ja wam mówię, ona w poprawczaku skończy - wtrąciła się Joaśka. - Tak jakoś wygląda...

- Albo już tam była - dodała Urbańska, kuzynka Orłowicza. - Pani Zalewska nie miała zachwyconej miny, kiedy ją wprowadzała. Siedzę pod katedrą, to zauważyłam.

- E, nie podejrzewajcie zaraz byle czego - odezwała się Zosia obserwując spod oka wyczyny Jarka. Stały tuż obok kapciowego „boiska” chłopców, ale Jarek w zapale walki nie słyszał tych złośliwych komentarzy.

Niby nic - czyli życie rodzinne

Pogoda dopisała i niedzielna wycieczka nad jezioro udała się wspaniale. Nie można było chłopców spędzić z wody, chcieli zostać do zmroku i wrócić autobusem, ale ojciec Marka, doktor Rajewski, miał mieć nocny dyżur w szpitalu, więc dorośli skończyli ostatniego w plenerze roberka koło szóstej i stanowczo, choć wśród radosnych weekendowych pohukiwań, zapakowali młodzież do samochodów. Jarek, siedząc z tyłu obok Marka, oglądał się ciągle na znikające szybko jezioro i otaczające je malownicze zielone góry, w duchu kołysząc się jeszcze na fali w doskonałym, czerwono-srebrnym „Albatrosie” Rajewskich. Wychowany w Jastarni, wiele godzin spędził na wodzie, w rybackich łódkach na zatoce lub z chłopcami w odremontowanej przez nich własnoręcznie starej łajbie, dumnie „Piratem” nazwanej, miał więc wyrobione mięśnie i niezłe pojęcie o nawigacji. Marek docenił to i wykorzystał. Wrócili teraz zadowoleni z kajaka, gór, jeziora i z siebie nawzajem, czując przyjemne zmęczenie w ramionach. Jazda samochodem też była wielką frajdą. Zgrabnie wyprzedzili wartburga Koniorów, otrąbiwszy zwycięstwo, i raz-dwa: ulica Kamienna, uśmiech pani doktorowej, uścisk ręki Marka, no i trzeba trochę ponudzić się na podwórku, bo babcia Leokadia wyszła gdzieś z domu.

Jarek przyłapał się na tym, że z politowaniem patrzy na ganiające wokół piaskownicy dzieciaki - one spędziły tu cały dzień, a co najwyżej przejechały się tramwajem -i zawstydził się trochę.

Jeszcze nie tak dawno wraz z Kos-mohikanami omawiał fakt zadzierania nosa przez niektóre dzieci lepiej sytuowanych rodziców i mocno je wówczas potępiał. Zamyślił się nad zmiennością ludzkich przekonań, tymczasem nadjechała reszta rodziny i w miłym

44

rwetesie roztopiły się poważniejsze problemy. Nastrój był naprawdę niedzielny.

- Jarek dostał list! - zawołał zdumiony Stefanek, który pierwszy wpadł do pokoju chłopców. - O, leży na stole! To listonosz nawet dzisiaj ma niewychodne i chodzi?

- Ekspresy dostarcza się nawet w niedziele - wyjaśnił mu ojciec, gdy śmiech umilkł.

- To jest ekspres polecony - powiedział Jarek biorąc do ręki grubą kopertę. - Od Kosm...

Borzęckich. Przysłali zdjęcia z wakacji.

- Pokaż, pokaż! - zainteresował się Stefanek. - To są Kosmohikanie?

- Ich jest czterech - stwierdził Bogdan. - W sam raz czterech pancernych i pies.

- "Trzech i jedna dziewczyna - sprostował Jarek pokazując inne, mniej „indiańskie” zdjęcie. - Ale taka równa jak chłopak.

- To się rzadko trafia - zgodził się poważnie Bogdan. - Taka na przykład Kaśka Awiejska chce się do nas przyłączyć, ale nici z tego. Nie przejdzie.

- Mnie miałeś wziąć - przypomniał bez przekonania Stefanek i Jarek stwierdził, że u Bratków nic się nie zmieniło w ostatnich dniach.

- Kosmohikanie nie bawili się jakoś w Pancernych, a i tak było fajnie. Codziennie coś nowego. Oni się wszystkim interesują - Jarek przypomniał sobie Klub i spojrzął z nadzieją na Bratki. - Opowiem wam, cośmy razem wyrabiali, chcecie? My też moglibyśmy...

- Już to mówiłeś - wpadł mu w słowo Bogdan przybierając swą zwykłą czujną minę. - Po co ich naśladować? Każdy ma własne sprawy... O, leczę do Witka! - wybiegł z pokoju. - Mamo Soniu, ja na chwilę!

Stefanek przejawiał więcej dobrej woli, powiedział jednak z wyrzutem:

- Ty wolisz Kosmohikanów od nas. Wcale nas nie lubisz.

45

- Zdaje ci się - mruknął niewyraźnie Jarek i zajął się ponownym odczytywaniem listu Goški. Nie był pewny swych braterskich uczuć. Stefanek czekał cierpliwie, aż Jarek skończy, i spytał znowu:

- A ty chciałeś mieć starszego brata?

- Chciałem, kiedyś.

- No, to pewnie dlatego. My jesteśmy młodszy... A Bogdan bardzo na ciebie czekał. Teraz mu się odechciewa starszego brata, ja wiem. Woli Witka.

Jarek milczał udając pochłoniętego układaniem podręczników w teczce.

- Nie martw się, że twój tato umarł w łóżku, a nie na morzu. To się kapitanom też zdarza - powiedział po chwili dociekliwy Stefanek i też wyszedł z pokoju.

Zaskoczony Jarek wzruszył ramionami. Przemądrzały krasnal! Co też smarkaczom przychodzi do głowy? I miej tu, człowieku, rodzeństwo. Licho wie, jaką taktykę zastosować.

Matka tymczasem przygotowała gorącą kolację. Pani Leokadia dzwoniła od przyjaciółki, że wróci później, zmieścili się więc wszyscy w kuchni przy mniejszym stole. Dorośli byli w świetnych humorach, inżynier podśpiewywał coś pod nosem, żona rozpoznała co, i podchwyciła, Stefanek wybijał takt łyżeczką, Bogdan robił miny -i Jarek po raz pierwszy poczuł się wśród nich tak, jak u Borzęckich. Nawet lepiej, bo nie dręczyła go zazdrość. Bez żadnych oporów wszczął dyskusję z ojczymem na temat zalet Markowego kajaka i w ogóle sportów wodnych (przy czym inżynierowi przypomniały się własne próby żeglarskie, nawet jakies zamierzchłe wojewódzkie regaty). Kiedy wyczerpali temat, inżynier powiedział od niechcenia:

- Spodobałeś się bardzo Rajewskiemu. Cieszy się, że lubisz Marka. Może będziesz miał na niego lepszy wpływ niż Sebastian. To jego kolega, chodzi do technikum mechanicznego. Wyobraź sobie - zwrócił się do żony - chło-

46

pak wszechstronnie uzdolniony, bardzo inteligentny, syn humanistów z wyższym wykształceniem, zbuntował się i uciekł z liceum muzycznego, nawet do ogólniaka nie pozwolił się zapisać. Ma swoją teorię życiową, oznajmił, i na nic prośby rodziców. Zadaje się z dziwnymi typami, gra na trąbce...

- Oj, zapomniałem! - Bogdan palnął się w czoło gestem bardzo podobnym do ojcowego. - Mama Witka pyta, czy będziemy dalej grać na fortepianie? Bo ma jeszcze wolną godzinę.

- Przerwali naukę rok temu - wyjaśnił żonie ojciec. - Stefanek nieźle się zapowiadał... A lekcje blisko, na parterze.

- Można by spróbować... - zawahała się matka.

- Ja nie - powiedział prędko Jarek. Nie odczuwał mniejszego powołania do muzyki, poza tym zbuntował go trochę przykład owego Sebastiana. Zbuntował i poiryto- 'wał, bo cóż to za rozgrywki i wykorzystywanie uczuć przyjacielskich? Albo się kogoś lubi, albo nie i życzenia rodziców nic nie mogą zmienić. Najwyżej będą się trzymać we trójkę, historia i literatura zna mnóstwo przykładów owocnej i wiernej przyjaźni trzech mężczyzn. ,

Wmuszenie kariery muzyka już nie zagrażało Jarkowi, bo dorośli zmienili temat rozmowy, kolacja zresztą została zjedzona, przenieśli się więc pod telewizor, zostawiając chłopców samym sobie.

Jarek, aby do końca utrzymać rodzinny nastrój, zaproponował Bogdanowi partię warcabów.

Stefanek kibicował z zainteresowaniem. Pogadywali o tym i owym, głównie o szkole i sprawach podwórkowych, Bogdan starał się być miły i nawet nie okazywał tak bardzo triumfu zwycięzcy.

Przy którymś z kolei rewanżu dobiegła ich z podwórka skoczna piosenka pijacka, okraszona soczystymi przekleństwami.

- Ziębicki znowu się zalał - powiedział Bogdan. -A jutro jego dzieciaki będą wszystkich przekonywać, że tato nigdy ich nie bije.

47

- A Zosia zrobi tak, żeby w to uwierzyli - dodał poważnie Stefanek i Jarek po raz drugi spojrzął na niego z uwagą.

Ostatecznie ocalił autorytet najstarszego, wygrywając trzy decydujące partie. Bratki poszły się myć, Jarek jeszcze raz obejrzał przysłane z Warszawy fotografie. Podobała mu się zwłaszcza jedna: Gośka, ubrana wyjątkowo nie w spodnie, tylko w lekką jasną sukienkę, wybiega na słoneczną polanę spomiędzy gęstych świerczków, śmieje się i macha ręką, drugą podstawia patyk pod nos rozfika-nemu Jumbo. Sam zrobił to zdjęcie, ukryty za plecami Michała i Zbyszka.

Postanowił zaraz odpisać na list, ale znowu miał wielkie trudności z wyborem materiału do opowiedzenia przyjaciółom. Stefanek już zasnął, Bogdan ziewał demonstracyjnie, schował więc rozpoczęty list do szuflady stoUka, umył się i wyciągnął wygodnie pod kocem. Zmęczenie kajakiem dawało o sobie znać. Przymknął oczy. Starał się przywołać obraz Gośki z fotografii, tymczasem ujrzał boisko szkolne, stary kapeć, woźnego Fijołeczka i okno z opalającą się Beatą. Jutro obiecała mu oddać zeszyty.

„Życie robi się ciekawe” - stwierdził filozoficznie, ziewnął i zasnął.

„To nie sklep z zabawkami” czyli życie klasowe

Ostatnia w poniedziałek była godzina wychowawcza. Pani Zalewska przypomniała o wyborze nowego samorządu klasowego. Ubiegłorocznym gospodarze zasiedli na krzesłach pod tablicą. Tereska, przewodnicząca, bardzo przejęta, odczytała krótkie sprawozdanie z działalności w szóstej B, sekretarz Bartecki wyjaśnił, dlaczego pewnych punktów programu nie dało się wykonać w stu procentach, i potępił delikatnie aspołeczną postawę niektórych uczniów, zwłaszcza aferzystów i Muszkieterów. Wyraził nadzieję, że w tym roku się poprawią, i głos zabrał skarbnik Piotrowski. Po przedstawieniu dokładnie sprawdzonych rachunków wyłożył na stół sześć złotych czterdzieści groszy.

- To reszta z funduszu czerwcowej wycieczki - wyjaśnił. - Czy zostawić je na koncie turystycznym?

- A dokąd pojedziemy w tym hoku? - zapytał Opalek. - Może wieszcie do Khakowa? Wszyscy inni już byli.

- Wycieczki przewidziane dopiero na wiosnę, mamy więc masę czasu do namysłu. Czy...

- Na przykład do Ciechocinka! - zaproponowała z entuzjazmem Jośka i nie bardzo rozumiała, dlaczego w klasie zrobiło się wesoło. - Moja ciocia tam była i wróciła zachwycona. Dywan z kwiatów... a po drodze można przecież inne rzeczy zwiedzić! Wieliczkę, Sandomierz...

- Szczecin i Białystok! - odpowiedział wyjątkowo poważny Heniek.

- Honolulu! - pisał jakiś dowcipniś.

- To już najlepiej spłynijmy Wisłą. To kółowa polskich rzek i ma hóżne stahożytne świetności po dhodze. I Tahno-brzeg, oczywiście. Nawet Beata raczyła się uśmiechnąć, co

4 - Klub Kosmohikanów

49

prawda wyniosłe i głównie do Jarka, ale wykazała uczestnictwo w życiu klasy.

Wychowawczynie wymownie postukała palcem w szkiełko zegarka, zapytała, czy są jakieś głosy krytyczne i uwagi dla ustępującego samorządu. Nie było, podziękowała więc Teresce i pozostałym za współpracę i zarządziła nowe wybory. Rysiówna miała zapisywać na tablicy nazwiska kandydatów. W klasie powstał, delikatnie określając, szum. Pani Zalewska z nadzieją poprawiła się w krzesło, ale rozweseleni poprzednio wyborcy przestali doceniać powagę sytuacji i gorączkowe szepty dotyczyły spraw prywatnych oraz rozrywkowo-informacyjnych. Orłowicz znów usiadł bokiem do tablicy i sączył w uszy sąsiadów uwagi o Beacie.

- Słucham propozycji. Pośpieszcie się, proszę - pani Zalewska pomanewrowała zegarkiem.

Rysiówna okazywała najwyższą gotowość notowania, chociaż kredę trzymała delikatnie w dwóch palcach, żeby się zanadto nie wysmarować.

Z pomocą im przyszła Hania Rudecka, jak zwykle.

- Wydaje mi się, że Tereska dobrze wywiązuje się z zadania i można ją chyba jeszcze raz wybrać.

- Właśnie, właśnie - zgodził się któryś z Muszkieterów, zwolennik świętego spokoju.

Tereska pokraśniała z zadowolenia i zaproponowała Hanię Rudecką. Rysiówna zanotowała.

- Chłopaka jakiegoś! - uniósł się ambicją któryś ze środkowych ławek. - Bartecki!

- Bahtecki jest świetny jako sekhetarz, nie zgadzam się - powiedział niewinnie acz zjadliwie

Opalek, poparli go Muszkieterowie. - A w ogóle haz mogłaby być sekhetahka.

- Nowi niech się włączą! - zaproponował Orłowicz, już bezceremonialnie siedzący do tablicy tyłem.

- Właśnie! Właśnie! Wybrać ich! Niech się wykażą!

- Sądzę, że nie można wybierać kogoś, kogo się prawie

50

wcale nie zna - powiedziała spokojnie Beata nie przestając spoglądać ponad głowami kolegów w sobie tylko wiadomym kierunku.

- Banettówna ma rację - poparła ją wychowawczyni i projekt upadł. Jarka nie zapytano o zdanie.

- Ja głosuję za Teheską. Ona jest zahahtowana... to znaczy ma doświadczenie - zniecierpliwiał się Opalek.

Wybrano w końcu na przewodniczącą Tereskę, na zastępcę Barteckiego, sekretarką została Hania Rudecka, Piotrowski zatrzymał urząd skarbnika.

- Przygotujcie na następną godzinę wychowawczą wasz program działania i życzę owocnej pracy - zakończyła z ulgą pani Zalewska.

Do dzwonka pozostały jeszcze dwie minuty i wydawało się, że nic już nie może powstrzymać radosnej ruchliwości uczniów.

- Taak... Mamy trochę czasu, chcę jeszcze coś załatwić - powiedziała wychowawczyni przybierając nieco surowszy ton. - Przykro mi, ale to dotyczy waszego zachowania w klasie! Przypominam, że klasa to nie sklep z zabawkami czy stoisko odpustowe, proszę więc o zostawianie maskotek w domu lub przynajmniej o niewyjmowanie ich z teczek.

Z kilku ławek dziewczęcych zniknęły rozmaite drobne cudaki. Beata spojrzała wymownie na Jarka i wzięła swego potworka do ręki, nie chowając go.

- I właśnie co do teczek: prawdopodobnie chcecie naśladować modę klas licealnych, u nas jednak obowiązują skromne teczki lub najwyżej torby z paskiem w kolorach czarnych i granatowych.

W klasie zrobiło się cicho. Na oparciu krzesła Beaty wisiała kolorowa torba z frędzlami, uszyta z koca.

- No i jeszcze o fartuszkach - ciągnęła wychowawczyni. - Są wygodne, praktyczne i żadna z was nie czuje się gorzej ubrana. Jeśli koniecznie któraś chce chodzić w sukience czy w spódnicy, to w odpowiednich spokojnych

51

kolorach... A teraz uwaga do Banettówny: zmyj do jutra lakier z paznokci, bo będziesz miała kłopoty.

- To jeszcze pozostałość z wakacji - uśmiechnęła się spokojnie Beata.

- Zrozumiałaś chyba właściwie, co powiedziałam?

- Oczywiście. Zrozumiałam właściwie wszystkie uwagi - zgodziła się uprzejmie Beata.

Zabrział dzwonek i wychowawczyni szybko wyszła z klasy. Rzucili się za nią bezładną gromadą, a każdy przynajmniej raz zerknął na Beatę.

Jej uroda i sposób bycia zmuszały wszystkich do ciągłego interesowania się i liczenia z jej obecnością. Nawet nauczyciele rozpoczynali lekcje od mniej lub bardziej jawnego spojrzenia w stronę ostatniej ławki. Dziewczyny plotkowały zawzięcie, demonstracyjnie nie dopuszczając jej do swego grona - o co wcale nie zamierzała się ubiegać -ale każda w głębi ducha miała nadzieję, że właśnie do niej pierwszej odezwie się wreszcie zagadkowa Beata. I podpatrywały jej styl, jak choćby te niefortunne maskotki. Oczywiście, uznały jednomyślnie (tylko Hania i Zosia nie wypowiedziały się na ten temat), że Jarek jest pogrążony, i tropiły bardziej „romantyczne” miny pary nowych. Chłopców zdawała się ta sprawa mniej interesować, tylko Orłowicz nie spuszczał z nich oka. A Jarek niczego nie zauważył. Beata intrygowała go nie mniej niż innych, ale aktualnie bardziej obchodziło go zachowanie Marka, który raptem zaczął mieć dla niego coraz mniej czasu, na pauzach otaczał się kolegami ze swojej klasy, wykręcił się od następnego wspólnego kina, a o kajaku nie był o więcej mowy.

Ból głowy, problemy alpinistów i zaczarowany książę Piknik

W jakiś tydzień po wyborach Beata przyszła do szkoły z rozpuszczonymi włosami, zdając się nie dostrzegać wrażenia, jakie wywołała. Robaczek nic nie powiedział, dopiero matematyczka, pani Wróblowa vel Wróbllica, spytała uprzejmie:

- Banettówna, zgubiłaś wstążkę?
- Nie, proszę pani.
- A może używasz gumki? Pękła?
- Nie, nie pękła. Czasami miewam silne bóle głowy i nie mogę robić żadnej fryzury - wyjaśniła uprzejmie Beata.

Ktoś zachichotał. Rysiówna poszeptala z Kuszecką. Wróbllica przyjrzała się Beacie, skomentowała: „aha” i rozpoczęła lekcję.

Globuska, nauczycielka geografii, spytała cicho:

- Czy Banettówna uważa zaplatanie włosów w warkocze za przesadę?
- Nie - odparła Beata i powtórzyła rzecz o bólu głowy.
- Hm, to może lepiej skrócić włosy?
- Zastanowię się - powiedziała Beata.

W ławkach chłopców zapanowała radość, a dziewczyny powymieniały spojrzenia.

Historyk, August Mocny, nie robił uwag, poprosił tylko Beatę do odpowiedzi, zwracając się do niej per „rusalka”. W klasie zapanowała zaciekawiona cisza - była to pierwsza odpowiedź nowej. Nie dostarczyła większych sensacji, Beata umiała lekcję na czwórkę. Odpowiadała grzecznie, choć z miną osoby zupełnie niezainteresowanej wysokością oceny.

Na przerwie poproszono Beatę do pokoju nauczycielskiego na rozmowę z wychowawczynią, która nie miała

53

dzisiaj lekcji w siódmej B. Dziewczyny z satysfakcją zaczęły przepowiadać awanturę, ale ku ich rozczarowaniu Beata wróciła do klasy w chwilę po nauczycielce rosyjskiego z włosami rozpuszczonymi, w dodatku wyglądały na świeżo wyczesane. Antonowna nie zwróciła na nią specjalnej uwagi - ...ale wszystko ma swoje granice - powiedziała Rysiówna do Kuszeckiej specjalnie głośno, gdy wychodziły z klasy.

Przed szkołą Beata obejrzała się na idącego o kilka kroków za nią Jarka i powiedziała po prostu:

- Odprowadź mnie do sklepu, dobrze?

Kupiła torebkę cukierków czekoladowych i wsunęła Jarkowi do kieszeni całą garść.

- Bardzo je lubię, może ty też? Przeszedłeś tu z innej bielskiej szkoły, czy w ogóle przyjechałeś?
- Przyjechałem z Jastarni.
- Starzy się przeprowadzili?
- Matka.
- Ojca nie masz?
- Nie.

Ani się spostrzegł, jak pokrótce streścił jej swą sytuację rodzinną, z uwzględnieniem dąsów pani Leokadii.

- To też masz wesoło - skomentowała i zmieniła temat. Doszli do rogu Kamiennej. Spod sklepu ZURiT naprzeciwko przyglądał im się bacznie Łysy Bolo. Jarek mimo woli przybrał nieco wyzywającą i dumną postawę.

- Ja tu mieszkam - wyjaśnił Beacie.
- No to cześć! - uśmiechnęła się i poszła w stronę przystanku tramwajowego. Zwykła rzecz, przypadkowy wspólny powrót ze szkoły, Jarek poczuł się jednak jakby odświętnie. Kamienna wydała mu się mniej szara (zauważył sporo kwiatów w oknach), życie ucznia siódmej B całkiem znośne, a Łysy Bolo nawet sympatyczny. Niepotrzebnie tylko zwierzył się Beacie, niczego w zamian nie dowiadując się o niej.

Drzwi otworzył mu Stefanek, mocno czymś uradowany,

54

w wełnianej pilotce na głowie, z chlebakiem przewieszonym przez ramię, z dużym młotkiem w dłoni.

- Mamy już Mont Koniolest! Jak chcesz, to odkryjemy jeszcze Szczyt Jarka albo Grote Marciniowskiego! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Patrz, jakie wspaniałe skały!
W całym mieszkaniu pięturyły się meble stare, nowsze i nowoczesne. Stefanek znikł między nogami stołu i kilku krzesel, sapiąc głośno pod niziutkim fotelikiem. Zza pianina i etażerki w stołowym wyłoniła się matka w spodniach od sprzątanania i kraciastym fartuszk. Powitała syna niewyraźnym uśmiechem:

- Poumawiałeś się może na dzisiejsze popołudnie z Markiem lub innymi kolegami?
- Nie... Widzę, że się tu bez męskiego ramienia nie obejdziesz - stwierdził Jarek ze sztucznym nieco brakiem entuzjazmu.
- Właśnie - westchnęła matka. - Próbowałyśmy same, potem z chłopcami, ale zrobił się jeszcze większy bałagan. Poczekamy chyba na ojca i powoli wszystko ustawimy... Mieli przywieźć te meble dopiero jutro.
- Proszę uprzejmie o wypuszczenie mnie stąd jeszcze przed obiadem - odezwała się pani Leokadia zza solidnej komody, która perfidnie zaklinowała drzwi do jej pokoju. Po tonie jej głosu Jarek poznał, że nie czuje się zbyt przez los pokrzywdzona, i odetchnął: chyba obie kobiety już się pogodziły.
- Babciu, nie spiesz się! Będziemy ci podawać jedzenie na linie! - zaproponował radośnie Stefanek spod bliżej nie zidentyfikowanej sterty mebli. - Albo suchy prowiant! Masz przecież maszynkę!
- Albo ja się przedrę górą, Szczytem Komodowym! - oznajmił brzękliwie Bogdan skądś z góry. Siedział okrakiem na ustawionej na sztorc wersalce, opartej o szafę, głowę okrywał mu hełm tlenowy, czyli alumniniowo-szkła-ny pojemnik węgierskiego robota kuchennego, wokół bioder owinał zwój grubego sznura od bielizny.

55

- Bogdan, skarbie! - przeraziła się matka. - Spadniesz i wbijesz się w ten hełm! No i chyba trochę za dużo wazysz, jak na wytrzymałość szczytu, co?
- Zdobyłem i wracam na niziny!,- obwieścił Bogdan. -Nie spadnę, mamu Soniu, nie obrażaj alpinisty! -zgrabnie zjechał po miękkiej kanapce, ale już na podłodze zahaczył nogą o mały stoliczek, co wywołało lawinę drobiazgu stolarskiego. Rozległ się oburzony głos grotolaza Stefanka:

- Zasypał wejście! Jestem uwięziony! Na pomoc!... Ale najpierw odkopcie babcię, to kobieta - dodał po chwili. -Ja się trzymam!
- Trzymaj się, trzymaj. To potrwa. Bez ojca babci nie wydobędziemy - pocieszył go Bogdan szamoczący się z hełmem. Zdjął go w końcu i odetchnął pełną piersią.
- Oj, przecież tato zaraz wróci! Trzeba smażyć kotlety! - jęknęła matka i przelawirowała jakoś do kuchni.
- Soniu, dla mnie malutki, ale porządnie zbity - poprosiła zza komody pani Leokadia. - I z cebulką ledwie przyrumienioną.
- No i czemu mnie nie ratujecie? Dostarczcie tu chociaż jeden suchar - westchnął z wyrzutem zasypany grotolaz.
- Zaraz, zaraz. Musimy się przekopać. To i owo trzeba będzie wysadzić dynamitem. - Jarek dał się wciągnąć do zabawy. - Macie, kolego, dynamit?
- Nie, nie mam przy sobie - odparł zatroskany Bogdan i mrugnął porozumiewawczo. - Cały ładunek został w bazie.
- Baza już przecież zlikwidowana. O tej porze nasi towarzysze z Ekipy Nr 8 rozpoczęli transport ludzi i materiału przez Pasma Gościnnego Stołu - przypomniał Jarek dokładając do sterty kryjącej grotolaza jeszcze jeden tabo-recik.
- W takim razie musimy skontaktować się z Ekipą Nr 13. Mają w swojej bazie nitroglicerynę... Hej, hej, grotolazie! - zagrzmiał Bogdan. - Trzymasz się jeszcze?

56

- Trzymam się! - jęknął Stefanek.
- Wytrwaj, kolego, wytrwaj. My musimy udać się po nitroglicerynę — Bogdan przytaszczył z przedpokoju sza-feczkę nocną. Sterta nad była grotą rosła. -To, co słyszysz, to huk kilofów i

łomów!

- Tak, tak, musimy wyrąbać w skałach kanion, żeby potem nie potykać się z nitrogliceryną - sapnął Jarek wieńcząc stos słupkiem na kwiatki. - Zostawiamy tu w pobliżu radio tranzystorowe, aby ci umilić czas oczekiwania.

£

Wycofali się :±a palcach do kuchni, skąd smakowicie zapachniało cebulką. Wrócił z pracy inżynier i po dłuższym szamotaniu, urozmaiconym radami obu kobiet, męskiej trójce udało się wyciągnąć komodę do przedpokoju. Zablokowała z kolei drzwi od stołowego, na szczęście pustego, a pani Leokadia rażnym krokiem przeszła do kuchni, gdzie po chwili mama nakryła stół do obiadu. Mężczyźni umyli spracowane dłonie i ochoczo zasiedli nad talerzami, matka i babcia żartowały, projektowały nowe ustawienie mebli, zgodziły się, że jedną z szaf można śmiało sprzedać. Matka rozlała zupę. Gdy byli już w połowie drugiego dania, z pokoju chłopców dał się słyszeć niezły rumor i w drzwiach kuchni stanął grotołaz Ponury.

- Sam się ocaliłem - powiedział zimno.

- Mój Boże, cały czas myślałam, że jesteś przy stole! - klasnęła w dłonie matka. - Taka tu dziś ciasnota, że doliczyć się was nie można! Siadaj przedziutko, synusiu, i dogoń nas w jedzeniu.

Porządkowanie mieszkania zajęło całe popołudnie, zostało też sporo poprawek na następne dni.

Jarek wyszedł rozprostować kości i odpoczywał na ławce w wygodnej pozycji. Bratki wybiegły za nim, Bogdan wygwizdał Witka z domu, zaczęli we dwóch dokuczać Sławkowi, niby to serio grając z nim w piłkę. Podawali mu niecelnie albo puszczały silne bomby przekomarzając się, ich zdaniem, bardzo dowcipnie. Gdy Sławek był już bliski zorientowa-

57

nia się, że robią z niego balona, w oknie na parterze pojawiła się jego matka, chłopcy więc zmienili ton. Tubowa nie żartuje. Zawołała syna, podała mu przez okno jabłko i siedziała dalej, wygodnie rozparta. W oknie parterowym bocznej oficyny ukazała się głowa pani Pawlasowej, wymieniły więc uwagi o pogodzie i innych mniej poważnych sprawach. Witek z Bogdanem przestali grać i wdrapali się na trzepak.

- Kto to do was przyjechał, Witusiu? - spytała Pawla-sowa, z natury bardzo ciekawa świata, Tubowa też nadstawiła ucha.

İ

- A, kuzyn tatusia - wyjaśnił krótko Witek. - Fajne rzeczy opowiada, ale już dwa razy musiałem ganiać po papierosy i piwo - zwierzył się Bogdanowi. - Kawał świata zwiedził. Też fotografuje, jak tata, nawet gdzieś tam kilka zdjęć sprzedał do gazet.

Na podwórko zeszła Zosia i najmłodszy Ziębicki zaczął ją nudzić o bajkę. Inne maluchy też przerwały zabawę w piasku i otoczyły ławkę. Jarek usunął się na sam jej brzeżek, nie chcąc mieć z tym nic wspólnego.

- Już wszystkie bajki wam opowiedziałam - wykręcała się Zosia, ale maluchy nie poddawały się.

- Marzenko, jak tam twój zaczarowany książę? - spytała Zosia, poprawiając kokardę czarnowłosej dziewczynce. Jarek dowiedział się już, że to córeczka sąsiadów z drugiego piętra. Państwo Królikowscy przyjechali do Bielska także w tym roku, w czerwcu. Ściągnął ich tu jego ojczym, pan Królikowski jest bowiem inżynierem tej samej branży, dawnym kolegą Koniora ze studiów. Złożyli już „mamie Soni” oficjalną wizytę, podczas której Marzenka musiała wyrecytować trzy wierszyki, a Stefanek odbębnić coś na fortepianie. Mała cały czas chowała się za krzesłem matki, a jej rodzice wydali się Jarkowi strasznie sztywni, chociaż Niesamowicie Grzeczni. Szczerze ożywili się tylko wtedy, gdy pan Konior spytał, czy kupują samochód, tak jak planowali, przed wakacjami.

58

- Jak on ma na imię? - pytała Zosia cierpliwie. Marzenka przestała się skromnie wdzięczyć i odpowiedziała poważnie:

- Książę Piknik. On jest zaczarowany i musi się u nas ukrywać. Nie wolno mu nigdzie wychodzić.

- To co on robi cały dzień? - chciał wiedzieć Wojtuś Ziębicki. Rozbawiony poszturchiwał swego starszego braciszka. Jego mina mówiła wyraźnie, że ma już pięć lat i wie, że zaczarowani ludzie są głównie w bajkach. Marzenka ma sześć lat, ale to dziewczyna, więc głupia.

- Siedzi albo się trochę ze mną bawi - wyjaśniła Marzenka i dodała zarozumiale: - On się tylko ze mną chce bawić. Z wami by nie chciał!

- Ale ona buja, nie? - Wojtuś zwrócił się do Zosi, pewny jej poparcia. Marzenka obraziła się, zrezygnowała z bajek i pobięła do mamy wołającej ją z balkonu.

Przyszły jeszcze Kasia i Jola Pawlasówna z miną zapowiadającą plotki, Jarek wstał więc z ławki i wrócił do domu. Może dziś wreszcie odpisze na ostatni list Gośki? Tylko co napisać? Nic się specjalnego nie wydarzyło, chociaż na nudę narzekać nie można.

Czyżby jednak sprawa sercowa?

- Chcesz przeczytać te bzdury? - Beata podsunęła Jarkowi stertę pomiętych karteczek, zapisanych jednym pismem, w pojęciu autora kaligraficznym. Od pierwszej lekcji do tej chwili otrzymywała je regularnie co dziesięć minut.

„Najpiękniejsza! Śniesz mi się w nocy,
Twe włosy, usta i oczy” - wyznawała rymem pierwsza.

„Ładne oczy masz,
Może mi je dasz?”

A na razie daj odpowiedź, czy Twoje serce wolne.”

„Dlaczego nie odpisujesz, Królowo mych Marzeń? Domyśliłaś się chyba, że to ja, Twój paż z czwartej ławki”.

„Zapewne się nie domyśliłaś. Przyjdź więc koniecznie na przerwie pod kasztany”.

„Dlaczego nie przyszłaś? Gardzisz pewnie nieznanym wielbicielem, a szkoda. Nie depcze się serc bezkarnie!” I znowu seria wierszyków o oczach, włosach, białych dłoniach i gwiazdzistych wieczorach. Ostatnie karteczki zmieniły ton: „Jesteś nieczułą lalką”.

„Nie bądź taka zarozumiała, są ładniejsze dziewczyny”.

„Takie cizie, jak ty, znam na pęczki”.

„Zrywaj kwiatki, a nie mnie!”

- Wiesz, kto to pisał? - szepnął Jarek wstydząc się za męski ród.

- Domyślam się - odszepnęła Beata. Nie wyglądała na obrażoną, uśmiechała się tylko ironicznie. Zaraz po dzwonku, gdy nauczyciel wyszedł za drzwi, zgarnęła wszystkie karteczki i podeszła szybko do środkowego rzędu. Stała przy ławce Orłowicza, pokazała mu karteczki i spytała spokojnie:

- Czy to ty pisałeś?

Orłowicz zmieszał się. Nie mówiła zbyt głośno, ale tłumek ciekawych już zdążył się zebrać.
60

- He, he, ktoś tu przegrywa zakład! - zarechotał Heniek do swych Muszkietarów. Pokiwali głowami. Orłowicz uśmiechał się głupawo i milczał.

- Wiem, że to ty. Zabierz to, synku, i oddaj na makulaturę - powoli podarła karteczki na drobne strzępki i wysypała na ławkę Orłowicza. Odwróciła się, a on nabrał odwagi:

- Halo! Co to za śmiecenie, laluniu? I co za „synek”, twój?

- Grzeczniej, Orłowicz, trochę grzeczniej - odezwał się Jarek. - Awantury mogą ci się nie opłacić.

- Bo co? Patrzcie, rycerzyk się znalazł, obrońca czci niewieściej! Myślisz, że się będę z tobą pojedynkował?

- Myślę, że nie. Pojedynek to rzecz ludzi honorowych, a tyś swój honor głupio przegadał. Siedź cicho i ciesz się, że Beata nie chciała cię skompromitować i podarła te liściki, żeby się koledzy nie popłakali ze śmiechu.

Orłowicz mruczał coś jeszcze o narzeczonych, zarozumiałcach itp., ale Jarek wyszedł powoli na korytarz nie troszcząc się więcej o niego ani też o reakcję kolegów. Za to dziewczyny nie omieszkały podkreślić swej aprobaty. Kiedy znaczące spojrzenia i uśmiechy nie odniosły skutku, Tereska powiedziała wprost:

- Świetnie mu przygadałeś. Powinien jeszcze Beatę przeprosić, ale on tego nie rozumie!

- Gruboskórny! - dodała któraś.

- O, a przecież ty przez całą szóstą klasę robiłaś do niego oko! - wypomniała jej Urbańska, kuzynka Orłowicza.

- Co ty tam wiesz?

Jarek czym prędzej wyminął kłócące się dziewczyny i pobięł do licealistów. Marek z daleka

pomachał do niego ręką, ale nie odszedł od stojących z nim kolegów i wydawał się bardzo pochłonięty rozmową. Jarek powstał chwilę pod ścianą korytarza i zawrócił. Omal nie zwałił go z nóg tabun rozhukanych mustangów, czyli Pancerni Piątej Ce w akcji

61

bojowej, z kapitanem Komorem na czele. Bogdan wykrzywił się do niego, potem przymrużył oko i zakreślił w powietrzu sylwetkę długowłosej dziewczyny. Jarek najpierw rozżołościł się, a potem zastanowił: skoro nawet Bratek pozwala sobie robić aluzje, to coś w tym jest... E, bzdura, kto lepiej od niego może wiedzieć, czy chodzi z jakąś dziewczyną, czy nie? To, że coś ze trzy razy w sumie szedł z Beatą kawalek po lekcjach i że ona tylko z nim rozmawia normalnie, nic jeszcze nie znaczy. A poza tym - jest przecież Gośka! Dyskretnie zerknął do notesiku, który stale nosił w kieszonce na sercu. Jest, jedno jedyne zdjęcie, zatknięte za okładkę.

Ironicznie popatrywał na dziewczyny, gdy coś w dwa lub trzy dni po scenie z Orłowiczem przyłapały go pod kasztanami i Rysiówna powiedziała zjadliwie:

- Taki jesteś honorowy, a pozwalasz, żeby cię Beata robiła w konia! Zapytaj Joaškę, ona coś wie.
- Na własne oczy widziałam! - usłużna Joaška nie czekała na pytanie. - Beata była w kinie z jakimś jednym... starszym. Prowadził ją pod ramię!
- No to co? - zdziwił się Jarek. - Nie macie innych zmartwień?

Dziewczyny odeszły, rozszepcane i pewnie przekonane o stalowych nerwach Marcinowskiego, gotowe podziwiać go platonicznie.

Ale gdy Marek, po kilku dniach starannych uników towarzyskich, przyłapał go na korytarzu i zaprosił na rowerową wycieczkę w niedzielę, „oczywiście z Beatą”, Jarek zaczął mieć wątpliwości. Siedział w ławce jak na szpilkach, czuł, że uszy ma co najmniej zaróżowione, bał się spojrzeć na Beatę, kiedy musiał jej odpowiedzieć, odwracał głowę w bok. Szczęśliwie udało mu się uniknąć dialogu z nauczycielami, wyłączył się ze wszystkich pozostałych lekcji i rozmyślał intensywnie nad zagadkowością natury ludzkiej. Im dłużej się zastanawiał, tym miał większy mętlik w głowie.

62

Opamiętał się w ostatnim dogodnym momencie - Beata już zbiegała na chodnik przed szkołą, niecierpliwym gestem ściągając gumkę, grzecznie przytrzymującą włosy w czasie lekcji, i wcale nie było takie pewne, że i tym razem zechce z nim wracać. Przyspieszył kroku (ale możliwie dyskretnie - wiele oczu śledziło ich z zainteresowaniem) i zapytał szybko, nie zrównawszy się jeszcze z dziewczyną:

- Beata... czy ty lubisz jazdę na rowerze?
- Lubię! - odwróciła się z uśmiechem. - Ale dawno nie jeździłam.
- No, to jest w niedzielę okazja... Mała wycieczka ze znajomymi... Pojedziesz?
- Jasne! Skombinuję rower i mogę od świtu wybyć z domu!

Umówili się raz-dwa, Beata pożegnała go piękniejszym niż zwykle uśmiechem, no i na środku Kamiennej Jarek przypomniał sobie, że przecież nie ma roweru. Sprzedał koledze w Jastarni. „Kłops i zraziki! Chyba że mi Bogdan pożyczy...” - pomyślał i przed wejściem do mieszkania poćwiczył brate-rsko-dyplomatyczną minę.

Bogdan nie opierał się zbyt długo, bo ojciec zaplanował na niedzielę przejażdżkę samochodem, ale zapowiedział, że najmniejsze uszkodzenie roweru Jarek drogo będzie musiał opłacić.

Przez dwa dni na pauzach Jarek ustalał z Beatą szczegóły wycieczki, dostarczając tym świeżego materiału do babskich plotek. Raptem zaczął na nie zwracać uwagę, nadstawiał ucha, gdy dziewczyny kręciły się w pobliżu. Usłyszał więc to i owo, raczej głosy pozytywne, bo Beata zaczęła nareszcie rozmawiać z koleżankami. Coś tam musiało zajść między nimi na ostatnim wuefie, wróciła z boiska wraz z całą grupą, dziewczyny uśmiechały się do niej, jeszcze oględnie, ale dobre chęci już były.

W niedzielę Jarek kończył właśnie śniadanie, gdy ojciec wpuścił do mieszkania Beatę. W granatowych spodniach,

63

czerwonym swetrze i białej wiatrówce wyglądała bardzo ładnie. Wszyscy łącznie z Bratkami uśmiechnęli się do niej, ona też była wesoła i swobodna, zupełnie inna niż w klasie.

- Wstałam trochę wcześniej i pomyślałam, czemu by cię nie wyciągnąć z łóżka. Pośpiesz się, świetna pogoda na wycieczkę. To już chyba ostatnia taka niedziela przed szarugą.

- I tak musimy poczekać na Marka.

- Możemy na skwerku!

- Jak mnie znalazłaś?

- Człowiek ma imię i nazwisko, to nie igła w stogu siana! Chodź! Dowidzenia! Życzę przyjemnej niedzieli! -wybiegła zegnana uśmiechami.

Na skwerku siedział z gazetą Łysy Bolo. Beata wskazała go Jarkowi oczami i spytała:

- Kto to? Od jakiegoś czasu łązi za mną i łązi.

Jarek udzielił informacji i zaproponował z obojętną miną:

- Jeśli on ci się nie podoba, to mogę się nim zająć. I tak mamy z sobą do pogadania.

- Nie, dziękuję! -roześmiała się.-Na razie nie trzeba... O, chyba twoi znajomi nadjeżdżają.

Zjawił się Marek na czele małego orszaku.

- Poznajcie się - przedstawił. - To Maciek i Ela, Sebastian i Agata, Maryla, a to Jarek i Beata.

Jedziemy!

- Dokąd? - spytała Beata.

- Proponuję Tresną, oczywiście. Odpocznijemy nad wodą, może ktoś zechce popływać kajakiem - uśmiechnął się Marek.

- I tak nie wiem, gdzie to jest! Jedziemy! - zawołała Beata i ruszyła pierwsza.

Jarek sam z początku chciał zaproponować jezioro, lubił ten zakątek Beskidów, ale teraz stracił zapał, nie wiadomo dlaczego. Jechał na końcu szeregu, zły, że nie polni fi śmiać się i żartować z Beatą tak jak Marek. Jeśli

(I4

będzie miał cały czas taką ponurą minę, kto wie, czy Beata nie wybierze właśnie Marka na przejażdżkę kajakiem, a on będzie głupio sterczał na brzegu. Ten obraz zmusił go do działania. Zastanowił się chwilę, przyjrzał posapującej przed nim okrągłej Maryli, i mijając ją, rzucił od niechcenia:

- Po co tracić od razu tyle energii, do Tresnej jeszcze kawał drogi - i podał odległość w kilometrach, dorzucając ze cztery.

- Co? - Maryla zatrzymała się. Otarła czoło ręką. - O, nie, nie dam się nabrać! Marek! - zawołała. - Dlaczego nie uprzedziłeś, że to tak daleko? To trasa dobra dla chłopców, ja na przykład nie mam treningu.

Otoczyli ją kołem i zaczęli namawiać do wzięcia się w garść, ale po chwili i Ela, i Agata zaczęły się łamać. Beata milczała. Dopiero gdy chłopcy przestali dobrodusznie podrwiwać ze słabej płci i zaczęli być źli naprawdę, zabrała głos i przesądziła sprawę:

- Nie, serio, to nie ma sensu. Chyba że chcecie nas z powrotem taszczyć na ramach, z dodatkowymi rowerami na holu.

- Brrr, dziękuję! - otrząsnął się Maciek. Roześmieli się i przestali dyskutować. Agata zaproponowała ognisko gdzieś w lesie nad strumykiem, a że przy szosie żywieckiej trudno znaleźć odpowiedni zakątek, skręcili w bok, do Mikuszowic, na błonia pod lasem. Ruczaju romantycznego co prawda nie znaleźli, trzeba było zadowolić się wątlą sadzawką w leszczynach, ale i tak najważniejsze było przecież ognisko. Nazbierali wielki stos gałęzi, trafiło się przy okazji parę grzybków, Sebastian z Beatą podjechali do najbliższego domu i wrócili z torbą pełną ziemniaków. Każdy coś tam przywiózł w chlebaku, ucza więc wypadła doskonale. Przypiekli na ogniu, co się dało, chleb, kiełbasę, jabłka, Maciek nawet poeksperymentował z żółtym serem. Zaparzyli w menażce mocną herbatę, a gdy ugasili pierwsze potężne pragnienie, Marek przymknął znacząco

5 - Klub Kosmohikanów

65

oko i wyjął ze swego chlebaka butelkę miodu pitnego wraz z torebką wonnych goździków.

Opowiadali kawały, śpiewali, Sebastian świetnie grał na ustnej harmonijce, tańczyli nawet trochę.

Potem dziewczyny zaczęły przypominać sobie różne zabawy przedszkolaków i dziecinne piosenki, rozochociona Beata odśpiewała jedną po francusku. Na zachwyczone pytania odparła niedbale, że

urodziła się pod Paryżem, i zmieniła temat. Jarek łowił jej spojrzenia i uśmiechy, podejrzliwie licząc wszystkie nie do niego skierowane. To mu się wydawało, że go specjalnie wyróżnia, to znów że najwyraźniej lekceważy. Starał się zatuszować te rozterki demonstracyjnie świetnym humorem, silił się na najdziwniejsze w towarzystwie pomysły i wygłupy, najdłużej wytrwał w tańcu na rozpalonym popie-lisku.

Zadeptali ognisko już przy zapadającym zmierzchu. Dziewczyny bały się wracać po ciemku, ale Maciek przekonał je, że krótsza droga przez las nie jest wcale taka ciężka, a wszystkie rowery mają światła, więc cóż za problem? Ustawili się w szeregu i ruszyli, z gwizdaniem, śpiewem na ustach i pohukiwaniem. Marek z Sebastianem pojechali przodem, zaczęli się w krzakach i nastraszyli Agatę. Jadąca za nią Beata musiała gwałtownie skrócić w bok, wpadła między korzenie i rąbnęła rowerem o jakiś pniak. Na szczęście nic jej się nie stało, za to kierownica uległa skruceniu wraz z kołem, a tylne oklapło z sykiem. Pod nieszczęsnym pniakiem leżała rozbita butelka.

- To nic, głupstwo - powiedział prędko Jarek, który pierwszy był przy Beacie. - Zaraz to naprawię. Czy ma ktoś zapasową dętkę? - Jak na złość nikt nie miał.

- Co za ekipa! - westchnął Marek. - Może przynajmniej znajdzie się klej i kawałki gumy? Ja, niestety nie mam.

- Ja mam - stwierdził z zadowoleniem Jarek zaglądając do torebki pod siodełkiem. Docenił Bogdana. - I klej, i gumę...

- Dasz sobie radę? Bo może niech oni jadą, a my ich

66

dogonimy - powiedziała Beata. - Robi się coraz ciemniej.

- Jasne, że sobie poradzę. Wszyscy jedźcie. Beata, weź mój rower. Zaraz was dogonię. Nie ma sensu, żebyś się po ciemku tłukła - Jarek ucieszył się, że może jej wyświadczyć przysługę. Z zapalem majstrował przy świetle zawieszanej na gałęzi latarki Sebastiana. Potrwało to dłużej, niż przypuszczał, i nie dogonił już ekipy.

No cóż, dziewczyny pewnie bardzo się spieszyły do domów, wycieczka już wcześniej powinna się była skończyć. Nie czuł żalu do Beaty, jeszcze raz podsumował w pamięci wszystkie jej uśmiechy i wracał- zadowolony z siebie, ba - radość rozsadzała go po prostu i nawet kłótnia z Bogdanem nie była w stanie jej zgasić.

Tydzień awantur

Bogdan, zły na Jarka o rower, od rana mruczał na niego, dogadywał, prowokował do sprzeczki, wreszcie Jarekroz-złościł się i odwarknął mu przy stole.

- Chłopcy! - matka spojrzała na nich z wyrzutem, a pani Leokadia westchnęła:

- Czyżby zanosilo się na tydzień awantur? W takim razie wolę się przyznać: to ja stłukłam dziś rano filiżankę z twojego nowego serwisu, Soniu. Po co masz podejrzewać kogoś niewinnego! - zrobiła skruszoną minę i matka nie mogła już się gniewać. - Może znajdę podobną, to odkupię. Jarek szedł do szkoły ze Stefankiem, Bogdan osobno, drugim chodnikiem. Tuż przed szkołą dogoniła ich Zosia. Prowadziła za rękę Krystynkę z drugiej klasy, najstarszą córkę Ziębickiego. Mała wyrwała się jej na schodach i pobięła do koleżanek, a Zosia westchnęła i powiedziała Jarkowi, że Ziębicki dostał wymówienie z pracy i już od dwóch dni nie był w domu.

- Pewnie pije gdzieś za ostatnią pensję. Żona źle się czuje, ale musi chodzić do pracy. W sklepie cały czas na nogach, pochoruje się na dobre... Ja... - zawahała się - ja mam prośbę do Stefanka.

- No, to mów - Stefanek założył ręce do tyłu, zmarszczył brwi i przybrał skupioną minę, wykazując, że jest godny zaufania.

- Czy mógłbyś pomóc Krystynce? Przychodziłaby do ciebie po południu i razem odrabialibyście lekcje, dobrze? Ty się nieźle uczysz, a ona ma kłopoty.

- Niech przyjdzie - zgodził się Stefanek. - Ale niech Jarek powie Bogdanowi, żeby się sam nie rozpierał na stole. Powiesz?

- Powiem, powiem... Pośpieszcie się, już dzwonek.

68

Beata też się trochę spóźniła i wpadła do klasy zaraz po nauczycielu.

- Rower oddam ci po południu - szepnęła zdyszana, opadając na ławkę. - Fajna była ta wycieczka!

Poniedziałki bywają często dniami uczniowskich porażek, ten również przyniósł sporo dwój, dając nauczycielom okazję do ponurego proroczego kiwania głowami. W siódmej B przyjęto klęskę z filozoficznym spokojem, popłakała się tylko jedna uczennica i Dąbek, należący do Ambitnych, też miał smętną minę.

- Swoją drogą ciało pedagogiczne mogłoby pójść na kompromis - zauważył Opalek obciążony dwójką z matmy. - A tu taka Whóbllica skoży się pehł idnie właśnie po niedzieli, głucha na głos wieloletniej praktyki. Smutne.

Pocieszył się grubą kromką chleba z kielbasą, przegryzając pomidorem. Nie zdążył nadelektować się śniadaniem, bo wpadli na niego tłukący się Muszkietierowie i pomidor plasnął o podłogę. Opalek wściekły, ale jak zwykle powolny, zebrał rozciapkany owoc w garść, wyczekał dogodnej chwili i starannie osadził go na nosie Heńka. Udało mu się bez obrażeń wybyć na korytarz, bo Muszkietierowie pierwszy chyba raz tłukli się bardzo serio, innych bliźnich nie zauważając.

Skończyło się tak, jak powinno w szkolnych warunkach - dyżurujący nauczyciel porozstawiał ich po kątach, zapisał nazwiska (dwóch namiętnych kibiców też) i zagroził konsekwencjami.

- Spotkamy się po lekcjach! - zawarczał Heniek do pozostałych.

- Tam, gdzie zwykle! - odwarknęły dwa kąty, trzeci milczał wściekle.

- No, no, więcej nowe wiathy - powiedział Opalek do Jarka i Leszka, którzy obserwowali konflikt z bezpiecznej odległości. - Jeszcze tylko Ambitni nie hóżnią się w poglądzie na życie.

Dziewczyny też wydawały się dziwnie solidarne, pogodzone z Beatą plotkowały, obdarzały się słodyczami

69

i uśmiechami. Ale gdy August Mocny polecił Beacie osłonić bardziej kolana i schować wreszcie nieszczęsną maskotkę, niektóre wymieniły znaczące spojrzenia. Nie były też specjalnie wstrząśnięte, gdy dostało się Beacie i na lekcji wychowawczej, jednej z mniej przyjemnych od początku roku szkolnego. Siódma B stuliła uszy i cichutko opuszczała klasę po dzwonku.

- Dlaczego wszyscy się ciebie czepiają? - oburzyła się obłudnie Joaśka, słodko patrząc w oczy Beacie.

- Przyzwyczaiłam się - Beata wzruszyła ramionami z obojętną miną i rozejrzała się za Jarkiem, co bystre koleżanki znów skwitowały wymianą spojrzeń.

Jarek nie spieszył się do domu. Przystanął z Beatą na skwerku o dwie ławki od pograżonego w lekturze gazety Łysego Bola, potem kopał aż do bramy okrągły kamyczek, starannie celując w co drugą płytę chodnika. Zosia więc zdążyła porozmawiać z jego matką. Minęli się w drzwiach mieszkania.

- Bardzo miła i mądra dziewczyna ta Zosia - powiedziała matka. - Można z nią poważnie porozmawiać... Cóż to się dzieje w waszej klasie? Jakies nagany, upomnienia?

- Miła Zosia zdążyła naplotkować - skrzywił się Jarek gardząc w tej chwili wszystkimi babami. Prawie wszystkimi.

- Nie, nic nie mówiła. Wiem od Bogdana. Wychowawczynie nie polecała im brania przykładu z siódmej B. Co to było?

- A, pobiło się kilku na przerwie!

- Mamo Soniu! - do kuchni wszedł Stefanek z pustym talerzykiem w ręku. - Dołóż jeszcze, proszę. Krystynce straszliwie smakują te ciasteczka, a ja się mam nią opiekować.

- Proszę bardzo... A to dla ciebie, Jarku, tylko najpierw zjedz obiad. Dziś jemy na raty, ojca zatrzymano w fabryce.

Malcy uczyli się w pokoju babci, bo Bogdan swoim zwyczajem rozpanoszył się na wspólnym stole. Jarek nie

70

miał zamiaru pogarszać i tak napiętej sytuacji między nimi, wziął, swoje książki i przeniósł się do stołowego. Nie zdążył jednak wiele zrobić, Beata odprowadziła rower. Przyszedł z nią Marek i zaproponował wspólne kino.

- Maryla też idzie? - chciał wiedzieć Jarek-

- Nie, szanowna kuzynka miewa o tej porze lekcje muzyki - zaśmiał się Marek, lekko podkreślając

ową „kuzynkę”, co nie spodobało się Jarkowi, ale wkrótce o tym zapomniał, pochłonięty sugerowaniem Beacie, że ma na temat filmu w ogóle zdanie nie mniej wyrobione i oryginalne niż Marek, lecz właśnie w tej chwili nie chce mu się dyskutować. Przy wyjściu z kina zmierzył zimnym wzrokiem Łysego Bola, który też był na tym samym seansie i starał się zainteresować Beatę głośną i dobitną recenzją w stylu: „dla mnie chała, niezyciowe”. Beata nie raczyła spojrzeć.

Na podwórku Jarek zastał wielką awanturę. Pijany Ziębicki podrzemywał pod trzepakiem, żona, płacząc i wymyślając, usiłowała go podnieść i zaciągnąć do domu, jakiś trochę trzeźwiejszy kumpel pijaka chwiał się pod oknem oficyny, biorąc wyglądającą przezeń Pawłasową za żonę Ziębickiego, i tłumaczył jej, że nie powinna być niezyczliwa mężowi w chwili nieszczęścia życiowego.

Wykrzykiwał głośno swe poglądy na to i na owo, na kobiety przede wszystkim, zaprodukował nawet jakąś śpiewkę, prawdopodobnie własnej kompozycji, i najpierw figlarnie, potem ze złością pogroził Pawłasowej. Zaleknione maluchy skupiły się w piaskownicy wokół Zosi, mali Ziębiccy płakali na balkonie, starsze dzieciaki i niektórzy dorośli tworzyli audytorium w różnych kątach podwórza i w oknach.

- Eee! - zirytowała się w końcu Tubowa popijając kawę w swym oknie. Odstawiła szklanekę i wkroczyła na beton podwórka. - Co pani będzie z nim gadać, pani Pawłasową. Napluć nawet nie warto - potrząsnęła ramieniem pijaka. - Jazda, tu jest porządna kamienica! No, jazda, mówię! - 71

Pijak popatrzył na nią z oburzonym zdziwieniem i chciał się wypowiedzieć, ale nie zdążył. Tubowa wykręciła mu obie ręce, przytrzymała je wraz ze spodniami swoją jedną garścią, drugim ramieniem skrepowała szyję denata i wyniosła go 'z podwórza, pomagając sobie kolaniem. Nie poprzestała na wyrzuceniu gościa za bramę - odciągnęła go kawałek dalej, zakreśliła, żeby stracił orientację, i popchnęła w przeciwnym kierunku. Potem otrzepała ręce o fartuch i dobrała się do Ziębickiego. Dwoma kułakami pozbawiła go resztek energii, zarzucając jak worek na plecy, i zaniosiła na pierwsze piętro oficyny, udzielając po drodze dobrych rad jego żonie.

- Widzisz, jaka ona jest! Sienkiewicz takie opisywał - powiedział do Jarka z szacunkiem Witek Zeller. - A>ja, psiakość, zrobiłem kawał Sławkowi. Jak się połapie i na-skarży! Strach pomyśleć! Nazajutrz przywołał psykaniem wracającego ze szkoły Jarka pod swe okno od ulicy:

- Sławek naskarżył! Rozejrzyj się, czy jej gdzie nie widać, muszę wyjść do sklepu. Choroba, mieszkamy drzwi w drzwi!

- Nie widać. Słysząc ją z mieszkania. Ma jakieś pretensje do męża.

- No, to wychodzę! - szybko wybiegł na chodnik. - Słuchaj, ja tylko na róg, wcisnę się bez kolejki, postój tu, dobrze? Dasz znak, czy droga wolna? - miał naprawdę przerażoną minę, Jarek roześmiał się i został na warcie.

Zza zakrętu, ze starszego odcinka Kamiennej, wyłonił się Łysy Bolo z rękami w kieszeniach.

Popatrzył na Jarka, przystanął, zapalił papierosa i podszedł wolniutko, mrużąc oczy. Nie wyjmując papierosa z ust spytał niewyraźnie:

- Włazisz mi w drogę, he?

- Pytanie, kto komu włazi - najeżył się Jarek. Oparł teczkę z książkami na brzuchu. Bolo uśmiechnął się pogardliwie.

72

- Przyślę po ciebie, jak stracę cierpliwość - oznajmił ruszając.

- Wygodny jesteś, masz asystentów. ^ -

- Ty też sobie skaperuj. Radzę.

Łysy Bolo odszedł kołyszając się lekko w biodrach, a patrzący za nim Jarek zdziwił się w pierwszej chwili, czego chce od niego Witek Zeller, rozpaczliwie wymachujący zza rogu sąsiedniej ulicy.

- Aha! - przypomniał sobie. Dał Witkowi znak, żeby zaczekał i wszedł do sieni, mimo woli stąpając na palcach.

Tubowa właśnie opuszczała mieszkanie z trzepaczką w ręce, dywanem na ramieniu i poirytowaną miną. Ukłonił jej się grzecznie, spojrzała podejrzliwie i zeszła na podwórze. Jarek wybiegł przed bramę i przywołał Witka.

- Uff! - odsapnął Zeller opierając się o ścianę. - Ciekawe, kiedy jej złość na mnie przejdzie?

- Posiedzisz sobie w mieszkaniu jak w twierdzy, poczekasz.
- Tak, w domu też już była. U rodziców ze skargą. Matka nie znosi takich sytuacji, w ogóle jest delikatna. Dobrze, że był tylko ten kuzyn ojca, więc poszła sobie... Raz już przez nią ojciec zniszczył powiększalnik, bo przyszła na skargę, zupełnie głupią, zdenerwował się i huknął pięścią. Chciał we mnie i w stół, a trafił w aparat. I pochorował się. Bo on wiecznie choruje - westchnął kierując się do swoich drzwi. - Mówię ci, bracie, co ja mam ze starymi, niech nikt nie zazdrości! - zwierzył się nagle. - Oj, przestała trzepać! Lecę! - szybko trzasnęła drzwiami. Jarek pobiegł na górę, też nie chciał spotkać się z Tubową.

Odrabianie lekcji jakoś mu nie szło. Rozmyślał o zajściu z Łysym Bólem i jego przyszłych konsekwencjach. Rzeczywiście, warto by mieć na wszelki wypadek sekundantów, przy świadkach Bolo może będzie bardziej honorowy i nie zrobi zasadzki? Tylko kogo wybrać? W pierwszej chwili pomyślał o Marku i Sebastianie, ale zrezygnował. Zawstydzził się, nie wiadomo dlaczego. Nie chciał zasłużyć na

73

pobłażliwie-ironiczny uśmiech, zwłaszcza Sebastiana. Trzeba będzie rozejrzeć się w klasie. Pomyślał o Opałku. Z początku jakoś go nie lubił, wydawał mu się zbyt wielkim gadułą, ale rozśmieszyło go kilka powiedzonek Zbyszka, no i przedwczorajszy epizod z pomidorem też był dobry. Widać w potrzebie Opałek potrafi się ruszać i chyba jest silny, tak na oko dosyć potężny... To jeden. Bogdana nie można mieszać w takie sprawy, za młody. Tu by się przydali Kosmohikanie, nie tylko z pięściami. Nieźle ruszają głową i jak dotąd potrafili rozwiązywać konflikty z korzyścią dla siebie... Stop! Nawet gdyby byli pod ręką, nie mógłby ich przecież wykorzystać w sporze o Beatę! Właśnie: nie może być nielojalny. Sięgnął do notesika w kieszeni marynarki, wyjął zdjęcie Goški i nie patrząc na nie wsunął do szuflady, pod stertę innych fotografii, przykrył zeszytami.

Nazajutrz nie udało mu się porozmawiać z Opałkiem na osobności, zresztą przyglądał się jeszcze pozostałym kolegom rozważając wybór, który go przecież jakoś wyraźniej ustawi w klasie. Już październik, trzeba w końcu podjąć Męską Decyzję!

Na razie jednak do końca tygodnia pochłonięło go planowanie następnej wspólnej wycieczki, którą zaproponowała tym razem Beata. Pogoda zapowiadała się murowana, ciepłutko jak w końcu sierpnia lub co najmniej na początku września. Beata latała niemal na każdej przerwie do licealistów, zapaliła do projektu Agatę i obie wymyślały rozmaite wersje Miłej Niedzieli, a Marek torpedował ich co fantastyczniejsze pomysły, przekomarzając się niezłośliwie. Dla obniżenia temperatury obrad zaczynał zwykle w środku paury rozmawiać z Jarkiem o sporcie, głównie kajakarstwie, co trochę irytowało rozgadane przyjaciółki, ale potrafił zawsze zakończyć z humorem, co podobało się dziewczętom. Jarek też starał się być dowcipny, ale czuł, że daleko mu do tego swobodnego licealisty, i zaczął być zazdrosny, choć wołał się do tego nie

74

przyznawać nawet przed samym sobą. Śledził nieufnie wszystkie uśmiechy Beaty popadając to w ponure przygnębienie, to w tłumioną z trudem radość.

W piątek po południu rozpadł się drobny, ale dokuczliwy deszcz, ochłodziło się znacznie, a w sobotę rano Agata oświadczyła, że ona i Sebastian nie wezmą udziału w żadnej wycieczce, bo nagle zmienili plany. Beata straciła humor, nie chciała już spędzać pauz w towarzystwie Jarka, wrócił więc do domu pełen wątpliwości. Po cichym i nudnym obiedzie pani Leokadia, która nie wyszła ze swego pokoju, przywołała Bogdana, aby przerobić z nim lekcje (obudziła się w niej widać emerytowana nauczycielka), a matka wzięła ze sobą do kuchni Stefanka, pogadując z nim poważnym głosem. Inżynier czytał gazetę, potem gdzieś wyszedł, Jarek zamknął się w pokoju chłopców bardzo zadowolony, że nikt mu nie przeszkadza w rozmyślaniach. Mimochodem sięgnął na dno szuflady pod zeszyty i wyjął fotografie młodych Borzęckich (tę z Gošką wśród świerków pomijał rozmyślnie, chowając na koniec). Drgnął i zaczerwienił się gwałtownie, gdy matka weszła do pokoju, niosąc uprasowane koszule chłopców.

- Nie przeszkadzam? - spytała możliwie najpogodniej. Zauważyła zdjęcia. - Widzę, że nowe znajomości nie podważają starej przyjaźni... - zawahała się. - Bardzo się tu czujesz samotny? - spytała cicho. Jarek wzruszył ramionami, najeżył się. - To moja wina, częściej rozmawiałam z

młodszy... ale oni są tacy bezradni wobec nowych sytuacji, tacy bardzo od dorosłych zależni... Ty już myślisz poważniej. Wiem, że masz...

- Oj, mam! - przerwał burkliwie. - Przecież wszystko rozumiem, po co tyle gadania?
- Szkoda, że nie można z tobą porozmawiać! - zdenerwowała się w końcu.
- Chłopcze, może byś jednak rozmawiał z matką innym tonem? - zaproponował zimno ojczym, który właśnie

75

wrócił i wieształ mokry płaszcz w przedpokoju. Też był nie w humorze.

- Nic się nie stało, to mnie się dziś od rana wydaje, że mi wszyscy dokuczają - matka próbowała się uśmiechnąć, ale blado to wypadło. Szybko zakręciła się po pokoju, coś tam niby poprawiając na tapczanie Bogdana, i poszła do kuchni zapowiadając „dziarskim” głosem, że upiecze na niedzielę kruchą babkę.

Jarek posiedział jeszcze chwilę nad zeszytami, wreszcie wstał powoli, dotarł do drzwi kuchni i zaproponował od progu:

- Pozmywałbym coś albo powycierał...
- Dobrze... Jest tu brudny talerz i dwie szklanki - westchnęła matka.

Napięta atmosfera trwała aż do wieczora, do przyjścia Królikowskich na brydża. Za oknami lał deszcz, już wyraźnie jesienny.

Tydzień nie tylko awantur - także informacji

- Słuchaj, Zbyszek... - Jarek od rana krążył w pobliżu Opałka, nie mogąc się zdecydować, wreszcie przyłapał go na dużej pauzie pod kasztanami. - Mam do ciebie sprawę... Chcesz być moim świadkiem? -

- Świadkiem? - zdębiał Opałek.
- No, sekundantem.
- Sekundantem? Hany humszytk, śhedniowiecze! - Opałek dębiał jeszcze chwilę, a potem upewnił się skwapliwie: - Sekundanci nie muszą się bić? Tak dla wyhówna-nia, między sobą?
- Nie, nie słyszałem.
- No to dobra. Może być hożhywka. Hęka!
- Mam nadzieję, że to będzie rozprawa honorowa.
- A co? Może nie być? - zaniepokoił się Opałek.
- Nie wiem... Ale nie wygląda źle. Poradź mi, kogo wybrać na drugiego?
- Ze mną pójdzie na pewno Wojacek, ale z hamieniem też by się ktoś jeszcze zdał... Dobhy jest Piothowski. Ambitny. Mogę z nim pogadać - Opałek przejął się swoją rolą. - Podaj tylko tehmin i tak w skhócie, o co chodzi, bo Piothowski w ciemno nie gha... Ja zhesztą też - przypomniał sobie.
- Powiem wszystko, jak przyjdzie co do czego. Może jutro, a może za tydzień, sam nie wiem...

Dziękuję ci.

- Dhobiazg. ZaintehesowTaleś mnie, hany humszytk!
- Tylko: tajemnica!
- Hozumie się!

Teraz Opałek kręcił się w pobliżu Jarka, zachowując dyskretny dystans, czuł się pewnie współodpowiedzialny za jego zdrowie.

Nic na razie Marcinowskiemu nie zagrażało, dobre

77

chęci Zbyszka zostały wystawione na próbę cierpliwości. Żadnych zaczepki na terenie szkoły. Orłowicz (jego to z początku Zbyszek podejrzewał) wyraźnie Jarka unikał zdobywając się jedynie na złośliwe docinki poza jego plecami. Wyprawy Jarka do skrzydła licealistów też kończyły się bezkrwawo i jałowo (Marek umiejętnie znikał na każdej przerwie). Tylko dziewczyny miały do Jarka jakieś interesy, indywidualne i grupowe, a to, co mówiły, nie zachwycało Marcinowskiego, to było widać gołym okiem, jednak interwencja sekundanta wypadłaby śmiesznie, czekał więc na wyraźny znak działania.

A dziewczyny zaczęły najpierw od mglistych aluzji.

- Wierzysz w przeznaczenie? - spytała Kuszecka Ry-siównę. Oparły się o kaloryfer pod oknem

korytarza i starannie nie dostrzegały stojącego z drugiej strony Jarka. -Bo ja wierzę, że każdy spotyka kogoś podobnego do siebie.

- Albo w podobnej sytuacji - uzupełniła Rysiówna. -Patrz, jak to się złożyło, że oni...

- Ciii - przerwała jej Kuszecka, jakby dopiero teraz zauważając chłopca. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i powiedziała: - Wiesz, rozmawialiśmy przed chwilą o Beacie. Fajna dziewczyna.

- Mogłaby się załamać. Ja bym się załamała - pokiwała głową Rysiówna. - A ona jakby nigdy nic. Podziwiać!

Odeszły wolno, trzymając się za ręce, i Rysiówna powiedziała półgłosem niby do Kuszeckiej, ale żeby Jarek słyszał: - On też jest twardy... Podobno... - rozszepotały się, a poirytowany Jarek wzruszył ramionami.

Na następnej przerwie przyłapała go Urbańska, kuzynka Orłowicza:

- Myślisz, że my nie rozumiemy Beaty? Doceniamy jej sytuację, tak jak ty! - odeszła wśród serdecznych uśmiechów.

- Jak to dobrze, że jej pomagasz! - zachwyciła się w chwilę później Tereska. Towarzysząca jej Hania Rudec-

78

ka wprawdzie nic nie rzekła, lecz spojrzała na Jarka z życzliwym zrozumieniem.

- Jarek, czy Beata urodziła się we Francji? - chciała koniecznie wiedzieć mocno przejęta tym Joaśka, nazajutrz, jeszcze przed lekcjami.

- Tak - odparł krótko, przypominając sobie scenę przy ognisku.

- Aha! - Joaśka spojrzała na niego z szacunkiem, a on mimo woli przybrał minę doskonale poinformowanego o sprawach Beaty. Postanowił w końcu jakoś uporządkować te bezładne babskie pogaduszki. Przywołał Opalek na pierwszej przerwie i spytał, trochę się jękając:

- Co dziewczyny... gadają o Beacie? Wiedzą coś?

- Zahaz z hobię wywiad! Dhobiazg.

- Głupio by było, gdybym to ja się dopytywał... -nawet się lekko zarumienił, ale szybko odwrócił twarz i Zbyszek chyba nie zauważył. Wyglądał na zadowolonego z polecenia, bo już mu się czas w roli sekundanta zaczął dłużyć. Dobry i rydz! Jeszcze dzwonek po lekcji nie przebrzmiał, a Opalek już mrugał porozumiewawczo, wyskakując ze swej ławki. Padało, pod kasztany nie było sensu biegać, Zbyszek zaciągnął Jarka do spokojnego kącika obok wejścia do piwnicy. Przepłoszyli stamtąd trzech młodszych chłopaków, którzy wypalali do spółki jednego papierosa.

- Jak skończymy rozmowę, to możecie whócić - Opalek okazał się łaskawy dla bliźnich. Za to Jarek zmarszczył brwi.

- Bogdan? - zdziwił się surowo-pedagogicznie. Bratek roześmiał mu się w nos, jakoś sztucznie hałaśliwie, i pokazał język uciekając za kolegami.

- Znasz go?

- Tak... No i czegoś się dowiedział?

- No, więc dziewczyny znają choć trochę szczegółów z życia Beaty. Pewnie połowę pozmyślały, ale ta heszta je zastanowiła. Thochę zazdroszczą, thochę jej współczują. No, bo

79

jasne, ta sytuacja godzinna... wiesz... - on też chyba wierzył w Jarkową znajomość rzeczy.

- Dobra, dobra! Powiedz, co wiedzą konkretnie. Wylicz.

- Że ma już piętnaście lat i urodziła się we Francji, bo jej ojciec był tam na stypendium czy innej hobocie. Że jak skończył, to musiał sam whacać, bo matka została tam z Fhancuzem i na hacie z Beatą. Że ojciec chciał zabhać cóhkę i się z Polski phocesował, ale matka nie dała. Że wyghała, a potem oddała ją do szkoły z intehnatem, a jak Beata stamtąd uciekła, to ją wsadziła w pociąg i odesłała do Polski. A tu jej ojciec już miał nową godzinę i jej nie chciał. Więc uciekła z trzech domów dziecka, a wheszcie zaopiekowała się nią jakaś ciotka. Ale ona umahła. No, to zajęła nią się dhuga, thochę „przyszywana”. Właśnie tu, w Bielsku. Matka jej hóżne rzeczy z Fhancji przysyła i zaphasza znowu, ale tehaz Beata nie chce jej znać. Ojciec też się nią czasem intehesuje, haz nawet przyjechał. No, i tyle mówią - wyrecytował Opalek prawie jednym tchem. Odsapnął i skomentował: - Dohośli już tak pothafiać człowiekowi uhozmaić zyciohys, że hany humszyk!

- Nie wiesz, od kogo mają te wszystkie wieści? - spytał Jarek.
- Nie wiem! Baby zawsze mają dobhy wywiad... A co z naszą sphawą?
- Czekamy cierpliwie.
- Czekamy ciehpliwie... - westchnął Opalek. Wrócili do klasy. Jarek starał się okazać w jakiś sposób

Beacie życzliwość i chęć pomocy, robił to jednak niezgrabnie i na pewno nie rozumiała jego intencji. Pytać wprost nie wypadało, poza tym krępowała go myśl o ewentualnej rozprawie z Łysym Bólem. Beata odpowiadała na jego sztuczne trochę miny zwykłym uprzejmym uśmiechem, po czym na przerwie biegła do Agaty, dziewczyny Sebastiana, lub też pozwalała koleżankom z klasy na krótkie adorowanie swej osoby. Jarkowe wyprawy na piętro licea-

80

listów mogły być w tym układzie źle zrozumiane - na przykład jako chęć śledzenia Beaty - przestał więc zaglądać do Marka, a ten również go nie szukał. Wypadało zresztą zbliżyć się trochę do kolegów, poświęcić im choćby ze dwie przerwy dziennie.

Chłopcy z siódmej B nie nudzili się między lekcjami. Awantur co prawda większych nie było, nawet Muszkietierowie przycichli, chociaż po świeżych zadrapaniach i siniakach można było poznać, że konflikt wewnętrzny jesz-cze trwa. Heniek stracił humor, nikomu nie dokuczał, ze dwa razy spontanicznie zabrał głos na lekcjach, ku zdumieniu nauczycieli, i jakkolwiek jego wypowiedzi nie były takie znów błyskotliwe, docenili inicjatywę. Jarek nie pytany nie zabierał głosu, kiedy musiał, starał się odpowiadać jak najkrócej, aby mieć czas na prywatne dumania. Jego nieobecny wzrok nauczyciele tłumaczyli sobie zapewne trudnościami aklimatyzacji w nowym środowisku. Opalek czytał w nim zapowiedź czynów niemałych.

W piątek dziewczyny dały spokój Jarkowi, poprzestały na wieloznacznych uśmiechach, trochę złośliwych gdzieś tak od przedostatniej przerwy, za to sobota znowu była niemila. Tym razem zaczęła Joaśka:

- Wiesz... -szepnęła ze współczującą miną, rozglądając się dokoła. - Znowu widziałam ją z tym starszym facetem. W cukierni. Ty znasz jej ojca albo jakiegoś kuzyna? Bo może ktoś z rodziny... Chociaż na ojca za młody... Nic jej nie powiesz?

- Najwyżej, że jesteś głupia - rozzłościł się. - Nie wtrącaj się do Beaty, dobrze?

Obrażona Joaśka odplynęła dumnym krokiem, Jarek ruszył na poszukiwanie spokojnego kąta. Dyżurnymi były dziś dwie cichutkie lęklive uczennice, pomyślał więc o azylu w klasie. Źle trafił - na pierwszych ławkach siedziało kilka dziewczyn, majtały nogami, zajadały cukierki i plotkowały. Beata też tu była, przepisywała zadanie fizyczne od Hani. Nie wypadało mu wiać w popłochu,

6 - Klub Kosmohikanów

81

usiadł więc na oknie. Dziewczyny wymieniły spojrzenia i Rysiówna zawołała do Beaty:

- Ty naprawdę masz w nosie tego sprzed szkoły? Taki wytrwały! - zachichotały wszystkie.
- I pasujecie do siebie. Włosami! - dodała Kuszecka. Beata roześmiała się:

Właśnie te jego loki to duża przeszkoda w zawarciu znajomości! Muszę widzieć chłopaka, z którym rozmawiam.

- No, a Skaldowie? Nie podobają ci się? - zapytała

Urbańska, wielbicielka Zielińskich.

- Ich się przede wszystkim słucha - zauważyła spokojnie Beata. - No, widać ich też nieźle... A ten tam to już karykatura!

Agata wywołała ją na korytarz. Rysiówna powiedziała wydymając usta:

- Pewnie też się trochę boi konkurencji, bo on ma naprawdę wypielęgowane włosy.
- No! - zachwyciła się Tereska, posiadaczka wątłej krótkiej czupryni.

Jarek czuł, jak wzbiera w nim stopniowo coraz większa złość, ocean złości. Jeszcze jako tako zdołał się pohamować, gdy na następnej przerwie Orłowicz zdziwił się z przekąsem:

- Nie obchodzi cię ten blondyn ze skwerku? Dałbym gościowi, gdyby tak mi sterczał dzień w dzień przed budą.

- Nie twoja rzecz - mruknął Jarek przez zęby.
- A może o nim nie wiesz? Nie odprowadzałeś ostatnio Beaty, więc...

- Jeszcze raz ci mówię, nie twoja rzecz! Odczep się, dobrze radzę, bo możesz przestać się chwalić regularnymi rysami twarzy! - nie tyle słowa, ile ton głosu Jarka przekonał Orłowicza o konieczności spieszego zmieszania się z tłumem na podwórku.

Jarek wszedł na korytarz z oknami od ulicy. Rzeczywiście - na wąłym skwerku naprzeciwko szkoły, między

82

huśtawką a drabinkami dla maluchów, tkwił Łysy Bolo, nieczuły na wichry jesieni.

„Patrzcie go, ozdoba skwerków miejskich! Polna chry-zantemka ogrodowa, psiakość!” - ze złości trochę się zagubił w botanice. Zacisnął pięści i postanowił rozprawić się z Bólem zaraz po wyjściu ze szkoły, wszystko jedno, z sekundantami czy bez. Poprosi go na boczek, na przykład do parku za rzeczką, i raz kozie śmierć! Całą ostatnią lekcję poświęcił na podsycanie w sobie płomienia bojowego, toteż dwójka z geografii nie zdołała nim wstrząsnąć. Musiał palnąć jakieś wielkie głupstwo, wyczytał to z min nie tylko Hani Rudeckiej i Ambitnych, ale nie przejął się tą drobnostką. Wypadł ze szkoły jak bomba - Bolo jednak znikł. Nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. t

Szukał go jeszcze ze dwie godziny po obiedzie włączając się prowokacyjnie po rozmaitych zakątkach dzielnicy, na próżno. Gdy wracał, rozczarowany i nieco mniej wściekły, spotkał na schodach Zosię schodzącą z drugiego piętra. Była mocno czymś przejęta i poważna.

Szukał go jeszcze ze dwie godziny po obiedzie, włączając powiedzieć.

Jarek skoczył jak oparzony.

- Ty też chcesz mi coś życzliwie zakomunikować?! Odczepcie się wreszcie od moich spraw! - trzasnęła drzwiami, aż szyby w korytarzu zabrzęczały.

Pryskają złudzenia, dom trzeszczy w posadach

Zwymyślane Bratki przeniosły się do pokoju babci, matka i pani Leokadia krążyły na palcach między stołowym a kuchnią, nastawiając uszu w stronę drzwi do pokoju chłopaków.

- Czy on tak często, Soniu? - pytała szeptem babcia.

- Nie, dotąd nigdy taki nie był! - odszepnęła zmartwiona matka.

- To tak jakoś od soboty. Przyszedł wściekły, w niedzielę trochę się- uspokoił, ale od Marka wrócił też w złym humorze - opowiedziała babcia inżynierowi, zanim zdążył zdjąć płaszcz.

- A teraz leży na tapczanie i patrzy w sufit - westchnęła matka. - Już wołę, kiedy się złości! Może ty z nim pomówisz?

- Hm... - chrząknął inżynier.

- Pomów, pomów. Może on ma jakieś męskie zmartwienie? - Babcia popchnęła go lekko do pokoju.

- Hm... - chrząknął ojczym wchodząc. Jarek słyszał wszystkie zmartwione szepty i zdążył przybrać znudzony wyraz twarzy. Przelotnie spojrział na wchodzącego. Ojczym przestał chrząkać i zaproponował: -Nie obejrzałbyś meczu w telewizji?

- Jakoś nie mam ochoty.

- Ćwierćfinał pucharu klubowego warto zobaczyć - nie poddawał się inżynier. - Dlaczego masz taką ponurą minę?

- Ząb mnie boli.

- Ząb? Aha, więc tylko dziurawy ząb życiem całej rodziny chwieje, hm... Może masz jakieś większe kłopoty?

- Miałem, ale już nie mam - wyjaśnił lakonicznie Jarek

84

i usiadł. - Obejrzę chyba ten mecz... A ząb mnie boli naprawdę.

- Specjalista naprzeciwko. Sympatyczny w dodatku.

- Dobrze, pójdę jutro... -zgodził się Jarek zrezygnowanym głosem. Słysząc w nim było nutę

pogodzenia się z faktem, że życie jest okrutne i niesie same rozczarowania.

Ojczym obserwował go spod oka, ale na razie powstrzymał się od dalszej indagacji. Zasedli w fotelach przed szklanym ekranem, reszta rodziny dołączyła po chwili wraz z Witkiem Zellerem i Krystynką Ziębicką. Babcia głośno przyznawała się do swej kompletnej ignorancji w sprawach piłki nożnej, mama wniosła herbatę i też nieco głośniejszy dobry nastrój, popatrzyła na męża z uznaniem, a na Jarka z trochę mniejszym niepokojem, choć do końca ciekawego meczu udało mu się utrzymać posepny wyraz twarzy.

Po transmisji chłopcy zebrali się w swoim pokoju, Krystynką poszła do domu. Bogdan koniecznie zapragnął zrobić ze Stefanka nadzieję polskiego piłkarstwa i kazał mu łapać bardzo dziwne „piłki”, przy czym bramką była cała ściana z regałem. Witek usiadł na kaloryferze, przyjrzał się leniwym wysiłkom Jarka w dziedzinie rozwiązywania zadań chemicznych i zwierzył się, gdy tylko uchwycił lukę w jego usiłowaniach:

- Ciągle jeszcze Tubowa mnie prześladowuje, wiesz? Ja się tu u was właściwie ukrywam... Cały dzień tak się muszę dekować, a to trochę przez tego tatowego kuzynka, psia-kość! Zabrał mi mój klucz i niech tylko przyjdę wcześniej ze szkoły, to muszę szukać kryjówek! Po mieście nie będę cały czas łaził, deszcze teraz padają.

- Ręce maślane! - wrzasnął Bogdan na Stefanka. - Strzelam prosto na niego, a ten puszcza!

- Wcale nie tak prosto!... - jęknął płacząco Stefanek. Najwyraźniej dość miał sportu.

- No, ustaw się, trąbalski!

85

- Nie krzycz - powiedział spokojnie Jarek nie odwracając głowy. Bogdan umilkł. Od chwili przyłapania go z papierosem obchodził ostrożnie Jarka, wyczekując, czy na-skarży ojcu, czy nie. Jarek, pochłonięty własnymi kłopotami, nie myślał o nim, trochę jednak wykorzystywał posłuszeństwa Bratka. Teraz też rzucił zbolalym głosem: - Idź lepiej do kuchni i zorganizuj tu jakiś kompot albo lemoniadę. I poproś mamę o proszek na ból zęba.

Matka przyniosła proszek osobiście, nalała też wszystkim kompotu i chciała zabrać z pokoju młodszych, ale Jarosław Cierpiący, kładąc się wygodnie na tapczanie z książką w rękę, orzekł łaskawie, że nikt mu nie przeszkadza, niech się bawią, tylko bez ryków. Bogdan zagrał z Witkiem w szachy, Stefanek zajął się wycinaniem obrazków z czasopism krajoznawczych. Po skończeniu partii Bogdan ruszył na parter na zwiady, a Witek westchnął w stronę Jarka:

- Już nie mam zdrowia do tej partyzantki. Może poprosić Zosię, żeby pogadała ze Sławkiem, co? Ona umie przekonywać... Jak myślisz?

- Nie chcę nic słyszeć o Zosi. Rób, co chcesz. Każdy sam musi rozwiązywać swoje problemy - stwierdził łagodnie Jarosław Wielewiedzący i odwrócił się do ściany.

On już nic na razie nie musi rozwiązywać, samo się rozwiązało, na siłę nie będzie czepiał się przeszłości. Przejrzał.

A nawet się ucieszył, kiedy znienacka w niedzielę, w pół godziny po obiedzie, poproszono go do telefonu. Marek powiedział, że urządza małe przyjęcie, tak sobie, bez specjalnej okazji, i niech Jarek zaraz przyjdzie. Był to pierwszy znak życia od Marka po dłuższej przerwie i Jarek wpadł w dobry humor. Nie na długo. U Marka zastał znajomych z wycieczki, jeszcze jakąś parę i Beatę. Powitała go uśmiechem, ale szybko zorientował się, że króluje tutaj jako dziewczyna Marka. Jarkowi przeznaczono kuzynkę Marylę, która zajęta była głównie pałaszowaniem

86

kanapek lub puszczeniem płyt. Marek nalał Jarkowi wielki kielich wina i próbował kilka razy wciągnąć go do rozmowy ogólnej, lecz Jarek nie znał się ani na jazzie, ani •na big beacie, pierwszy raz słyszał wiele piosenek czy melodii, które pozostali rozpoznawali natychmiast i wyrażali swoje sądy o wykonawcach. Padały angielskie tytuły, anegdotki o sławnych piosenkarzach. Sebastian, choć zbuntowany przeciwko rodzicom, nie odmówił udziału w rodzinnej wycieczce po Europie i mógł teraz niedbale rzucać uwagi turystyczne wysokiej klasy. Beatę pytano o Francję, a wszyscy pozostali byli przynajmniej nad Morzem Czarnym i w Jugosławii. W trakcie tych pogaduszek każdy kolejno, jakby mimochodem, popisывał się jakimś „kawałkiem” na fortepianie, Beata także w ogóle poruszała się wśród tych wygadanych licealistów z zupełną swobodą. Jarek siedział w

kącie i czuł się coraz gorzej. Nikt się nim nie przejmował, przeciwnie, wydało mu się, że chcą go upokorzyć, wyśmiać. Zupełnie nie ci sami ludzie, jakimi byli na wycieczce. Widać gołym okiem, że traktują go jak smarkacza. Miarka przebrała się, gdy tańczący z Beatą Sebastian wyłowił go wzrokiem i zawołał na cały pokój:

- Jarek, nie siedź w kącie, skocz do kuchni! Tam podobno w lodówce są jeszcze jakieś butelki. Jarek wstał powoli, opróżnił swój kielich do dna i wyszedł, ale nie do kuchni - zdjął z wieszaka w przedpokoju wiatrówkę i postarał się nie trzasnąć drzwiami wyjściowymi zbyt głośno. Nikt za nim nie wybiegł, nie wychylił się z okna.

Tak się to odbyło. Nazajutrz w drodze do szkoły, rozmyślając wciąż o Beacie, musiał przyznać w duchu, że nigdy nie próbowała nawet go podrywać, traktując po prostu jak sympatycznego kolegę. To on wmówił sobie całą romantyczną historię.

„Wmówiłem sobie, ale to wszystko przez idiotyczne plotki! Wszystko przez dziewczyny! Co za głupie stworze-

37

nia!" - podsumował. Beacie wybaczył, babom jako takim -nie.

Z obojętną miną wysłuchał Beaty. Wyglądała na zmartwioną tym jego niefortunnym udziałem w prywatce, twierdziła, że się po prostu uprzedził do towarzystwa, podejrzewając złe intencje.

- Coś ci się zdawało!

- Niech będzie, zdawało mi się... W ogóle nie ma o czym tyle gadać.

- Pewnie - uśmiechnęła się po swojemu Beata i Jarek z trudem utrzymał na twarzy powagę wraz z rezygnacją.

A teraz leży na tapczanie, udaje, że czyta, i jeszcze raz przeżywa tamte sceny, tylko już nieco spokojniej. Cóż, dostał nauczkę - nie można uprawiać przyjaźni „na siłę” ani wmawiać sobie sympatii dziewczyny, zanim jej się nie wystawi na próbę.

Proza życia i tajemniczy telefon

Aby odwrócić uwagę od rozterek duchowych, wybrał się następnego dnia po południu do dentysty. Uznał, że jest to coś odpowiedniego dla podkreślenia prozy życia. Z tym nastawieniem dał się zaprosić do pokoju panien Awiej-skich, bo w gabinecie ktoś już był, a Kaśka chciała przy okazji pochwalić się tym i owym z posiadanych przez nią dóbr materialnych. Jarek pod tym względem okazał się nudnym gościem, niczego nie zauważał, nie zachwycał się i nie zazdrościł. Kaśka musiała zadowolić się uwagami Joli Pawłasówny, która już знаła dobrze mieszkanie Awiejskich. Plotkowały o kolejnej awanturze u Ziębickich.

- Jak się tam wszyscy rozwrzeszczą, to tu dobrze słyszeć - Kaśka wskazała ręką ścianę, pod którą siedzieli.

- No tak, ten pokój jest już w oficynie - przytaknęła Jola. - A wiesz, wczoraj Ziębicki powiedział do mojej mamy, że znajdzie adwokata i odbiorą wam ten pokój. Twierdzi, żeście mu go ukradli.

- Bezczelny! - oburzyła się Kaśka. - On już tatusiowi głowę tym zawracał. Po co mu trzy pokoje? A tatuś ma gabinet.

- Właśnie!... Aha, przyjdź jutro do przymiarki, mama przygotowała twoją sukienkę.

Weszła młodsza Awiej-ska ciągnąc ratlerka ubranego w kraciastą kamizelkę. Musiał iść u jej boku na dwóch łapach, co go nie zachwycało, ale dyplomatycznie wyładował zły humor na Jarku.

- On od początku ciebie nie lubi - przypomniała Kaśka.

- Przeżyję - mruknął Jarek oczekując niecierpliwie wezwania do gabinetu. Irytowało go babskie paplanie.

- A Zośka znowu się tu kręci - zakomunikowała Andu-

89

la, nieodrodna siostra Kaśki. - Od strychu aż do piwnicy-

- Ona coś knuje, mówię wam - stwierdziła Kaśka. - Taka cichutka Zosia, a zobaczycie, co wymyśli.

- Opiekuje się Marzenką, więc przychodzi do niej - Jola spróbowała to wytłumaczyć.

- Kim ona się nie opiekuje! - prychnęła Kaśka. - Marzenka wcale nie jest taka biedna, do południa siedzi w przedszkolu, a potem matka z niej oka nie spuszcza. Co innego Ziębicki...

- Krystynka chodzi do Stefanka - powiedziała Anduła z lekką pretensją. Ona też była przecież

koleżanką z ich klasy. - Ale na razie wcale się lepiej nie uczy - dodała z satysfakcją.

Szmer głosu pani Awiejskiej, dobiegający prawie bez pauz z dalszej części mieszkania, przybliżył się i elokwent-na mama stanęła w drzwiach.

- Kasiu, co się stało z twoją apaszką w grochy? Wrzuciłaś ją do brudów, co? - pani Awiejska zadawała masę pytań i zaraz na nie odpowiadała, na ogół trafnie. - Trzeba było od razu ją przeprać, potrzebna ci była przecież rano... Cześć, Jarek! Jak tam matka? Daje sobie radę z waszą bandą? Chyba tak, bo wszyscy macie zadowolone miny... Chociaż ty dziś nie bardzo. Przyszedłeś z zębem? Zaraz mąż będzie wolny. Powiedz mamie, że wpadnę do was jutro wieczorem. Nie rozmyśliła się co do tej pracy? Bo ja mam przeprawy z dyrektorem, więcej kandydatów czyha na to miejsce. Wszystko jej jutro opowiem... A nowe meble wygodne? To się dopiero sprawdza po jakimś czasie, a ja obejrzałam je zaraz po przywiezieniu. Wersalka wygląda mi jakoś niepewnie, chyba długo nie postoi. Nie zauważyłam, żebyście sprzedali stare meble. Gdzie stoją? W pokoju babci!? Tak mi się zdawało, jak u was byłam... Jak babcia? Trzyma się nieźle, zawsze była zdrowa. Ta jej przyjaciółka z naprzeciwnka, która ją czasem odwiedza, to już raczej starowinka. Nie pokłóciły się aby? Coś dawno tu jej nie

90

widziałam. A z matką jak babcia żyje? Nie sprzeczą się zanadto? Różnie bywa... O, już możesz iść do gabinetu! Bronisław, masz tu sąsiada! Nie potrzebujesz świeżej wody? Zaraz przyniosę... Andula, daj spokój Lofikowi, bo się w końcu wścieknie! Znałam taki wypadek. Przyjaciółka cioci Agnieszki... pamiętasz, Kasiu, ciocię Agnieszkę? Ona bardzo cię lubiła... Woda, proszę... No więc jej przyjaciółka miała pudła, bardzo inteligentną bestię...

Buczenie bormaszyny zagłuszyło dalszą historię inteligentnego pudła, jednak głos pani Awiejskiej przebijał się przez nie jak szmer dalekiego potoku. Wbity w fotel Jarek zrozumiał niedawne powiedzenie ojczyma o dentyście:

- Gdyby nie ból, jaki musi od czasu do czasu zadawać ludziom, przeszedłby przez życie niezauważony. Wątpię, czy nawet jego córki znają wszystkie odcienie tatowego głosu.

Pan Awiejski, miły, siwy, choć jeszcze niestary mężczyzna, bardzo delikatnie opatrzył Jarka. Na razie założył lekarstwo, ząb można jeszcze uratować, kazał się zgłosić za dwa dni. Jarek podziękował i szybko wyszedł unikając spotkania z kobietami tego domu. Do doktora poczuł dużą sympatię.

- Był do ciebie telefon, trochę dziwny... - powitała go matka. - Jakiś chłopiec spytał mnie, czy jest mój syn, a gdy ja z kolei zapytałam „który?”, wyjaśnił mrukliwie: „ten z siódmej klasy”. Kto to mógł być?

- Nie mam pojęcia! - Jarek wzruszył ramionami, wytrzymując jej badawczy wzrok. - Pewno któryś z kolegów szkolnych.

- Głos był starszy, z chrypką. Nie podobał mi się. Który z twoich kolegów zna numer naszego telefonu, a nie zna twojego janienia? Chyba już nawiązałaś w szkole szersze znajomości, nie jesteś ciągle „nowy”? A może nie powiedziałaś mi prawdy o stosunku kolegów do ciebie? - niepokoila się wyraźnie.

- Oj, mamo, nikt mnie w szkole nie prześladowa! Na-

91

prawdę wszystko w porządku. Nie mam pojęcia, kto dzwonił... Co mówił?

- Nic nie wyjaśniał, zapowiedział, że jeszcze zatelefonuje. Dzisiaj lub jutro, podkreślił, że „ma czas”. Niesympatyczny jakiś.

- Poczekamy, zobaczymy! - Jarek machnął ręką i zmienił temat: - Pani Awiejska zapowiada się na jutro. Coś tam w pracy nie gra. Czy ona musi załatwiać ci posadę?

- Nie musi, sama się zaofiarowała... Wiesz przecież, że ta praca odpowiadałaby mi najbardziej, mam pewne doświadczenie z Jastarni i Gdańska. Za biurkiem w „Orbisie” jest się bądź co bądź bliżej Wielkiej Turystycznej Przygody - zażartowała wpadając w ton tak dobrze znany Jarkowi z dzieciństwa, ostatnio nieobecny w ich rozmowach. - Pamiętasz, jak to kiedyś nie mogłam spać z powodu egipskich piramid? Jeszcze w Gdańsku?

- Jasne, pamiętam! To były dobre czasy! - wyrwało się Jarkowi całkiem szczerze.

- Taak... - matka znów spojrzała na niego z niepokojem, ale zmobilizowała się i dodała pogodnie: - Cóż, jeśli z tą posadą się nie powiedzie, trzeba będzie znaleźć coś innego. Już przecież szukamy na wszystkie fronty. Bardzo możliwe, że wystartuję w Bielsku jako sekretarka w fabryce... ojca! Jarek odpowiedział jej uśmiechem, wdzięczny za lekkie wahanie i ton, jakim to powiedziała, podkreślając subtelnie fakt, że jakkolwiek ojczym, ten ojczym, zasługuje na miłość i szacunek, ojciec był tylko jeden i zapomnieć o nim nie wolno.

W pokoju chłopców wybuchła gwałtowna sprzeczka i po chwili rozwrzeszczane Bratki wpadły do stołowego prosząc matkę o przesądzenie, jaki to rodzaj oręża widnieje na wyciętej skądś dużej fotografii. Jarek wyręczył przerażoną i zakłopotaną „mamę Sonię” i na resztę popołudnia oraz cały wieczór przykuł malców do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Bogdan tak się zapalił do

92

samodzielnych poszukiwań, że poprosił ojca o kalkę techniczną i starannie przerysowywał wszystkie ilustracje i rysunki przedstawiające militaria rozmaitych epok. Jarek, wyjątkowo łagodnie znoszący dziś życie rodzinne -w ogóle szare życie - postanowił zrobić im następnym razem mały wykład o sprawach morskich. Mógł to i owo opowiedzieć, zwłaszcza o flocie rybackiej, na pewno nią trochę pogardzają na rzecz marynarki wojennej, jak to zwykle nieświadomieni smarkacze. Poczuli się ważniejsi, potrzebni, niemal jak ambasador Neptuna w podgórskim mieście.

Dwa razy jeszcze tego wieczora dzwonił telefon, ale do babci i ojczyma, tajemniczy chłopak nie odezwał się więcej. Jarek długo w nocy gubił się w domysłach, wyobrażając sobie, że oto los się do niego uśmiechnie i pozwoli przeżyć jakąś Przygodę na miarę telewizyjnej „Kobry” co najmniej. Fantazja trochę go poniosła, wiercił się na tapczanie chyba do drugiej po północy, a gdy wreszcie zasnął, znalazł się wraz z Kosmohikanami we wspaniałej sali o marmurowych kolumnach, ozdobionej zdobyczną bronią i sztandarami. Siedzieli pośrodku na jedwabnych poduszkach wokół ogniska rozpalonego na olbrzymim, świeżo wytrzępianym przez Zosię perskim dywanie z Cepelii, nad głowami oróc szandarów szumiały im palmy i sosny, tuż za progiem pałacu ryczało spienione morze. Był to bliżej nieokreślony Ciepły Kraj, w którym właśnie proklamowali republikę wypędziwszy kolonizatorów. Otworzyły się jakieś szklane brzęczące drzwi, wszedł Czarny Marszałek Dworu Republiki z pastorałem świętego Mikołaja i automatem, przewieszonym niedbale przez plecy, za nim matka wniosła na złotej tacy szkatułkę pełną wonnych cygar, które trzeba było natychmiast uroczyście wypalić, bo to były właściwie Tajne Dokumenty przeszłości, spreparowane dla niepoznaki. Ale ktoś przyczytał się za największym sztandarem i gdy Jaroslao Martini sięgnął do szkatułki, długa ręka w czarnej gumowej rękaw-

93

wicy sprzątnęła mu przed nosa całą Tajną Zawartość. Kosmohikanie wydali okrzyk bojowy i porwali się z miejsc z rewolwerami typu colt-mauser-special w prawicach, zza kolumny wyskoczył Bogdan Szpieg w masce wrzeszcząc, że to nie on, tylko konkurencja, i rozpoczął się szalony pościg. Korytarze, podziemia, jakieś skały, brzeg morski, szorująca po piachu Żółta Łódź Podwodna, zamieniająca się nagle w helikopter, lot nad dachami bez żadnej maszyny, wreszcie jakieś laboratorium, gdzie udało im się dopaść wroga omotanego w czerwoną oponczkę, w momencie gdy usiłował zmienić Bieg Historii, majstrując przy centralce telefonicznej. Gośka z Zosią rozkazały chłopcom stać spokojnie z boku i blokować wyjścia - one się z Wrogiem same rozprawią. Zdarły z niego czerwoną oponczkę i ukazała się pogodnie uśmiechnięta twarz Beaty, która zaśpiewała na melodię „Kasi”, że wystawiła wszystkich do wiatru, bo nie ona jest ich wrogiem, wręcz przeciwnie, chce zawsze pomagać w Wyższych Dążeniach, jak również w Codziennym Życiu, potrafi nawet bezboleśnie borować i rwać zęby. Na to zarzuciły jej kłamstwo panny Awiejskie, nie wadomo skąd nagle obecne, zadzwonił telefon i Tajemniczy Głos polecił im zapytać w sprawie Beaty komputera, tego po lewej ręce. Jarek nacisnął guzik, zamigotały kolorowe światelka i komputer zabrzączał szklanym głosem: - Już strasznie późno! Wstawaj! Mama Sonia podaje śniadanie! - Stefanek z poświęceniem tarosił Jarka nie zważając na protestacyjne ruchy jego kończyn. - Myśmy się już umyli i ubrali!

Galopujące sensacje

Lekcje wlokły się ospale. Jarek ziewał regularnie mniej więcej co dwadzieścia minut, na pauzach

też się nic ciekawego nie działo, nawet Opalek milczał. Dziewczyny usiłowały zrobić trochę szumu, wokół nieobecności Beaty, ale szybko im się to znudziło. Spytały tylko Jarka, czy Beata przypadkiem nie chora, i nie wydawały się zdziwione, że nie mógł im nic powiedzieć. W domu też cicho, spokojnie, nastrój wymarzony do odrabiania zadań. Krótka wizyta pani Królikowskiej z Marzenką ożywiła nieco popołudnie (Bratki trochę dokuczały małej, wyciągając z niej wyznania o zaczarowanym Księżu Pikniku), uzupełnił wieczór monolog pani Awiejskiej, której nie udało się zastać tu sąsiadki z góry, unikającej kontaktu z lokatorami, poza rodziną Koniorów. A zwińczeniem dnia okazał się następny telefon do Jarka.

- Ciesz się, koleś, to ja. Przygotuj się na rozmówkę. Dobrze się przygotuj - zamruczał w słuchawce głos Łysego Bola. - Jesteś dziecią w obowiązku szkolnym, więc przyślę po ciebie w sobotę po obiedzie. Znaj pana!

No cóż, nareszcie. Koniec niepewności i oczekiwania. Tylko nie stracić zimnej krwi!

Opalek przyjął wieść z należytyim skupieniem.

- No, to rozmawiam z Piothowskim. Z Bólem spha wa poważna - ocenił.

• Piotrowskiemu potrzebna była cała lekcja do namysłu, musiał rozważyć rzecz z rozmaitych punktów widzenia. Zgodził się. Umówił się więc o trzeciej w sobotę pod domem Jarka i więcej tego tematu nie poruszali zachowując męskie milczenie. Obaj zaczęli okazywać Beacie, która wreszcie zjawiała się w szkole, więcej szacunku. Jarek nie wyprowadzał ich z błędu, po co rozdmuchiwać sprawę?

95

Jego rzecz, w jakiej intencji walczy. Pomylił się co do swoich uczuć, trudno, rozprawa honorowa jednak została. Wolał nie patrzeć na Beatę, ładniejszą dziś niż zwykle. Była od rana trochę milcząca i tajemnicza, bystrzejszy obserwator od Jarka na pewno by to zauważył. Ale i tak sprawa wyjaśniła się szybko - Beata wytrzymała tylko do drugiej przerwy.

. - A, miałam próbne zdjęcia do filmu-odparła niedbale pytającej ją o powód nieobecności Teresce. Ta wytrzeszczyła oczy, powiadomiła koleżanki i otoczyły Beatę zwartą grupą.

- Beata, powiedz, co to za film?

- Kto reżyseruje?

- Jesteś główną bohaterką?

- Jak się dostałaś do filmu? Posłałaś fotkę? ,

- Szczęściara! Wygrałaś jakiś konkurs? Kiedy był? Opalek obchodził grupę we właściwej odległości, Jarek

był na innym korytarzu. Beata udzieliła wywiadu, krótko streszczając przypadkowe spotkanie z reżyserem w... sklepie spożywczym i to nie w centrum miasta.

- Spodobał mu się sposób, w jaki kupiłam czekoladki na wagę. Podeszedł, powiedział mi to, pokazał jakąś legitymację zawodową, zaprosił na ciastko i już.

- To są jakieś sposoby kupowania czekoladek?! - zdziwiła się szczerze Joaśka. Rysiówna zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem i wyjaśniła tonem prawie fachowca:

- Chodzi o to, jak się wygląda przy zakupach... i innych czynnościach życiowych. W szkole teatralnej egzaminują ze stania, chodzenia, siadania i tak dalej.

- Nie z wierszy? - dziwiła się wciąż Joaśka.

- No i co dalej? Jak ci powiedział o tych zdjęciach? -popędzała Beatę Urbańska.

- Normalnie. Czy mam czas i tak dalej. Zrobił już serię zdjęć nieruchomych i krótki film w plenerze. Właśnie wczoraj i przedwczoraj, bo była odpowiednia pogoda, takie trochę przymglone słońce. O, tu mam kilka odbitek -

96

puściła w obieg fotografie wielkości pocztówki. Widniała na nich w rozmaitych naturalnych pozach na tle przeważnie bezlistnych drzew, jedno zdjęcie koło kiosku z gazetami, inne koło jakiejś kamienicy z dużym ozdobnym portalem.

- Śliczne! - westchnęła Tereska. - Już wyglądasz jak gwiazda!

- Tak - zgodziła się Kuszecka inkasując zimne spojrzenie Rysiówny. - Prawie jak gwiazda.

- Co to za film? Kogo grasz? - dopytywała się Hania Rudecka.

- Chyba dziewczynę z poprawczaka.
- Chyba?
- No, on jeszcze zmieni koncepcję kilka razy, film dopiero powstaje... Na razie w jego głowie i na papierze. Ma parę niezłych pomysłów, ale z niektórych to się uśmiełam... Mój życiorys mu się spodobał jako temat. Zapowiedział, że będzie z niego czerpać. Zobaczymy. Wszystkiego i tak nie dam mu wyczerpać - podkreśliła niezależnym tonem. Spojrzały na nią z szacunkiem.
- Jak się nazywa ten reżyser? - chciała wiedzieć dokładna Hania.
- Horn czy Korn, jakoś tak podobnie. Jeszcze nie ma głośnego nazwiska w Polsce, bo raczej dotąd kręcił za granicą. Zaraz po szkolnej etudzie go zaangażowali.
- Do Hollywood! - wpadła w zachwyt Jońska.
- Nie, gdzieś skromniej, z ambicjami. A w Polsce był dotąd asystentem u Wajdy.
- Będiesz grała z Olbrychskim?
- Niewykluczone. Pomilczały wymownie.
- A co powiesz wychowawczynie? - Hania Rudecka zadała kolejne rzeczowe pytanie. - Nie byłaś w szkole dwa dni.
- E, powiem, że ktoś z rodziny do mnie przyjechał! - machnęła ręką Nowa Gwiazda. - Ona też zna mój życiorys,

7 - Klub Kosmohikanów

97

doceni wagę tej wizyty. A jak nie chwyci, to powiem prawdę, o filmie, i że to na razie tajemnica, bo nie chcę robić sensacji. Koniec wywiadu! - klasnęła w ręce i pobiegła do Agaty.

Dziewczyny patrzyły za nią z zazdrością i podziwem, sensacja była duża i nawet Rysiowna z Kuszecką powstrzymały się na razie od komentarzy. Odtajały dopiero na dużej pauzie i wyraźnie trzymały się z boku, z daleka od otaczającego Beatę tłumy wielbicieli (i niektórych wielbicieli - na przykład Orłowicz, przekonany o fotogeniczności swego profilu, wdzięcznie go demonstrował w nadziei, że może doczeka się protekcji szczęśliwej koleżanki, muszą być przecież przewidziane w scenariuszu jakieś młodzieżowe męskie role).

Opalek zrelacjonował Jarkowi wywiad Beaty i nie dorzucił komentarza, sugerując tonem, że cóż to dla Banet-tówny jeden film więcej, w szkole też zjawisko nierzadkie, nie ma się nad czym rozwodzić. Jarek nie zdziwił się zbytnio, Beata zwracała uwagę prawie wszystkich przechodniów na ulicy. Film Polski nie mógł jej ominąć. Niech jej się powiedzie. Może kiedyś, kiedy już będzie wielką gwiazdą, poprosi ją o autograf i przy okazji opowie, jak to było z Łysym Bólem?

Właśnie, jak to będzie? Już wczoraj upewnił się, że w domowej apteczce jest dosyć kwaśnej wody, jodyny i bandaży, cięższych obrażeń nie przewidywał. Przygotował też stare dzinsy i najgorszy sweter, trzymał je zwinięte na spodzie szafy. Wy tłumaczy matce, że to strój do sprzątania - bo on właśnie znowu chciał wytrzepać dywany - co będzie miało wielorakie korzyści: matka potem nie uzna go za łobuza, któremu tylko bijatyki w głowie, a on rozgrzeje sobie mięśnie.

Wierna świta odprowadziła Beatę po lekcjach aż na przystanek tramwajowy. Wieść o sukcesie koleżanki błyskawicznie rozeszła się po wszystkich klasach, nawet licealiści raczyli się zainteresować i niby przypadkiem

98

gawędzili na chodniku pod szkołą, gdy przeciągał tamtędy orszak Beaty.

- Tego tam też powinni wziąć do filmu! - powiedziała zjadliwie Rysiowna wskazując palcem tkwiącego na skwerku Łysego Bola. - Będą mieli młodzież z poprawczaka w oryginale. Bo na przykład taki Marcinowski wygląda za bardzo normalnie i protekcja Beaty nie pomoże - sprawdziła, czy Jarek dosłyszał. Udał, że nie, za to Opalek wykrzywił się do plotkarek, rysując kółko na czole. Wzruszyły zgodnie ramionami i popłynęły za tłumem, akcentując niezależność odpowiednimi minami i postawą.

- Chohoba, dziewczyny to mają szczęście! ы westchnął Opalek. - Nie mógł się ktoś z heżysech zainteresować na przykład naszą zesłohoczną afehą? To byłby film! Przygodowy, a nie jakiś tam psychologiczny. Albo te twoje awantury z Bólem! - zapalił się. - No, powiedz sam, nie wahto sfilmować takiej histohii z życia bielskiego podziemia? Można by to połączyć z afehą wełnianą i

dopieho byłoby co oglądać! Nie? - mieszkał o parę domów od szkoły, i to w przeciwnym kierunku, ale jako solidny sekundant doprowadził tym razem Jarka na róg Kamiennej. Leszek Wojaczek, oczywiście, też. - Ale czy za nami obejrzy się ktoś na ulicy? Tym bardziej heżyseh? - rozłożył dramatycznie ręce tarasując ruch na chodniku. Ktoś się zdenerwował, inny obejrzał. - Właśnie, tylko jakieś sztuh-chańce!

- Nic straconego. Nigdy nic nie wiadomo - pocieszył go Jarek zegnając się.

- Tak, akuhat! Czekaj, jeszcze mnie na ekhanie zobaczysz, w hepohtarzu z domu emehytów, jak jem ghsyik... Cześć!

Obaj z Wojaczkiem odeszli, początkowo ciężkim krokiem Artystów Niedocenionych, potem lżejszym, czujnym, Gwiazdorów Potencjalnych. Jarek też mimo woli inaczej toczył wzrokiem po nudnej ulicy i banalnej klatce schodowej. Mijając drzwi Awiejskich przypomniał sobie

99

o zaplanowanej na sobotę wizycie, zawrócił i zadzwonił energicznie. Otworzył mu sam doktor i bez pytania o przyczyny posadził pacjenta od razu w fotelu, bo akurat miał wolny gabinet.

Po założeniu plomby Jarek musiał posiedzieć dłuższą chwilę z otwartymi ustami (wyobrażał sobie przy tym, że gra rolę partyzanta w wojennym filmie i przyszedł właśnie z narażeniem życia do zaufanego dentysty po informację, a poczekalnia pełna jest Niemców i donosicieli). Tak zastała go pani Awiejska.

- A, to ty, Jarek! Zastanawiałam się, czyja to teczka w przedpokoju. Dobra skóra, tylko już mocno zniszczona. A mnie się udało kupić dla Kasi austriacką aktówkę po śmiesznie niskiej cenie. Pani Żula... - tu spostrzegła się, że Jarek nie może znać pani Żuli, i zmieniła temat: - Słuchaj, czy często przychodzą do was Królikowscy? Nie zauważyłam, żeby za często, a i tak tylko was odwiedzają. Przyjechali tu w czerwcu i ciągle trzymają się z dala od ludzi. Chyba trochę zadzierają nosa. Czy to znajomi twego ojczyma? Tak coś słyszałam. I ta Marzenka jakaś dzika, bzdury opowiada.

Wypuszczają ją na godzinkę i zaraz wołają z powrotem, żeby się z byle kim na podwórku nie bawiła. Krótka ją trzymają, aż żal patrzeć. Na fortepian chodzi do Zellerów, co? Ale Królikowskich też kiedyś rozboleją zęby... - mruknęła. - Stefanek oberwał wczoraj dwóję, co? Mocno to przeżywa? Zawsze był taki pilny... Andula dostała piątkę za tę samą odpowiedź. Słuchaj, może go ta mała Ziębicka odciąga od nauki? Ona zdaje się jest rozrabiara, dlatego wołałabym, żeby Andula się z nią nie uczyła, ale ona koniecznie chce się włączyć do pomocy, taka już jest uczynna i nie lubi, żeby się coś bez niej działo. Kasia jest taka sama... Bogdan też coś podobno kuleje z nauką? Nie chodzi do Kasi klasy, ale przypadkiem wiem... No, możesz już zamknąć buzię, pewnie ci szczęki ścierpły... popłucz, o tak... Więc mówisz, że Królikowscy nieczęsto u was bywają. Nie wiesz, czy grają w brydża?

100

- Ggul... Właśnie na brydża do nas przychodzą.

- O, a mama nic mi nie mówiła, że umie grać, jak chciałam zmontować czwórkę - zdziwiła się niemile pani Awiejska.

- Nie mama gra, tylko babcia.

- Aha! Spieszysz się, co? No, to do widzenia... Przypomnij mamie, żeby przysłała Bogdana i Stefankę do przeglądu zębów, dawno już nie byli, a na jesieni zęby bardziej się psują...

' - Uff! - odetchnął na korytarzu. Teraz można pomyśleć o sobocie.

Kaprys Łysego Bola

Punktualnie o trzeciej sekundanci Jarka zajęli stanowisko pod bramą na Kamiennej 7. Wysoki Piotrowski w zielonym, połatanym na łokciach swetrze, z miną wyrażającą świadomość swej przydatności bojowej, opierał się niedbale o mur. Mały Wojaczek obgryzał nerwowo paznokcie po drugiej stronie bramy, a okrągły Opalek, odziany w jaskrawoczerwony dres, sprawiał duże wrażenie, choć przykucnął na stopniu. Rozglądał się bystro dookoła, ale z lekką mgiełką żalu w oczach - mógłby ich teraz dostrzec jakiś reżyser!

- Strony coś się spóźniają - zauważył po chwili Piotrowski. - Nie lubię...

- Zdaje się, że nadchodzą... - przerwał mu cicho Wojaczek.

Opalek powstał obciągając dres.

- Ładnie, ładnie! Naheszcie potańczymy! - mruknął z nieco przesadnym entuzjazmem. Dwaj młodzieńcy nadeszli powoli od ulicy Bohaterów Warszawy, sprawdzili numer domu, obrzucili przelotnym spojrzeniem grupkę pod bramą i zatrzymali się na przeciwległym chodniku, zapalając papierosy. Opalek niepewnie przestąpił z nogi na nogę - obaj byli wzrostu Piotrowskiego, w barach też nie za wąscy. Zerknął z zalem na wątle ramiona Leszka Wojaczka, pomyślał, że mały mógłby co najwyżej gryźć w tłoku, i westchnął do świętego Klossa o duchowe wsparcie. W minutę po nich pojawił się Jarek, z opanowaną w miarę możliwości twarzą. Nudzący się w oknie parteru uwięziony Witek Zeller, który bez specjalnego zainteresowania obserwował nie znanych mu osobiście chłopców (Witek chodził do szkoły muzycznej), zwietrzył sensację

102

i ożywił się. Omal nie wypadł z okna, gdy mocno wychylony odprowadzał wzrokiem podejrzaną ekipę. A oni szli wolnym krokiem w kierunku Białej, nie odzywając się do siebie. Sekundanci Bola upewnili się na początku, że Jarek to Jarek, uznali obecność nadprogramowego Wojaczka za nieszkodliwą i wyczerpali temat'. Zaprowadzili ich na jakieś podwórko, otoczone z trzech stron ślepyimi ścianami domów, z czwartej zawalone stertą desek. Opalek niespokojnie badał teren, ściskając w kieszeni swą sławetną - procę, która prawdopodobnie nie przyda mu się tutaj na nic, ale posiadanie jakiegokolwiek oręża zawsze podnosi na duchu. Leszek był błąd i wyglądał na nieszczęśliwego, Piotrowski przybrał minę oficjalną, niemal urzędową, a Jarek starał się uosabiać Spokój i Pogodę Ducha. Dostyc długo tak sterczeli niezdecydowanie koło desek, na których rozsiedli się chłopcy Bola z papierosami w zębach, zagadani o swych sprawach, obojętni. Wreszcie wyłonił się zza sterty Łysy Bolo, jak zwykle starannie wyczesany i w skórzanej kurtce. Chwilę próbował na Jarku siły swego wzroku, na koniec uśmiechnął się pogardliwie i powiedział:

- No, koniec teatru części pierwszej. Widzowie na deski, a my ustawimy się pod tamtą ścianą.
- Zaraz. Może najpierw wyjaśnisz przy świadkach, o co ci chodzi? - spytał poważnie Piotrowski. - I ustalimy jakieś reguły.

- Widzowie trzymają mordy zamknięte - zgasił go Bolo. - A wyjaśniać nie ma co. Założmy, że ktoś mi przeszkadza, wystarczający powód, nie? Ktoś ma blade pojęcie, o co mi chodzi, nieprawdać? No, to pod ścianę!

Wojaczek zbladł jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. Opalek przygryzł drżące wargi. Jarek uspokoił gestem formalistę Piotrowskiego i powoli poszedł za Bólem na wskazane miejsce, wystarczająco daleko, aby ich tamci nie słyszeli przy dobrej widoczności. Bolo stanął tyłem do świadków, pokołysał się na obcasach i zaczął:

103

- Synuś, gdybyś mi tak podpadł rok temu, albo jeszcze przed wakacjami, marny byłby twój żywot. Chyba jesteś w stanie to sobie wyobrazić, he?... Nie otwieraj dzioba, jeszcze ja mówię. Pogadamy, zanim ewentualnie będę cię musiał uszkodzić. Ustalamy: inne punkty konfliktu aktualnie nieważne, chodzi o blondynkę. Z twojej klasy, co?

- Z mojej.

- Ty ją znasz, a ja mam swój pogląd. Może i pojdziesz, choć wyglądasz głupio. Streszczę przystępnie. W wersji szkolnej - mówił powoli, może z trudem mu to przychodziło, minę miał chwilami nieco dziwną, zanadto obojętną.

- No, to streszczaj - mruknął Jarek wciąż napięty wewnętrznie i czekający ciosu.

- Dziób spoczywa, aż zapytam! Więc koło blondynki kręci się jeden ptaszek, co to szuka naiwnych. Niech mi się zdaje, że pojmujesz. Co o nim wiesz?

- Nie widziałem go... Może ci chodzi o tego reżysera filmowego? Chce ją angażować. Powiedziała wczoraj.

- No, no, to ona jeszcze młoda! Reżyser filmowy! Ile ona ma lat?

- Piętnaście.

- Nie pytam, tylko się dziwię, chłopcze. Matka jej widocznie nie uświadomiła w porę. Błąd. Ty też wierzysz w tego reżysera, co? To przestań i jej także wytłumacz. Mam powody, żeby faceta podejrzewać. Ostrzeż blondynkę i przy okazji obejrzyj go sobie. Ja mu się już napatrzyłem, jeszcze meldunek czasowy sprawdzę... No, tyle na dziś. Zwijaj świtę i do domu, lekcje odrabiać. Nie radzę

odrzucać współpracy, znajdę cię w razie czego!

Jarek stał jak wryty i uśmiechał się blade.

- Co za grymasy, he? Czego się tu spodziewałeś, harcerzu? Wyjaśniłem na wstępie, że mam kaprys wyłącznie porozmawiać, nie? No, to raduj się i jazda, dłużej gęby nadwierać nie będę, jeszcze mi się znudzi... I bez uśmiechów, żądam uprzejmie!

104

- Czekaj! - Jarek odzyskał głos. - Ale jak my się skontaktujemy w razie czego?

- W razie jakiego czego? Ty masz tylko otworzyć oczy blondynce, nic więcej... Jak zechcę, to cię wezwę, jasne? - odwrócił się na pięcie. - Bywam w „Cichym Kąciku” - rzucił przez ramię i podszedł do sterty. - Koleś jest poczciwy i można mu wytłumaczyć to i owo. Konferencja skończona.

Usta Opalka uformowały się najpierw w zdumione „o”, po czym dobyło się z nich leciutkie westchnienie ulgi. Piotrowski nie zmienił wyrazu twarzy, polubowne załatwienie sprawy, choć przy lekceważeniu sekundantów, przebiegło zgodnie z kodeksem. O obustronne przeprosiny wolał się nie upominać. Asystenci Bola nie wydawali się zbyt zaskoczeni ani zmartwieni obrotem sprawy. Rozeszli się, bez zbędnych słów, w przeciwnie strony.

Ekipa Jarka długo nie wszczyniała dyskusji. Maszerowali w nogę, ramię przy ramieniu, potracając mniej spostrzegawczych przechodniów. Zmierzch rozmazywał kontury domów i drzew, można sobie było od biedy wyobrazić San Louis czy inne miasto amerykańskie z epoki podboju Dzikiego Zachodu. Pierwszy odłączył się Piotrowski. Jarek pożegnał go uściskiem ręki i krótkim „dziękuję”, Opalek z Wojaczkiem odprowadzili go pod sam dom.

- Zdziwił mnie Bolo, hóżne rzeczy o nim słyszałem. I widziałem - odezwał się wreszcie Zbyszek.

- Hozczaho-wałem się nawet thochę.

- A ja nie - powiedział Jarek. - On ma nieźle w głowie poukładane... No to cześć, dziękuję wam!

- Dhobiazg! - skwitował skromnie Opalek. - Faktycznie się hozczahowałem - powtórzył do Leszka, kiedy zawrócili. - Może się jeszcze coś wydarzy? TenMahcinowski ma szczęśliwą hękę.

Blask srebrnego ekranu

i prawdziwe ludzkie kłopoty

Beata nie chciała słuchać Jarkowego ostrzeżenia (o Bólu oczywiście nie wspomniał). Wyśmiała go nawet, bo zirytował ją trochę:

- A ty co, zazdrosny jesteś? Chyba wiesz, że nie masz prawa! A może ci żal, że to nie ty zostałeś wybrany? - prychnęła. Spojrzała jego minę i opamiętała się: - Oj, przepraszam... Nie gniewaj się. Jestem w złym humorze... Moja przyszywana ciocia zachorowała, pecha mam, a to przygnębia - zwierzyła się smutnym tonem. - Chciałabym zagrać w tym filmie i zdobyć trochę forsy, żeby się jej odwdziaczyć. A ty mówisz, że to oszust! Naprawdę tak myślisz?

- Podejrzewam.

- Skąd wiesz? Na jakiej podstawie?

Jarek zrobi nieokreślony ruch ręką. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nic się nie martw, zorientuję się w porę. Różnych ludzi już widziałam... W każdym razie dziękuję ci! - powiedziała to z uśmiechem i gestem gwiazdy hollywoodzkiej na bankiecie u prezydenta, bo zaczęła się wokół nich zbierać grupka kibiców. Jarek nie miał pojęcia, jak powinien się zachować na bankiecie prezydent albo adiutant czy gangster przebrany za wiernego pazia lub też Człowiek z Ochrony Gwiazdy, zwał więc po uczniowsku, wykorzystując lukę między dziewczynami. Chęć pomocy bliźniemu zagnała go pod drzwi kotłowni, gdzie do kryjówki mógł ewentualnie wyskoczyć na papierosa Bogdan Nierozumny, któremu należało w tym przeszkodzić w imię pedagogiki i higieny. Ale miłośników tytoniu nie było tu dzisiaj widać, tylko jakiś smarkacz zawzięcie odpisywał

106

zadanie z cudzego zeszytu, po debiutancku rozglądając się na boki.

Tuż przed dzwonkiem Beata wróciła jeszcze raz do sprawy reżysera:

- Na razie wszystko w porządku, mówi ciągle o tym filmie... Pokazywał mi przecież legitymację filmowców. Słuchaj, może ty masz kogoś innego na myśli?

- Nie... chyba nie. Mówię o reżyserze.

- No, to już więcej mnie nie nudź, dobrze? Przyzwyczaiałam się sama rozwiązywać swoje sprawy, wiesz? No, o. k.!

Przekonywający ton głosu Beaty i jej pewna siebie mina osłabiły nieco podejrzenia Jarka. Może Bolo przesadził? Może chciał za jednym zamachem unieszkodliwić obu konkurentów? Bo to, że zależy mu na Beacie, ma wypisane na czole i żadne straszliwe miny tego nie ukryją.

Uspokojony trochę Jarek postanowił poczekać jeszcze na rozwój wypadków. Reżysera nie będzie na razie ściagał, przyjrzy mu się może przy okazji.

Gdy wychodził ze szkoły, dogoniła go zdyszana Tereska, wetknęła mu pod pachę jakąś książkę i poprosiła:

- Jarek, ty mieszkasz tam, gdzie Zosia Majówna! Zwolniła się dziś z dwóch ostatnich lekcji i zapomniałam jej' oddać tę książkę! Na pewno będzie jej potrzebna. Podrzuc ją, dobrze? To dla ciebie pestka, a ja nie mam czasu! - i już jej nie było.

Jarek skrzywił się niechętnie, wołał nie mieć nic wspólnego z Zosią, ale co robić?! Postanowił wysłać do niej Bogdana. Jednakże Bratek dosyć już miał posłusznych min, nie chciał go wysłuchać do końca, przełknął obiad i wybył z domu, choć zanosilo się na deszcz.

- On musi ratować Klub Pancernych - powiedział Stefanek. - Załoga się wykruszyła... Ja bym był stale... Jędrus Ziębicki pewnie też. A Tomek Szymik wziął psa i brata do innej załogi i tyle! Witek tylko został, ale on się ukrywa. Jakbyś ty należał...

- Niech Witek zaprosi do Klubu Sławka, to się od razu

107

pogodzą, a Bogdan może wziąć ciebie i załoga gotowa -Jarek zdobył się na braterską poradę. - Ja nie mogę, bo mam mnóstwo innych zajęć. Dacie sobie radę sami.. Gorzej z psem. Macie jakieś inne zwierzę pod ręką?

- Żadnego grubszego zwierzaka! - westchnął smutno Stefanek. - Tylko do Sławka przedwczoraj przyfrunął na okno kanarek.

- No, to będą Cztorej Pancerni i Kanarek.

- Eeee... - Stefanek zrobił podejrzliwą minę. Śmieje się z niego ten Jarek, czy co?

- Nie krzyw się, kanarka łatwiej wyrysować w herbie czy na czołgu, no i nie szczeka, tylko śpiewa.

- Ten jeszcze nie bardzo śpiewa. Sławek kupił glinianego kogutka i gwizdże cały dzień, a kanarek tylko z rzadka ćwierknie.

- Bo to może przemalowany wróbel, co? - zaśmiał się Jarek już od progu.

- Eeee, ty się z nas naprawdę nabijasz! - obraził się Stefanek. Jarek zbiegł po dwa stopnie, gwizdząc, rozmowa z Bratkiem rozbawiła go i myślał o Zosi z mniejszą niechęcią. Zresztą, odda książkę i tyle, kontaktów towarzyskich nie musi koniecznie rozbudowywać.

Na podwórku zaczepił go Witek Zeller.

- Co z Bogdanem? Daję sygnał, a ten nic... Ona gdzieś sobie poszła, mogę poganiać - ściszył głos.

- Bogdan już wybył z domu.

- To ładnie! Ja tu siedzę... oj!

Jarek obejrzał się - Tubowa stanęła na schodkach i wyraźnie kiwała palcem na Witka.

- Chodź no tu, Wituś! Czego masz głupią minę? Nie słyszysz, jak cię wołam? - straciła cierpliwość i podeszła do chłopców. Witek schował się za Jarkiem, ale wyciągnęła ręką i złapała go za łokieć. - Spytać cię chcę o tego kuzynka twojego taty. Jak długo on tu jeszcze będzie siedział? He!

108

- Nnie wiem... My też czekamy, kiedy wyjedzie - Witek odetchnął.

- Ja myślę! - puściła jego rękę. - Nieprzyjemny jakiś, mówię pani, pani Pawlasowa! - zwróciła się do siedzącej w oknie sąsiadkii. Matka Joli ma ustawiony pod oknem stolik do szycia i innych robótek, może więc cały czas uczestniczyć w życiu podwórka. Teraz kiwa głową znacząco i mówi:

- Tak mi się też zdaje... Wituś, daliście mu klucz, co?

- Właśnie! - wpadła jej w słowo Tubowa. - To chciałam pani też powiedzieć, że towarzyski z niego człowiek i rano duży ruch u Zellerów... A u Ziębickich cicho? - zmieniła temat.

Witek w podskokach wpadł do sieni, Jarek powoli dotarł do bramy tylnej oficyny. Majowie mieszkali na drugim piętrze. Zadzwoił.

Otworzyła mu Zosia, smutna jakaś i blada. Wyraźnie zmieszała się na widok chłopca. Z wnęki, oddzielonej od reszty kuchni szafką i zasłonką w ciapki, wydobywał się wysoki, zawodzący głos kobiety, skarżący się łzawo:

- Mój Boże, jak to jeszcze długo potrwa?! Za co to, za co! Tyle wyrzeczeń, tyle poświęceń... Tyle nerwów... i jeszcze się człowiek przekonuje, że ma chore serce!

- Ciociu Weroniko, ja zaraz...

- Zosiu, ja mam, dziecko, chore serce, nie denerwuj mnie!

Jarek rozejrzał się prawie niedyskretnie. Mieszkanie nie miało przedpokoju, wchodziło się z korytarza prosto do sporej kuchni, trochę zagraconej, ale schludnej. Z niej dopiero do jedynego pokoju. Właśnie coś w nim nagle stuknęło, zagruchotało i zabręczało. Zosia rzuciła Jarkowi wystraszone spojrzenie i pobiegła tam, nie zamykając drzwi. Poszedł za nią i zatrzymał się na progu, szeroko otwierając oczy.

W czyściutkim, ale również zagraconym dużym pokoju, między stołkiem, szafką a rogiem kanapy, stał pochylony

109

do przodu inwalidzki wózek, wsparty tylnymi kołami na przygniezionej walizce. Zosia usiłowała podnieść z podłogi starszą kobietę, ale choć ta była bardzo drobna, dziewczynka nie mogła dać sobie rady. Starła się uspokoić i pocieszyć chorą, głos nawet opanowała, ale oczy miała pełne łez. Jarek pomógł jej, namęczyli się jednak porządnie, zanim ułożyli bezwładną kobietę na kanapie.

- To nic, ciociu Karolino, nie potłukłaś się chyba, dywan jest miękki... - mówiła Zosia wycierając czoło chorej mokrą chusteczką. - Już dobrze, prawda? - chora dwa razy poruszyła powiekami, po czym zamknęła oczy. - Już dobrze - powtórzyła Zosia. Wstała i obejrzała wózek. - Jak to się mogło stać? Siedziała przy oknie... Chyba hamulec puścił. No tak! Popatrz, zepsuty...

- To się da naprawić - stwierdził Jarek. - Daj mi młotek i kawałek drutu - pochylił się nad wózkiem, starannie kryjąc twarz przed Zosią. Nie chciał, żeby spostrzegła, jaki jest zaskoczony, zmieszany i zawstydzony. Ona zresztą też nie była zadowolona, że przyszedł w takim niemiłym momencie, i wolała na niego nie patrzeć.

- Zosiu! No i co ty sobie myślisz, dziecko? - zawołała z kuchni ciotka Weronika. - Nalej mi jeszcze kropli... Herbata też zimna...

Zosia pobiegła do kuchni. Jarek tymczasem naprawił wózek.

W zamku zazgrzytał klucz i pojawiła się trzecia kobieta, matka Zosi. Jarek znał ją z widzenia, niewysoką, zawsze czarno ubraną, o zmęczonej twarzy. Ukłonił się.

- Dobrze, że Jarek przyszedł. Ciocia Karolina... - zaczęły szeptać, aby nie zdenerwować jeszcze bardziej ciotki Weroniki, ale ona i tak zabrała głos:

- Co to za szept? Znowu jakieś tajemnice... A mnie doktor zalecił spokój! Jak tu się nie denerwować?

- Zosiu, może odprowadzisz kolegę i pobędziesz trochę na powietrzu? Taka jesteś blada - zaproponowała matka znużonym głosem. Zosia szybko zdjęła płaszczyk z wie-

110

szaka za drzwiami, naciągnęła śniegowce i wyszli żegnani pojękiwaniem ciotki Weroniki.

- Przykro mi... że akurat przyszedłeś - powiedziała Zosia drżącym głosem - to są takie moje ponure rodzinne tajemnice... Idź już. Dziękuję za pomoc... - pociągnęła nosem, zauważył, że płacze.

Szedł chwuę sztywno obok niej po schodach, wreszcie wyjął z kieszeni chusteczkę i podał bez słowa.

- Dziękuję... Wypiorę i oddam - wytarła nos. - Więcej płakać nie będę - zabrzmiało to ponuro.

- Chodź może do mnie... pooglądamy telewizję - bąknął Jarek, wciąż mocno skrępowany.

- Nie... nie mam ochoty. Mam gdzie się schować - przystanęła przy schodach do piwnicy. Zawahała się. - Może chcesz zobaczyć moją kryjówkę? Będziesz pierwszym gościem...

Zgodził się i zeszli na dół.

- Tu jest pralnia... a tu była wielka suszarnia. Ktoś ją przedzielił ścianką, zrobił sobie komórkę i wyjechał... A ja dorobiłam klucz - odsunęła sprzed niskich drzwi dwa pieńki, deskę, dziurawe wiadro i kilka cegieł. - To zaporą.

Komórka była malutka, z wąskim okienkiem pod sufitem, ale ciepła, bo ściana przylegała do kotłowni.

- Centralne ogrzewanie założyli w oficynie dopiero na wiosnę. Przedtem tu dosyć marzłam - poinformowała Zosia, trochę spokojniejsza i weselsza. Widać było, że lubi ten kącik. Urządziła go starannie i przytulnie, była nawet pseudof iraneczka z bibułki i mała doniczka z wątlą roślinką. Dwa pieńki, jeszcze z korą, służyły za krzesła, zamiast stołu stała skrzynka przykryta niebieskim papierem. Pyszniła się na niej autentyczna naftowa lampa z szerokim kloszem. Pod drzwiami leżała wycieraczka ze starego worka, obrębnego kolorowym kordonkiem. Zosia zapaliła lampę.

- Nic innego dzisiaj nie mam - usprawiedliwiała się częstując Jarka jabłkami wydobytymi spod „stołu”, skąd

111

w tym momencie wypadł na podłogę zeszyt w czarnej ceracie.

- Odrabiasz tu lekcje? - spytał Jarek podnosząc go. . Zosia szybko wyciągnęła rękę.

- Oddaj... dziękuję. To nie lekcje, to mój... dziennik pokładowy - uśmiechnęła się. - Nie zawsze mam czas, żeby tu przychodzić, ale za każdym razem staram się notować, co mi się przytrafiło w tym dniu i o czym myślałam... Głupstwo!

- Pamiętnik - kiwnął głową Jarek. Pomilczał, zjadł jabłko i sam nie wiedząc, dlaczego nagle to go zainteresowało, zapytał:

- A gdzie mieszka twój ojciec? Tu, z wami? - zaraz pożałował tych słów, zaczerwienił się, ale Zosia odpowiedziała spokojnie:

- Nie słyszałeś plotek. Lepiej dowiedz się ode mnie. Ojciec wyjechał, kiedy miałam dwa lata, a Tolek osiem. Gdzieś tam miał inny dom, w zeszłym roku zmarł... Mama i ciotka Weronika pracują, ciocia jest trochę nerwowa. Ciotka Karolina jest częściowo sparaliżowana, rusza tylko prawą ręką i skręca w prawo głowę. To jej mieszkanie, ona przechowała tu rodziców w czasie wojny i już zostali.

- A ten... Tolek?

- Brat uciekł z domu, jak miał szesnaście lat. Teraz je' st w szkole morskiej... Ja się staram to jakoś mamie wynagrodzić... odkupić... Robię, co mogę... - skończyła bardzo cicho. Pomilczała i powiedziała wzdychnąca: - Chcę jak najszybciej być dorosła! Chociaż być dorosłym wcale nie jest przyjemnie. Same kłopoty, no, i nie oczekuje się już wielu niespodzianek... W naszej kamienicy tylko twoja matka, pani Awiejska i pani Pawlasowa wyglądają na zadowolone z życia... Ale po co ja się tak rozgadałam na ponure tematy? - opamiętała się. - Ty się nudzisz i myślisz, że jestem mazgaj... a ja tylko dzisiaj tak dużo mówię...

- Czasem trzeba się wygadać - mruknął Jarek. On nie bardzo miał przed kim się zwierzyć. Wolałby przed chłop-

112

cem, chociaż Zosia ukazała mu się dziś w innym świetle. Milczał chwilę, szukając weselszego tematu do rozmowy.

- Aha! - przypomniał sobie. - Kiedyś chciałaś mi coś ważnego powiedzieć. Na schodach, pamiętasz?

- A, to już nic ważnego... Po prostu chciałam zapytać, czy można się do twojej mamy zwrócić z prośbą... bo zanosilo się na to, że Marzenka jest chora, a nikt by z nią rano nie został w domu. Twoja mama nie pracuje, więc pomyślałam, że może by zajrzała do niej. I tyle, żadna rewelacja... Masz bardzo miłą matkę.

- Taak... Przyjdiesz jutro do szkoły?

- Chyba jeszcze nie, muszę zostać z ciocią. Z ciociami! - poprawiła się ze smutnym uśmiechem.

- Wpadnę do ciebie i powiem, co słyhać. Lecę! Miło tu u ciebie. Cześć!

- Cześć... Nie mów nikomu o tej kryjówce!

- Oczywiście! Dobrze jest mieć takie tajne miejsce. Cześć!

Szybko przebiegł podwórko, na schody wszedł już wolniej. I on myślał, że ma najtrudniejszą w kamienicy sytuację rodzinną! A na przykład tacy Ziębicy... Jakoś dotąd nie zauważał prawdziwych kłopotów innych ludzi.

8 - Klub Kosmohikanów

Bolo czuwa, inni też działają

- Dzisiaj znowu jest odpowiednia pogoda, „zamglone słońce” - powiedziała złośliwie Rysiówna Kuszeckiej, ~^_ wychylając się przez okno.

Jarek wyszedł na podwórze i stał właśnie pod murem, wychyliła się jeszcze bardziej i mrugnęła do niego:

- Nic dziwnego, że siedzisz w ławce sam... Jak długo będą trwać te próbne zdjęcia?

- A skąd ja mam wiedzieć? - mruknął. - To zależy od ' artystycznej koncepcji.

- Dobry artysta często zmienia te koncepcje, nie? Wielkie dzieło wymaga dużo pracy, jak powiedziała pani Zalewska o bhadnopisach Słowackiego. Już ja na pewno nie wyphacuję sobie sławy, szkoda zdrowia - wypowiedział się Opałek, po wiadomych wydarzeniach trzymający się w pobliżu Jarka. Z Wojaczkiem u boku, oczywiście. - Postaram się kiedyś, żeby mi wystaczyło na życie pół etatu. A co ty będziesz hobił po szkole? - spytał poważnie Jarka.

- Po średniej? Nie wiem.

- Po jakiej średniej?

- Długo wiem jeszcze, przyglądają mi się w domu dyskretnie, czy nie mam jakiegoś talentu.

- Nie masz?

- Nie mam, na szczęście.

- Czemu na szczęście? Łatwiej by ci było wyjechać gdzieś... Mnie też już dyskretnie przyciskają, bo tylko hok do końca... i kawalek!

- No, przecież sam mówiłeś przed chwilą, że talent wymaga pracy! - zaśmiał się Jarek. Ruszył wolno do klasy-

- Fakt... Hany humszyk, licho wie, co lepiej, same hotele! Bo sława chyba jest przyjemna, co? O nas tylko

114

pałkę linijek w gazecie napisali, a już było przeżycie! A Beata chyba szybko zchłodziła, coś mi mówi!

„Na razie mogłaby jednak ograniczyć te próbne zdjęcia! Zniecierpliwia się w końcu w szkole i utrudnią dalszą karierę!” - rozłościł się w duchu Jarek. Wątpliwości zasiane przez Łysego Bola wzrosły i chłopiec, popatrując na puste krzesło obok siebie, postanowił zadziałać. Jeszcze nie wiedział, jak, ale czuł, że musi.

Pomógł mu w tym niespodziewanie sam Bolo.

- O, znowu siedzi! A Beata dzisiaj się nie doczeka! - wykrzyknęła Tereska do Urbańskiej, mocując się z ciężkimi drzwiami szkoły. Idący z tyłu Jarek dostrzegł ponad ich głowami złote loki i skórzaną kurtkę pod huśtawką na skwerku. Bolo najwyraźniej czekał tu na niego. Gdy Jarek wyszedł, zgasił nogą papierosa, wstał, dyskretnie wskazał - głową park za rzeczką i odszedł nie oglądając się więcej. Jarek ruszył za nim i tylko do mostku pozwolił się odprowadzić Opałkowi i Wojaczkowi.

- To będzie rozmowa. Mamy wspólny interes-wyjaśnił krótko.

- Hany humszyk, sphytny jesteś! Musiałeś niezłe z nim pogadać w sobotę, bo przecież miał cię lać! A tu inteheesy!

Jarek skromnie milczał. Przeszedł przez mostek i rozejrzał się po niewielkim i dosyć rzadkim parku. Bolo siedział na najbardziej osłoniętej ławce. Zaczął jeszcze zwykłym tonem:

- Widzę z dzioba, żeś paluchem na razie nie kiwnął. Czas leci, a umowa stoi, przypominam. Nie fatygowałbym się pod szkółkę, ale mam wywiad z twego terenu. Wiesz ty, baranie sakramencki, że ten „reżyser” mieszka w twojej kamienicy? Albo chodzi tam do kogoś. Nie wiesz, dziób się wydłużył. Masz sprawdzić dane personalne, i to szybko, jasne?

- Jasne. Jak on wygląda?

- Chodź, zobaczysz - Bolo wstał z ławki i przeciągnął

115

się. - Porzuciłem ich w „Prezydencie”. A teraz pora powrotu ze szkółki, ustawimy się więc pod domem.

Beata mieszkała obok Domu Włókniarza na 1 Maja, doszli tam w milczeniu. Bolo wybrał stanowisko przy gablocie w ogrodzie Domu, mogli neutralnie postudiować, co głosiła, i schować się za nią w razie potrzeby. Nie czekali zbyt długo. Pod kamienicę naprzeciwko podjechała taksówka, wyskoczyła z niej Beata z kolorową torbą na ramieniu. Mężczyzna średniej tuszy, średniego wzrostu i w średnim wieku pożegnał się z nią w bramie całusem w dłoń, trochę długo przytrzymywaną.

- Jak powiedziałaś, że mieszka u nas, zaraz pomyślałem o nim. Zgadza się - stwierdził Jarek.

- Nie gadaj tyle. Kto to?

- Kuzyn Zellera z parteru, tego, który wywołuje filmy amatorskie. Mają go trochę dosyć, bo przyjechał na trzy dni, a siedzi i siedzi.

- Ciekawe, czy wiedzą, że im rano mieszkanie do góry nogami wywraca - mruknął Bolo normalnym, ludzkim tonem. Zaraz się zreflektował i rzucił ostro: - No, to twój a głowa, żeby się blondyna o nim dowiedziała... A ja już mieszkanko poobserwuję ranną porą. Zjeżdżaj!

- Dobra! Cześć - pożegnał się optymistycznie Jarek. Bolo nie zareagował, patrzył tylko za nim z ponurą twarzą.

Jarek postanowił wybadać Witka, może rozmowa z nim podsunie mu pomysł zdemaskowania „reżysera”? Jeszcze przed wejściem na schody zajął się podwórzu. Nie omylił się - Witek huśtał się na starym żelaznym łóżku z siatką, wyrzuconym tu przez kogoś z lokatorów, i pogadywał z siedzącym w oknie Sławkiem, który chwalił się swoim kanarkiem umieszczonym w wysokiej klatce. Jarek spytał, co daje mu jeść, pochwalił upierzenie i zwrócił się do Witka:

- Jak tam ten wasz kuzyn? Nie wyjechał?

- Skąd! Ani myśli - Witek przestał się huśtać i westchnął. - Mama jest delikatna i chociaż się nim zmęczyła,

116

to nic nie mówi. Najwyżej na lekcjach każe grać mnóstwo gam. A ja Bogdana podpuściłem, żeby się jak najwięcej mylił, to go przynajmniej wypłoszy się z domu po południu.

- Pewnie, rano się w domu nasiedzi, wystarczy - stwierdził Jarek.

- Też gdzieś lata, przecież nie mogę wleźć do mieszkania, bo zabiera klucze... Chociaż siedzi trochę, fakt... Tata zły, bo mu ubyło dużo papieru fotograficznego, a trudno dostać.

- Próbné zdjęcia, co?

- Czemu próbné? Robi tam jakieś, nie pokazuje ojcu. Kawał bym mu jaki zmaistrował, tylko na razie nie mam pomysłu... Przyślij tu zaraz Bogdana, dobrze? - poprosił widząc, że Jarek odchodzi. Jarek kiwnął głową. Grunt dobry, Witko we chęci też się mogą przydać w razie czego. Tymczasem trudno jeszcze działać, trzeba zebrać więcej materiału, poza tym czuł pustkę w głowie. Nie tylko Witek cierpi na brak pomysłów. - Aha! - zawrócił wymyślając sobie w duchu od gap nierozgarniętych. - Słuchaj, Witek, czy ten kuzyn twego taty to reżyser filmowy?

- A bo ja wiem? - zastanowił się Witek. - Nie słyszałem. On jest w ogóle tajemniczy gość, a starzy wolą o nim przy mnie nie rozmawiać. Kamerę ma, ósemkę, nakręcił mnie przed szkołą, z kolegami, jak się bijemy na niby. A najdłużej kręcił odstawione pod ścianą instrumenty w futerałach.

Zwłaszcza wiolonczelę Edka. Może jest reżyserem. A po co pytasz?

- Tak sobie... Widziałem go właśnie z kamerą - skłamał Jarek i znowu ruszył na schody, ale nie dane mu było stawić się na obiedzie w ciągu najbliższych dziesięciu minut. W sieni natknął się na Opałka, który studiował spis lokatorów, bawiąc się trzymaną w rękę procą. - Kogo szukasz?

!•

- Ciebie. Zapomniałem, pod którym numehem mieszkania można cię znaleźć.

117

- A co się stało?

- Nic, co się miało stać? - Zbyszek mówił jakoś rozwlekle, z miną maksymalnie obojętną i znudzoną. - Jak tam Bolo? W porządku?

- W porządku - Jarek uśmiechnął się pod nosem. Wysiłki Opałka, maskującego ciekawość i chęć służenia koledze ramieniem i procą, były zbyt wyraźne. - Załatwiamy jeden interes. Może będziesz mi jeszcze potrzebny - dodał łaskawie, sadowiąc się na żelaznym łóżku zwolnionym przez Witka.

W brzuchu zaburczało mu porządnie, ale nie wypadało splawić od razu wiernego sekundanta.

- Pewnie - Opałek skromnie kiwnął głową. - Z Bólem zawsze trzeba ostrożnie... - nie śmiał zapytać, co to za interes, Jarek nie kwapił się do zwierzeń. Milczeli chwilę.

- A gdzie Leszek? - Jarek dopiero teraz uświadomił sobie, że Zbyszek przyszedł bez Wojaczka.

- Je obiad. Ja już główny posiłek mam z głowy - westchnął Opałek przetykając ślinę. - Kasza się przypaliła, chohoba. Matka zła, a ja bym jeszcze coś przekąsił.

Z pralni w oficynie wypłynęła dostojnie Tubowa z wielkim koszem czystej bielizny. Postawiła go pod oknem Pawlasów, pogadała o pogodzie - że jak na jesień bardzo ciepło - potem przyjrzała się chłopcom i spytała nagle:

- Jarek, czy to wasze łóżko? Bo u was było meblowanie! - ton jej głosu nie wróżył nic dobrego.

- Nie, nie nasze - odparł grzecznie Jarek.

- No, to tylko tych spod ósemki. Balkonu im za mało! Dwie rodziny tam siedzą, ale i tak mają dużo miejsca. Bezdzielni - to ostatnie powiedziała z lekko pogardliwą intonacją. Ona w końcu urodziła syna, po wielu latach oczekiwania, i pewnie dlatego nikomu nie wolno krzywo spojrzeć na małego Tubę. - Co to za zagracanie wspólnego podwórka? Tu jest porządna kamienica - podniosła głos dostrzegając kogoś w sieni, zapewne spod ósemki. - Od czego są prywatne piwnice? Pani Pawlasowa, ludzie dzi-

118

siaj strasznie bałaganą, nie szanują wspólnego dobra i bytowych miejsc... Panie Król! Niech no pan zaczeka! To pana łóżko? Hej, panie Król!... Ale się pospieszył, pewnie jego.

Na podwórko zszedł lokator spod siódemki, urzędnik z małą łysinką i brzuszkiem. Wniósł urazę i dumę na twarzy.

- Przepraszam, proszę zejść! - powiedział dobitnie do chłopców huśtających się na łóżku. Powoli wstali, wymieniając rozbawione spojrzenia, a on z pasją zaczął składać łóżko, co niezbyt sprawnie mu szło.

- A, to pana! - stwierdziła nieźyczliwie Tubowa.

- Nie będę z panią dyskutował! - oznajmił sucho lokator. Udało mu się złożyć łóżko, wziął je niezgrabnie pod pachę i powłókł do piwnicy.

- Przypomnieli sobie! - mruknęła Tubowa. - A jak tam pani Marian? Nagrodę dostał, słyszałam?

- Tak - pani Pawlasowa wyprostowała się nieco nad parapetem. - W szkolnym kwizie. Pojedzie do Katowic na dalsze eliminacje... Jędrus, ma już tatuś pracę? -zaczepiła wybiegającego z oficyny chłopca. Nie odpowiedział, zaczerwienił się i pobiegł dalej, na ulicę. - Pewnie nie. Pani Tubowa, co też nieraz kobiety muszą przecierpieć!

- No, to ja już lecę! - poderwał się Opałek. - Wstąpię gdzieś na ciastko... Cześć, do jutha!

- Cześć.

Zainteresowanie Opałka podniosło Jarka we własnych oczach. Czuł się godnym rozwiązania wielu Tajemnic Świata, w tym, rzecz jasna, imponującej ilości zagadek świata przestępczego. Co tam jakaś drobna przygoda nieostrożnej Beaty! Potraktuje ją jako przygrywkę do wspaniałej dalszej kariery. Każdy inspektor od czegoś zaczynał.

Omal nie rozdeptał Lofika wraz z Andulą, która rozsiadła się na schodach.

- No i czego włączysz pod nogi? - ofuknął ją gniewnie. -

119

Trzymaj tego brytana na łańcuchu, bo się ktoś jeszcze pomyli, przetrąci i zaniesie na kolację jako gołąbka!

- Krzycz na Stefanka, nie na mnie! - rzuciła hardo smarkula i wywalila język jak długi.

Stefanek kręcił się wokół odrabiającego lekcje Jarka z miną wyrażającą niezdecydowanie - dąsać się jeszcze czy przemówić? Przemówił:

- Powiedziałem Bogdanowi o Sławku i kanarku. Kanarek mu się oczywiście nie spodobał, a ze Sławkiem już gadają. Chcą go wypróbować. Może mu każą zdobyć psa. Bogdan już szukał, ale nie zdobył... Mama Sonia lubi psy?... Ty wcale mnie nie słuchasz!

- Myślę teraz o poważnych sprawach - ocknął się Jarosław Maigret. - Nie przeszkadzaj! I nie widzisz, że odrabiam lekcje? - przypomniał sobie.

Plany się chwieją, poważniej rozmowy

W sobotę Beata przyszła do szkoły i oznajmiła koleżankom, że reżyser wyjechał na parę dni, aby pokazać próbne zdjęcia samemu Wajdzie, a po powrocie umówi się z nią na zdjęcia atelierowe.

- W Warszawie?-zachwyciła się Joaśka.

- Filmy się kręci głównie w Łodzi - zgasiła ją Kuszecka.

- W Warszawie też - wtrąciła Hania Rudecka znad książki.

- Może w Warszawie - uśmiechnęła się tajemniczo Beata i nie chciała nic więcej mówić.

Jarek słyszał tę rozmowę i pokiwał głową nad naiwnością dziewczyn - wszystko im można wmówić! Wiedział przecież, że kuzyn Zeller nigdzie nie wyjeżdża, Witek mówił. Wyczuł, że nadeszła chwila działania, ale nie miał na razie pojęcia, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji.

Kilkakrotnie na przerwach mobilizował się do rozmowy z Beatą, w końcu odłożył ją do momentu, gdy będzie miał już opracowany plan zdemaskowania reżysera. Chciał sam wszystko

przeprowadzić, ale poczucie solidarności przywiodło go po południu do „Cichego Kącika”. Łysy Bolo złocił się przy stoliku w rogu salki, nad gazetą i wysokim kuflem wody firmowej. Nie przerywając lektury, ręką wskazał Jarkowi krzeselko naprzeciwko, a kielich z ciemnogrnatowego szkła zapachniał leciutko piwem. Zbędna słomka leżała obok popielniczki.

Bolo doczytał kolumnę i zaczął składać gazetę, a Jarek, nie czekając, zrelacjonował mu dzisiejszą wypowiedź Beaty i wczorajszą rozmowę z Witkiem.

- Myślę, że można by pokazać tego faceta Beacie, gdy niby jest w Łodzi czy gdzieś tam - zakończył.

Bolo pomilczał i skrzywił się lekko:

121

- Cwaniak wykręci się tak czy tak. Inaczej to urządzimy... Będzie miał film z życia. Blondynka tu musi zagrać rolę. Twoja głowa, żeby ją przyprowadzić do tych tam Zellerów, kiedy kuzynek robi próbne zdjęcia innej kandydatce na gwiazdę.

- Przecież musi wybierać - zauważył logicznie Jarek.

- Blondynka się zorientuje, synku - westchnął cierpliwie Bolo. - Już moja w tym głowa.

- Można to zrobić tylko rano. Trzeba się będzie urwać ze szkoły.

- Ano trzeba będzie, dziecię w obowiązku. Dam znać, kiedy.

- Jak? Zadzwoisz do szkoły?

- Bez dowcipów. Będę stał na skwerku i na przykład podrę gazetę na trzy paski, jak cię zobaczę w oknie. A wy wtedy odstawiacie numer ze zwolnieniem z lekcji. Pojęto?... Blondynka ostatnio bywała w plenerze, niech nie zarywa znów całego dnia.

- Dobra, przyprowadzę ją tutaj i co dalej?

- Zobaczą oczy twoje. W razie potrzeby wyreżyseruję facetowi mocną scenę. Role dla funkcjonariuszy bezpieczeństwa też przewidziane... No, gra. Możesz odejść.

- A jak mnie Beata zapyta, kto dał znak? Muszę powiedzieć jej o tobie.

- Dziób ci wtedy naprawdę odkształcę! - rozłościł się Bolo. Sposepniał, opróżnił kielich, zmiętosił słomkę i dodał mrukliwie, nie patrząc na Jarka: - I tak tam będę... Ona mnie nie zauważa.

- To przez włosy - przypomniał sobie Jarek. - Ona śmieje się z twoich włosów.

- Jeszcze tu siedzisz? - zmarszczył się Bolo potrząsając grzywą. - Żeby cię stąd w pięć sekund wymiotło! Liczę!

- Cześć! Spieszę się - uśmiechnął się porozumiewawczo Jarek i wyszedł. Bolo podobał mu się coraz bardziej.

Przygotowywał sobie w myśli rozmowę z Beatą, szukając najlepszych argumentów. Nie będzie to łatwe, bo

122

dziewczyna cieszy się tym filmem, przykro rozwiewać jej złudzenia. Za to później będzie mu wdzięczna... I Bólowi, oczywiście, o ile jego plan dojdzie do skutku i postrach dzielnicy ukaże jej się w akcji. Jarek wolałby sam odegrać główną rolę w tym spektaklu. Przepelniała go żądza czynu, pomysły przelatywały przez głowę jeden za drugim, a każdy coraz śmielszy. Wyłamywał drzwi zabarykadowanego mieszkania Zellerów, podsadzał Beatę oknem, rzucał w twarz reżyserowi

oskarżycielskie i pogardliwe słowa, walczył z nim, sprowadzał milicję...

Obiad zjadł w milczeniu, nieobecny duchem, raz tylko pani Leokadii zdawało się, że szepnęła do siebie: „on tak, a ja mu tak!”, czy podobnie, popatrzyła więc na niego z niepokojem.

- Obawiam się, że on ma życie wewnętrzne bogate, ale ubogie... to jest, chyba dosyć jednostronnie zwierzyła się wieczorem synowi. - Jakieś walki, rywalizacje... I trochę wilkiem patrzy, prawie się w domu nie odzywa. Może rozwijać w nim zainteresowania humanistyczne? Mogę mu dawać lekcje francuskiego i literatury, na przykład poezji romantycznej. Ty nie byłeś taki.

- Byłem, byłem, nie pamięta mama? I wyrosłem -uśmiechnął się lakonicznie Ojczym Wyrozumiały.

Nieświadomy zakusów emerytowanej nauczycielki Jarek nie usiłował nawet udawać, że interesuje się życiem domowym. Jedyne monolog pani Awiejskiej, która wpadła wieczorem na minutkę i wyszła po pół godziny, dotarł we fragmentach do jego uszu. Sąsiadka przyprowadziła z sobą Andulę dla konfrontacji ze Stefankiem, bo podobno wybuchła na podwórku jakaś awantura wokół Marzenki i jej zaczarowanego Księcia Piknika, chciała znać szczegóły. Jarek demonstracyjnie zatkał sobie uszy -nieinteresowała go ta historia. Nie mógł doczekać się poniedziałku.

W poniedziałek Beata była nie w humorze, choć udawała przed koleżankami osobę pewną swego i beztroską. Miała rano rozmowę z wychowawczynią w obecności

123

dyrektora na temat wagarów i otrzymała ostrzeżenie: jeszcze jedna nieobecność nie poparta wiarogodnym zaświadczeniem, przede wszystkim lekarskim, a będzie źle.

- Robiło się różne głupstwa w młodości, to i opinia się za człowiekiem ciągnie! -westchnęła streszczając tę rozmowę Jarkowi. - Reżyser będzie musiał przyjść tutaj z kilogramem legitymacji i zaświadczeń, żeby mnie zwolnili na zdjęcia atelierowe. On może tylko przed południem, bo nie ma tu swojej pracowni, jasne? Wypożycza.

- Wiem, że nigdzie stąd nie wyjechał i że to wcale nie reżyser - zdecydował się Jarek. Odchrząknął.

- On cię oszukuje. Możesz to sama sprawdzić.

- Jarek! - rozgniewała się. - Znowu zaczynasz? Nie bądź śmieszny!

- Chodź ze mną i przekonaj się sama. Wiem, gdzie ma to swoje atelier! Tylko że tam trzeba iść rano, a ty miałaś upomnienie...

- A widzisz! Pracuje przed południem! Zgadza się?

- Tylko to się zgadza, obawiam się... Beata, ja cię nie bujam. Lepiej chodź tam ze mną, teraz jest dobry moment, bo on niby wyjechał.

Beata chwilę patrzyła mu uważnie w oczy.

- Kiedy chcesz zrobić tę inspekcję?

- Dzisiaj, jutro... nie wiem jeszcze. Będę miał wiadomość. Tu, do szkoły.

- Aa... to akcja zorganizowana? Z kim to obmyśliłeś? Z Markiem?

- Na razie ci nie powiem, dobrze? Po wszystkim, jak mi przyznasz rację.

- To się okaże! Możesz się pomylić i wtedy nie musisz już ze mną rozmawiać, zwłaszcza na temat moich spraw!

- Dobrze... okaże się. Teraz wymyśl jakieś zwolnienie.

- To proste: ja się źle poczuje, a ty mnie odprowadzisz do domu.

- Jeśli chcesz udać atak ślepej kiszki, to mogę ci opowiedzieć, jakie są objawy. Ja już miałem operację.

124

- Dobra, niech będzie wyrostek!

Na wszelki wypadek zaczęła już od zaraz wyglądać blado i zwierzyła się Rysiównie, że miała dwa silne ataki wyrostka, ostatni miesiąc temu, i martwi się, co będzie ze zdjęciami, jeżeli się rozchoruje. A właśnie czuje się nieszczególnie.

Jarek krążył po korytarzu od ulicy lub wysyłał Opałka na zmianę z Wojaczkiem, żeby nie rzucać się w oczy na każdej przerwie.

- Nic? - spytał Opałka po dzwonku na ostatnią lekcję.

- Nic - Zbyszek rozłożył ręce. - Pewnie jakieś thudność-ci obiektywne!

- Może jutro - powiedział Jarek do Beaty. - Tylko się nie rozmyśl.

- Nie żartuj. Zdecydowałam się - pożegnała go bez uśmiechu..

„Żal mi cię, dziewczyno!” - westchnął w duchu Jarek odprowadzając wzrokiem zgrabną sylwetkę koleżanki.

Nie była to ostatnia poważna rozmowa tego dnia. Kiedy skończył odrabianie lekcji, matka weszła do pokoju chłopców, wysłała Stefanka do babci pod jakimś pretekstem i zagadnęła syna:

- Czy bardzo jesteś zajęty po szkole? Miałbyś trochę czasu dla rodziny?

- To zależy - odparł ostrożnie. - A co się stało?

- Mam kłopot z Bogdanem, przyniósł dzisiaj kolejną uwagę w dzienniczku. Opuszcza się w nauce, jest podobno niegrzeczny wobec nauczycieli... Może popadł w złe towarzystwo? Nie wiesz, z kim się przyjaźni w szkole?

- Nie mam pojęcia, on mi się nie zwierza.

- Za mało przestajecie ze sobą, nie wiem, dlaczego... -zawiesiła głos, ale Jarek nie przyszedł jej z pomocą. - Mam prośbę do ciebie: zwróć na niego większą uwagę, w szkole, na podwórku. O Witka jestem spokojna, to niezły chłopiec, ale na pewno Bogdan ma innych kolegów. Pomożesz mi?

125

- Oczywiście. Tylko nie wiem, czy potrafię. On mnie wcale nie słucha. Chyba mnie nie lubi.

- Może ci się tylko tak wydaje? On dotąd był najstarszy, nikt nie podważał jego autorytetu u Stefanka, dlatego pewnie nie chce cię słuchać. Kiedyś różnica wieku między wami trzema nie będzie się tak wyraźnie zaznaczała i mam nadzieję, że się zrozumiecie... Spróbuj w każdym razie jakoś się z nim dogadać, przypilnować... Oho, to chyba on dzwoni, wysłałam go po zakupy. Idę do kuchni, nie chcę, żeby pomyślał o jakimś spisku na jego wolność.

Jarek potrenował surowy wyraz twarzy, ale gdy Bratek stanął w drzwiach, zmienił taktykę i spytał niby obojętnie, choć przyjaźnie:

- I co słyhać u Pancernych? Skończyły się kłopoty z załogą?

- A co się tak raptem zainteresowałeś? - zdziwił się nieuprzejmie Bogdan. - Mamy przejściowe kłopoty, ale to nie twoja rzecz.

- Pewnie, nie moja - zgodził się łagodnie Jarek. -To, że palisz papierosy, też nie moja rzecz. Ja też kiedyś paliłem, ale mi przeszło. Wcale nie muszę robić tego samego, co inni. Mogę mieć własny pogląd na nikotynę, nie? Zechę, to zapalę, ale nikt i nic nie może mnie zmusić.

- Więc ty się też nie wtrącaj! - warknął Bogdan i dodał podejrzliwie: - Naskarzyłeś, co?

- Spytaj mamę.

- Głupiś czy co?

- Może i głupi, bo powinienem im poskarżyć. Na razie milczę.

- Odczep się!

Jarek wzruszył ramionami i spokojnie dokończył odrabiania lekcji. Bogdan postanowił nie odzywać się do niego. Zapanowała nieprzyjemna atmosfera. Stefanek wolał przenieść się z zeszytami do babci. Miał na sumieniu jakiś wybryk podwórkowy i instynktownie szukał opieki osoby najłagodniejszej dla niego.

126

Wtorkowe popołudnie w pokoju chłopców również zaczęło się ponuro. Jarek nie usiłował poprawić nastroju -był zły, bo Łysy Bolo nie dawał znaku życia i Beata zaczęła drwić z całego przedsięwzięcia. Dopiero gdy wpadł do nich na chwilę Witek Zeller, w pokoju zabrzmiała rozmowa.

- No, radosny dzień! - zapromieniał Witek od progu. -Pierwszy dzień od wieków bez kochanego gościa!

- Co... kuzyn wyjechał? - zaniepokoił się Jarek. Czyżby Beata miała jednak rację, a oni z gorliwości popełnili omyłkę?!

- Wyjechał, wyobraźcie sobie! Co prawda tylko na parę dni - westchnął Witek - i zapowiedział, że wróci j eszcze co najmniej na tydzień! Ale dobre i to.

Ładne kalosze! No i co zrobić w tej sytuacji? Nic. Cały plan nawalił. Zaczekać? To już nie będzie takiego efektu i Beata wyśmiejie ich, obrazi się... A może to rzeczywiście reżyser? Witek smarkacz,

nie musi wszystkiego wiedzieć... No, to wygłupili się obaj z Bólem porządnie!

Zauważył, że Bratki poszeptują o tajnych sprawach Pancerniaków, wyszedł więc do stołowego i udawał, że ogląda telewizję. Rozmyślał intensywnie nad wyjściem z sytuacji. Bolo pewnie o niczym nie wie, zawiadomiłby go chyba. Trzeba by się wybrać do „Cichego Kącika”... Tak, ale lepiej pójść tam z konkretnymi wiadomościami i planem - a nie jak bezradna owieczka. Przydałaby się przynajmniej jakaś koncepcja!

- Witek - spytał wracając do chłopców - ojciec w domu?

- Tak, retuszuje zdjęcia. Bo co?

- A, nic. Chciałem się go poradzić w sprawie fachowej. Można teraz do was wpaść?

- Jasne! Poczekaj, ja zaraz wracam do domu. Bogdan zatrzymywał Witka, jak mógł najdłużej, pewnie

na złość niecierpliwącemu się Jarkowi, ale wreszcie zeszli obaj na parter. Pani Zellerowa kończyła właśnie lekcję

127

fortepianu z jakąś wyrośniętą pannicą, pan Zeller, blady, lekko utykający mężczyzna, pogwizdywał w łazience, gdzie miał swoje podręczne laboratorium. Jarek musiał trochę zaczekać i obejrzał Witkowe znaczki. Potem fotograf wysłuchał pytania, grzecznie i z szerszymi objaśnieniami odpowiedział, że można z pozytywu otrzymać negatyw, i nadeszła pora na Rozmowę Właściwą. Jarek jednak nie wiedział, jak zacząć. Zellerowie już zasiedli do kolacji, a on ciągle wymyślał same głupstwa udając, że słucha z zainteresowaniem rodzinnej rozmowy o nie znanych mu sprawach. Witek nieświadomie wybawił go z kłopotu.

- Wujek znowu przywiezie furę zdjęć! - powiedział w pewnej chwili. - Niech tatuś lepiej schowa papier albo zabierze do pracy!

- Właśnie! - wtrącił się Jarek. - Czy ten pan jest reżyserem filmowym? Słyszałem, że dużo fotografuje i też filmuje...

- Skąd! - odparł pan Zeller niechętnie. - Ma amatorską kamerę, a zdjęcia też niezbyt świetnie robi... Czasem uda mu się jakiś portret. Za to krajobrazy fatalne - machnął ręką i umilkł, zachmurzony.

- Już druga osoba pyta, czy on jest reżyserem - zdziwiła się lekko pani Zellerowa.

„Kto jeszcze? Beata?! Bolo? Milicjant?!” - pomyślał błyskawicznie Jarek i spytał:

- A kto jeszcze był ciekawy?

- Zosia Majówna.

Tego się nie spodziewał! Działali przecież w tajemnicy, Zosia w szkole nigdy nie kręciła się za blisko Beaty... Chociaż życie lokatorów przy Kamiennej 7 zdaje się nie mieć tajemnic dla tej dziewczyny. Czyżby wpadła na jakiś ślad?

- Czy ten pan wyjechał na długo? Chciałbym obejrzeć, jak się filmuje - starał się opanować zdumienie.

- Pojechał do Szczyrku, wróci chyba w niedzielę wieczorem albo w poniedziałek rano - odpowiedziała pani

128

Zellerowa i uśmiechnęła się życzliwie: - Interesuje cię fotografowanie?

- Tak... owszem, bardzo.

- Przyjdź znowu, jak będziesz miał problemy - dodał jej mąż i Jarek wyczuł, że pora odejść.

- Dziękuję bardzo! Przyjdę, oczywiście... ale na razie nie mam aparatu. Może uskładam pieniądze, to wtedy spytam pana, jaki warto kupić... Dziękuję, dobranoc!

- Dobranoc! - pożegnali go uśmiechami.

Też sympatyczni ludzie... Ale że Zosia coś wywahała! Nie był zadowolony z tego, sam chciał rzecz doprowadzić do końca.

9 - Klub Kosmohikanów

Sytuacja dojrzeła

Zosia zaprosiła go do pokoju, ale nie byli sami, rozpoczęli więc ogólną rozmowę o szkole. Matka Zosi siedziała na kanapie z drutami w rękach, ciotka Weronika, odziana w obszerny czarny szlafrok w czerwone wielkie kwiaty, stawiała na stole pasjansa, a ciotka Karolina obserwowała okna

naprzeciwko przez lornetkę, trzymaną w zdrowej ręce. Jarek szybko sprawdził, czy w ich mieszkaniu wszystkie zasłony są pozaciągane. Jedno z okien w pokoju chłopców było do połowy odsłonięte i zobaczył, że Bratki znowu bawią się w wojnę powietrzną. Spojrzał wyżej -u Królikowskich najmniejszej szparki, światło ledwie przedziera się przez gęste wzory zasłon. Nad nimi ciemno w pokoju, w kuchni krząta się kobieta, widać też cień mężczyzny czytającego gazetę. Pod Koniorami też kuchnia oświetlona, w niej wsparta pod boki Tubowa opowiada coś chudemu Tubie, który moczy wasy w wysokim kubku, przegryza chlebem. Sławek wszedł na chwilę i wyszedł, chyba z kanarkiem na ramieniu. Widać ich w trochę zabawnej perspektywie, z góry, ponad żółtą zasłonką, sięgającą do połowy wysokości okna. Po drugiej stronie bramy, u Zellerów, ciemno. Nad nimi u Awiejskich jasno, ale firanki też szczelnie zasunięte. Wyżej znowu scena kuchenna[^] przepołowiona kurtyną w niebieskie plamki, chyba kwiatki. Do okien oficyny bocznej trudniej zaglądać, Jarek nie chciał się wychylać, poprzestał więc na skontemplowaniu światła okiennych na poręczach długich balkonów, obiegających od pierwszego piętra całą oficynę boczną i front naprzeciwko.

Istny teatr. Jeśli Zosia tak codziennie wszystkich podgląda... - nie dokończył myśli.

Temat szkolny zaczynał już wędnać. Zosia dyskretnie mrugnęła okiem i spytała z niewinną miną:
130

- Czy przyniosłeś mi to zadanie z fizyki? Widzę, że zapomniałeś...
- Fakt! - stuknął się w czoło nieco zbyt dramatycznie. - To ja może skoczę do domu?
- Nie, po co, pójdę do ciebie. Mamo, muszę wyjść na, chwilę!
- Idź, idź, Zosiu - kiwnęła głową matka.
- O, wyszedł! - ucieszyła się ciotka Weronika stukając palcami po stole. - To czternasty udany pasjans w moim życiu!
- Dobranoc! - Jarek uklonił się grzecznie mniej więcej kredensowi, stojącemu między kanapą a sofą za stołem, i wyszli. Zeszli, oczywiście, do piwnicy.
- Zapomniałam ci wtedy powiedzieć, jak nazwałam tę kryjówkę - uśmiechnęła się Zosia zapalając lampę. - Nazwa jest długa i głupia, dla ciebie niech będzie po prostu Grota, dobrze?
- Dobrze - Jarek też się uśmiechnął, ale zaraz chrząknął poważnie i przystąpił do rzeczy: - Dlaczego pytałaś Zellerów, czy ich kuzyn jest reżyserem filmowym?

Zosia zmieszła się.

- Wiesz... tak mi to jakoś przyszło do głowy... Po prostu zaprowadziłam Marzenkę na lekcję muzyki, dostała ciastko od pani Zellerowej i wysmarowała sobie ręce, więc poszłam z nią do łazienki. A tam suszyły się różne zdjęcia, dwa duże Beaty, więc pytanie samo się nasunęło... Witek ci mówił?
- Nie, byłem u nich teraz i spytałem o to samo -mruknął Jarek.
- Też widziałeś te zdjęcia?
- Nie, ale miałem pewne podejrzenia.
- Ja też mam pewne podejrzenia... Myślisz, że to oszust?
- Tak.
- Trzeba uprzedzić Beatę.
- Powiedziałem jej to, ale mi nie wierzy. Musi się przekonać na własne oczy.

131

- Ale jak to zrobić?

Streścił jej dosyć mglisty plan Bola, z konieczności zdradzając jego udział w całej imprezie, ale czuł, że Zosia potrafi zachować dyskrecję. Nie wydała się zachwycona pomysłem chłopców. Milczała jakiś czas, wreszcie spytała cicho:

- Nie myślisz, że to jednak delikatna sprawa? Tylko Beaty i tego... pana?
- To znaczy, nie powinniśmy się wtrącać?
- Nie... to znaczy, nie tak... hałaśliwie. Bo to na pewno będzie straszna awantura... Jeśli Bolo wspomniał o interwencji milicji... Trzeba coś innego wymyślić. Po co cała kamienica i jeszcze ktoś tam mają wiedzieć, że się Beata pomyliła? Znasz choćby Kasię i Andulę.
- Taak... - musiał przyznać rację. Jego udział w rozwiązaniu sprawy „reżysera” stanął pod znakiem

zapytania. Trochę go ubodło, że dziewczyna wzięła nad nim górę, ale to fakt. Na szczęście Zosia nie wygląda na taką, która wykorzystuje swoją przewagę dla pogwałcenia bliźniego. Poddał się: - Porozmawiaj jutro z Beatą, dobrze? Ale tak, żeby nie myślała, że to ja cię namówiłem.

- Jasne. Przecież domyśliłam się jakiejś afery niezależnie od ciebie... Może mi Beata zaufa. I wtedy razem coś wykombinujemy. Mówiłeś, że on wyjechał, mamy więc czas.

- Właśnie... To ja już lecę! Cześć.

- Cześć... Chciałam ci jeszcze powiedzieć - zająknęła się i zarumieniła lekko - o tej lornetce... To jedyna rozrywka cioci Karoliny. Czasem ją jeszcze zawożę do sąsiadów na telewizję... Nie myśl, że podglądam ludzi z zamiłowania...

- Wcale tak nie myślę... - też się trochę zmieszał. -Cześć!

Na kolację spóźnił się, oczywiście, zarabiając kilka uwag pani Leokadii i badawcze spojrzenie matki. Ojczym

132

czytał gazetę. Opowiedział bajeczkę o odrabianiu lekcji z Zosią, co uspokoiło obie kobiety.

Nazajutrz od rana lał deszcz.

- Dzisiaj też się go spodziewasz? Na skwehku jedna wielka kałuża. Mnie by się nie chciało - wypowiedział się wierny sekundant.

- Jemu też się pewnie nie chce - mruknął Jarek. Wiedział dobrze, że Bolo dzisiaj nie przyjdzie, ale nie wtajemniczał Zbyszka w sprawę reżysera. Wystarczy, że Zosia o nim wie. - Myślę, że możemy spędzać przerwy gdzie indziej.

Nie bardzo było gdzie. Z klasy dyżurni wyganiają, bo trzeba wietrzyć, na korytarzach kotłowanina i wrzask, spokojne miejsce koło piwnicy też zatłoczone. Dziewczyny usiłują spacerować z wdziękiem po dwie, po trzy, ale co chwila muszą uskakiwać pod ściany, bo młodsi koledzy zupełnie tego wdzięku nie dostrzegają, pędząc swoją drogą. Starsi też są niewiele lepsi. Na przykład tacy Muszkietierowie, pogodzeni już zupełnie, ustawili się gęsiego za Heńkiem i snują się zygzakami po wszystkich korytarzach, obchodząc w koło, kogo się da. Rozbijają grupki i pary, a miny mają skupione jak przy ważnym obrzędzie magicznym. Rozdzielili tak Jarka i Zbyszka. Okrążyli Opałka, potem Heniek zatrzymał się przed Jarkiem i zasalutował:

- Melduję, że pana kapitana dziewczyna flirtuje na korytarzu u licealistów!

- Spoczniej i odmaszeruj szybciotko! - mruknął Jarek mierząc go zimnym spojrzeniem.

- Nie interesują cię dalsze meldunki?

- Henhyś, Henhyś, słuchaj życzliwych i zjeżdżaj -poradził łagodnie Opałek.

- Zbyś, Zbyś, nie zaczynaj z grupą!

Grupa ustawiła się na ukos przez korytarz, tarasując przejście, co nie spodobało się dyżurującemu nauczycielowi-

133

wi. Zbliżał się wolnym, lisim krokiem, ale nie dali mu satysfakcji. Heniek wykręcił się na obcasie - to było hasło do dalszego marszu, tym razem prosto, wzdłuż okien. Jarek z Opałkiem też poszli pod klasę, gdzie czekała na nich Beata z Markiem. Zbyszek usunął się dyskretnie.

- Słuchaj, co to za heca? - spytał Marek, jakby nic między nimi nie zaszło. - Beata podejrzewa mnie o jakąś intrygę i wtrącanie się w jej sprawy. Podobno coś razem wymyśliliśmy. Chciałbym wiedzieć, co.

- Obiecałem ci przecież, że o wszystkim dowiesz się po fakcie - Jarek zwrócił się do Beaty. Na Marka wolał nie patrzeć. Beata nie rozmawiała jeszcze z Zosią, można więc skłamać w myśl wczorajszej umowy: -I nikt w szkole nie jest w to wmieszany.

- Przypuśćmy... - Beata przyglądała się to jednemu, to drugiemu. - A teraz ja się wtrączę: czemu się kłóćcie?

- Kto się kłóci? - parsknął Marek. - Ktoś tylko ma czasami muchy w nosie, jak stara panna. Cześć, idę na górę. Bawcie się sami w dziecinne afery!

Beata tupnęła nogą niecierpliwie i chciała go zatrzymać, ale Jarek zaprotestował:

- Niech idzie.

- Pamiętaj: jeżeli wkrótce nie zaprowadzisz mnie do tego atelier... - chciała, rzucić jakąś sporą

groźbę, ale zadzwonił dzwonek, machnęła więc ręką, drugą zatykając ucho, i weszła do klasy. Pozostałe przerwy Jarek spędził z Opalkiem i Wojacz-kiem, zaglądając do kryjówki koło piwnicy, czy nie ma tam Bogdana. Chciał dać Zosi okazję do pogadania z Beatą, ale niełatwo było dopchać się do obłożonej przez kibiców gwiazdy. Dopiero na ostatniej przerwie dziewczęta zniknęły gdzieś razem i spóźniły się nieco na lekcję, co w wypadku Zosi było debiutem, trafiła jednak na łagodną Antonównę, nauczycielkę rosyjskiego; obyło się więc bez komentarzy. Beata kompletnie wyłączyła się z lekcji, siedziała cały czas z poważnym i skupionym

134

wyrazem twarzy, machinalnie skubiąc futerko swej maskotki. W połowie lekcji napisała na okładce zeszytu: „Muszę z tobą porozmawiać po szkole” i podsunęła go Jarkowi, nie podnosząc głowy.

„Co się stało?” - dyplomatycznie dopisał poniżej.

„Porozmawiamy”.

Marudzili w klasie po dzwonku, wyszli ostatni i już na korytarzu Beata zaczęła półgłosem:

- Czy wiesz, że ktoś inny też mnie dzisiaj ostrzegł p*przed reżyserem?

- Kto?

- Zosia! Twoja sąsiadka... Dlaczego nie powiedziałeś mi, że ten typ mieszka w twojej kamienicy?

- Chciałem cię zabrać na inspekcję... A jak Zosia na to wpadła?

Wysłuchał cierpliwie historii zdjęć suszących się w łazience u Zellerów i spytał:

- Nabrałaś wreszcie podejrzeń? Co robimy? Inspekcja aktualna?

- Nie wiem...

Zosia czekała na nich na dole w holu.

- Powiedziałaś mu o twoim odkryciu... - mruknęła Beata. Straciła humor i pewność siebie.

Przygasła. - Mam nadzieję, że nie roztrąbicie tego po szkole... W każdym razie dziękuję wam za dobre intencje. Cześć! - zaczęła mocować się z ciężkimi drzwiami.

- Zaczekaj! Wymyślimy coś przecież razem... - Jarek chciał ją zatrzymać.

- Dziękuję, ale to moja sprawa! - zbiegła ze schodów na ulicę nie oglądając się.

- No i masz! - mruknął zawiedziony.

- Ona to musi sama przemyśleć - powiedziała Zosia. - I pewnie trochę się nas wstydzi, nie możemy się narzucać... Może potem wspólnie się naradzimy.

- Jasne!

Resztę drogi przebiegli w milczeniu, moknąc pod jed-

135

nym parasolem. Dopiero w sieni na Kamiennej Jarek spytał:

- Nie mówiłaś jej chyba o Bólu?

- Skąd! Przecież oficjalnie nic o was nie wiedziałam.

- Tak... Będę musiał go powiadomić. Cześć! Zostawił teczkę w przedpokoju i wybrał się do „Cichego

Kącika” jeszcze przed obiadem, nie zastał tam jednak Bola. Trochę obawiał się tej rozmowy, zawiedziony Bolo może się okazać niemiły, ale trzeba jednak porozmawiać. Postanowił wrócić tu po południu.

Nowe plany, tajemnice podwórkowe

Deszcz przestał lać, zaczął kropić. Jarek przeciągnął się na krześle, zamknął zeszyt i odszukał w głębi szuflady płaskie pudełeczko, w którym trzymał drobne na bieżące wydatki. Nie będzie przecież sterczał w „Cichym Kąciku” nad pustym stolikiem.

- 'Idę do Zosi - oznajmił babci. Matka była u pani Awiejskiej. Coś się znowu nie kleiło z pracą w Orbisie. Bogdan też się wymknął korzystając z okazji. Jarek przypomniał sobie prośbę matki, ale Bratek rozwiął się jak duch w zapadającym zmierzchu, zresztą były inne sprawy do załatwienia. Spotkał Łysego Bola pod zieloną bramą znanego mu już podwórza. Bolo ochraniał loki wielkim kraciastym parasolem z rzeźbioną rączką.

- No? - spytał lakonicznie.

- Wyjechał.

- O tym wiem, skarbie. Dokąd wyjechał?

-Do Szczyrku i wróci w niedzielę albo w poniedziałek.

- No, to do poniedziałku... - Bolo chciał odejść.

- Zaczekaj, coś się jeszcze wydarzyło - z trochę niepewną miną Jarek streścił mu ostatnie wieści i zakończył: -Beata sama chce to rozwiązać. Co robimy?

- A co możemy zrobić? - rozzłościł się Bolo. - Jak się baby w to wmieszały, to ja umyłam ręce! Zechcą być delikatne i ptaszek się wywinie, życia nie znam? - ruszył w swoją drogę bez pożegnania, jak zwykle, raptem zawrócił jednym skokiem i schwycił Jarka za kołnierz kurtki: -O mnie wie?

- Nie!

- No! Pamiętaj - zagroził Bolo. - Znajdę cię, synku. Rozeszli się w przeciwne strony, Bolo wściekły, a Jarek

nieco zmartwiony tak szybkim zerwaniem bliższej znajo-

137

mości z postrachem dzielnicy, całkiem sympatycznym po bliższym poznaniu. Może się jeszcze kiedyś dogadają? Kiedyś też się będzie miało te szesnaście, siedemnaście lat! •Drzwi otworzyła mu pani Leokadia. Z pokoju chłopców wyrzała Andula z Lofikiem.

- Przed chwilą była tu Zosia - pani Leokadia badawczo popatrzyła w oczy chłopca.

- No tak... musieć się minąć.

- Prosiła, żebyś do niej zaraz przyszedł. Jak ona to powiedziała? Do szopy? Jaskini?... Zażartowała jakoś tak podobnie.

- To ja lecę!

- Zaczekaj! Matka prosiła...

Ale Jarek już zbiegł po schodach. Na podwórku ciemno i pusto, nikt nie widział, jak schodził do piwnicy w oficynie. Zastukał ostrożnie w małe drzwiczki i Zosia otworzyła je natychmiast. Na jednym z pieńków koło stołu siedziała Beata, już spokojniejsza i pogodniejsza niż parę godzin temu.

- Po prostu nie pójde na umówione spotkanie - powiedziała bez żadnych wstępów. - A jak będzie za mną chodził, to powiem, że się rozmyśliłam i nie chcę grać w jego filmie. A jak się uprze, to mu zagrozę milicją. I już.

- Pewnie - bąknął Jarek. Nie tak to sobie wyobrażał.

- Złości mnie tylko, że ma moje zdjęcia. Nie wiadomo,-co chce z nimi zrobić.

- Tak, zdjęcia lepiej odebrać - powiedziała Zosia. - On teraz wyjechał...

- Właśnie! - Beata wpadła jej w słowo. - Trzeba to wykorzystać. Pójde tam i zabiorę!

- Tak po prostu? Co powiesz Zellerom?

- Nie wiem... Nie chcę draki. Nie dałoby się ich jakoś wyciągnąć, kiedy nikogo nie ma w domu?

Wy znacie teren, poradzcie.

- Może Witek? - poddała myśl Zosia. - On nie lubi

138

wujka, może potraktuje to jak kawał... Nie musi wszystkiego wiedzieć.

- Pogadam z nim -kiwnął głową Jarek. -Niech wyniesie nie tylko odbitki, ale przede wszystkim negatyw. .

- Właśnie! Będą ze dwie taśmy! - westchnęła Beata. -Muszę być przy waszej rozmowie, żeby Witek mnie potem rozpoznał na fotografiach.

- Dobra, umówimy się...

- Ciii... - szepnęła nagle Zosia i na palcach podeszła szybko do drzwiczek. - Tam ktoś jest! Zgaście lampę!

Jak? - Jarek nie miał nigdy do czynienia z oświetleniem naftowym. Zdjął klosz i zaczął dmuchać.

- Trzeba przykręcić knot! Dobrze...

Podeszli do niej i nasłuchiwali wstrzymując oddech. Ktoś zapalił w piwnicy światło, schodził po schodach. A teraz zaszczekał pies.

- Tu mu będzie najlepiej! - usłyszeli głos Witka Zelle-ra. - Pod suszarnią! Na tej wycieracze!

- Mama nie wie, że ją wziąłem. Będzie myślała, że ktoś ukradł - teraz mówił Sławek.

- Nie masz klucza od pralni? - poznali głos Bogdana. - Najlepiej byłoby mu w środku.
- Tu są jakieś drzwiczki - zauważył Witek. Szarpnął kilkakrotnie za klamkę Groty. - Też zamknięte.
- Tubka, rusz główką! Zorganizuj w domu klucz do pralni - mówił Bogdan. - Wykonaj zadanie do końca, policzy ci się to.
- Nie wiem, jak... ale zrobię! Poczekajcie tu z nim, to mu przyniosę jeszcze coś do jedzenia.
- Po co? Nażarł się u Witka, u ciebie, u nas też coś dostał!
- Będzie miał na zapas!
- Akurat! - zaśmiał się Witek. - Zeżre od razu i pęknie. Chcesz mieć Szarika w kilku częściach? Segmentowy Szarik!

139

- Nie drzyj się tak! - przyciszył go Bogdan. - Wszyscy mają wiedzieć, że robimy tu psią budę?
- Kto nas tu słyszy, nie przesadzaj! Idziesz po ten klucz, Tubka?
- Idę, idę... - westchnął Sławek. - Przez was będę miał awanturę w domu.
- Przez nas? Nie nasza wina, że go matki nie chciały. Twoja zresztą zaraz na początku.
- Jeszcze by kanarka zjadł...
- Właśnie! Pierwsza go wyrzuciła. Musisz ją przekonać. To też zadanie bojowe - kusił go Bogdan. - Nie trzeba zrażać się trudnościami!
- Idę - westchnął jeszcze raz Sławek i poszedł. Tamci zabawiali się z psem chcąc go od razu wytresować, ale stawiał im widać opór, bo złościł się niemało.
- Posiedzimy tu do nocy! - mruknął Jarek. Był zły, na Bogdana w szczególności. Rzeczywiście, strasznie długo musieli czekać, aż się Pancerni na dobre ulotnią z piwnicy. Pożegnali się szybko, Beata rozmyśliła się i dała Jarkowi swą szkolną legitymację, aby Witek miał jakieś jej zdjęcie do porównania, i westchnęła odchodząc:
- Bardzo tu u was miło. Szkoda, że ja nie mam takiej kryjówki! Ciocia jest bardzo dobra, ale jeden pokój na nas dwie to czasami za mało. Cześć!
- Cześć... Przychodź częściej - powiedziała Zosia. - Tylko ostrożnie, sama widzisz, nie zawsze jest spokój.
- Teraz trzeba ograniczyć wizyty w Grocie, zanim się oni nie wyprowadzą z tym psem. Ciekawe, skąd go wystrasnęli? - mruknął Jarek.

U Koniorów było już po kolacji. Matka, wyraźnie czymś zaambarasowana, skwitowała Jarkowe spóźnienie tylko drobną aluzją do zegarka, za to pani Leokadia popatrywała na niego podejrzliwie, zapewne zbierając materiał do przyszłej pedagogicznej narady rodzinnej.

Chłopcy kończyli odrabianie lekcji przy wspólnym sto-

140

le. Bogdan, oczywiście, zajął większą jego część. Wreszcie Jarek zwrócił mu uwagę.

- Ty tylko czytasz, a ja piszę! Odczep się! - burknął Bogdan.
 - Ale Stefankowi przeszkadzasz.
 - Mógł robić lekcje wcześniej. Jemu mało zadają!
 - Ja miałem fortepian! - oburzył się Stefanek. - To ty mogłeś!
 - Bogdan, zostaw go. W ogóle mam z tobą do pogadania.
 - Przecież pracuję!
 - O tej twojej pracy też... I w dodatku pieski kradniesz...
 - Coś ty powiedział? Kradnę? Sam się przyplątał! Ty paplo! - uderzył Stefanek.
 - Zostaw go! Nic mi nie mówił, sam was z psem widziałem.
 - Gdzie, ciekaw jestem?
 - Moja rzecz.
 - A ja mam swoje sprawy! Odczep się, ty...! - Bogdan zdusił jakieś złe słowo. Zawdzięczenie zaczął kartkować podręcznik.
- Zajrzał do nich inżynier.
- Chyba macie odmienne poglądy na życie, co? - zażartował. Spostrzegł rozłożone zeszyty i zmarszczył brwi: - Jeszcze odrabiacie zadania? Nie było czasu przed kolacją? Soniu, co oni robili dziś cały dzień?

Mama weszła do pokoju, rozcierając delikatnie palcem lewą skroń.

- Nie wiem, przyznaję ze skruchą. Cały dzień miałam jakieś kłopoty i sprawy do załatwienia. No i ta maratońska rozmowa z panią Awiejską! Głowa mi pęka.

- Żebym to widział po raz ostatni! - zagroził chłopcom inżynier. - Po kolacji możecie najwyżej czytać lektury nadobowiązkowe.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- Mam nadzieję, że to nie najbliższa sąsiadka, niczego

141

chyba nie pominęła w rozmowie! - westchnęła matka wznosząc oczy do sufitu. Weszła pani Królikowska.

- Bardzo przepraszam, że tak późno i bez zaproszenia - zaczęła się giąć od progu - ale wcześniej nie mogłam, mam teraz dodatkową robotę, a bardzo mi zależy na odpowiedzi Stefanka... Co się stało na podwórku, że moja Marzenka wcale nie chce wychodzić z domu? Ryczy, chowa się pod łóżko, udaje chorą. Coście jej zrobili?

- Stefanku, nie przeprosiliście jeszcze Marzenki? - matka surowo spojrzała na najmłodszego w rodzinie, w tej chwili purpurowego ze wstydu: - Dlaczego?

Stefanek milczał wymownie.

- O co chodzi? Nie wiem o niczym - zdziwił się inżynier.

- Dzieci wyśmiewają się z opowiadań pani córki o jakimś zaczarowanym Księciu Pikniku - wyjaśniła matka zwracając się do sąsiadki. Stefanek nie miał zamiaru udzielać odpowiedzi. -

Prosiłam, żeby się pogodzili, ale widocznie ciągle jej dokuczają.

- Stefan, czy to prawda? - oburzył się ojciec. - Dokuczasz kobiecie, w dodatku młodszej i słabszej od ciebie? Nie spodziewałem się tego. Myślę, że to naprawisz!

Stefanek kiwnął nisko opuszczoną głową.

- Ach, więc o to chodziło? - odetchnęła pani Królikowska. - Myślałam, że stało się coś gorszego. Porozmawiam z małą albo poproszę tę Basię czy Zosię z naprzeciwka, ona ma na Marzenkę dobry wpływ. Większy niż ja! - ćwierkała. - Tyle mamy ostatnio pracy z mężem, samochód na horyzoncie, że kompletnie nie mam czasu dla domu! Poproszę chyba tę Zosię, żeby codziennie zaglądała do małej... za jakąś drobną opłatą, lub sprawię jej prezent... Dziękuję państwu, dobranoc! I przepraszam za najście!

- Dobranoc... Wątpię, czy Zosia połakomi się na te pieniądze - powiedziała matka z lekkim skrzywieniem warg, gdy drzwi zamknęły się za gościem.

- Ja od nich bym brał, od nich brałbym - podkreślił

142

inżynier i raptem huknął na chłopców: - Dlaczego nie kończycie lekcji? Do roboty!

- A potem niech Stefanek przyjdzie do mnie na chwilę, dobrze? - poleciła matka znużonym głosem. Zgnębiony najmłodszy Bratek skończył lekcje wśród cichutkich pochlipywań, a po rozmowie w kuchni wrócił zdecydowanym męskim krokiem i oznajmił rozkładając na tapczanie piżamę:

- Można zrozumieć wiele rzeczy. To im powiem na podwórku. Niech sobie też powymyślają Pikników, jeśli tylko potrafią! - potem dodał mniej chwacko: - Teraz będę miał aż dwie baby na głowie, co za los!

Nie wszystkie kawały bywają udane

W szkole Beata znikała gdzieś umiejętnie na każdej przerwie - dosyć miała już tłumu wielbicieli. Zamieniła tylko parę słów z Zosią, z Jarkiem nie poruszała sprawy reżysera, ograniczając się do tematów ściśle szkolnych. Jarek zapomniał odwołać ze stanowiska wiernego sekundanta i trochę się nawet zdziwił, gdy Opalek stanął przed nim na dużej pauzie, rozkładając ręce: - Nic nowego, szefie!

- Z czym... a! Wiesz, interes się chyba rozleciał... - Jarek w zakłopotaniu potarł palcem nos. - Na razie zawieszamy obserwacje.

- Thudno! Ostatnia afeha wełniana nauczyła mnie cie-łpliwości - westchnął zawiedziony Zbyszek.

- Trzeba dawać sobie hadę z szahą codziennością! Może się znów kiedyś los do człowieka uśmiechnie.

- Kto wie? - rzucił mu cień nadziei Jarosław Dobry, acz Zrezygnowany Nieco.

Z przyzwyczajenia, a może na zakończenie swej roli sekundanta, Opałek odprowadził go aż na Kamienną. Deszcz dziś nie padał, można nawet było mówić o przebłyskach słońca, podwórko więc roilo się od młodych mieszkańców kamienicy. Szaleli tu Pancerni siejąc popłoch wśród maluchów, ale nie dokuczali im i malcy byli nawet zadowoleni, że się ich czasem traktuje jak oddział nieprzyjacielski lub jak tabor i bydełko, czyli zapasy żywności wroga. Przy okrażaniu „stada” Witek robił minę kowboja--Dougłasa, a Bogdan żołnierza-Gołaśa. Stefanek szalał wraz z nimi, ale co jakiś czas miał oko na Marzenkę, to znaczy podbiegał do niej i pytał scenicznym szeptem, czy się dobrze bawi i czy ktoś przypadkiem nie powiedział jej czegoś przykrego. Jarek uśmiechał się pod nosem.

Zauwa-

144

żył też, że nie wszyscy Pancerni hałasowali równocześnie -co jakiś czas jeden z nich wymykał się do piwnicy.

- Taak... To j a już lecę - opamiętał się po dłuższej chwili milczenia Opałek Porzucony. - Nabhałem apetytu i...

W piwnicy oficyny rozległ się przeraźliwy psi harmider i cienki babski pisk. Pancerni zamarli, a potem zgrupowali się przy drzwiach, z których raptem wypadła wściekła i zabeczana Andula z piszczącym Lofikiem w ramionach.

- Co mu Lofik zrobił? Nic! - tupnęła nogą mniej więcej w stronę Witka. - Nic! A on go ugryzł!

- Po co go tam zaciągnęłaś? - tupnął na nią Witek. -Dobrze ci tak, wścibskulo!

Miało być pewnie , wścibska smarkulo", a tak powstało przezwisko. Roześmieli się. Andula rozryczała się jeszcze głośniejsze i pobiegła do domu. Maluchy chciały wiedzieć, kto pogryzł Lofika, ale Bogdan zagroził im drogę, a Witek powiedział „szepem”:

- Cii... Nie chodźcie tam! Oswajamy prawdziwego wilka. On jest niebezpieczny!

- Eee... - śmiał zwątpić Wojtuś Ziębicki.

- No, to idź tam, zobacz! - zachęcił go Bogdan i zrobił przejście.

- Eee... - zrezygnował Wojtuś.

Jarek ze Zbyszkciem wymienili rozbawione spojrzenia, Opałek pożegnał się, Jarek też pobiegł na obiad sygnalizując dyskretnie Witkowi, że ma do niego ważny interes.

Nie zdążyli nawet zjeść zupy, gdy u drzwi zabrzmiał wojowniczo dzwonek. Bogdan otworzył. Posypała się na niego lawina pytań.

- Cześć, Bogdan, to twój pies, ten w piwnicy? Czyj to pies? - chciała wiedzieć pani Awiejska.

Ciągnęła za rękę posepną Andulę, a ta trzymała Lofika z obwiązaną przednią łapą. Ratlerek już pewnie zapomniał o swej przygodzie i chciał pobiegać, ale dzieWczynka uznała go za cierpiącego, musiał więc pocierpieć. Pani Awiejska zatrzymała się w połowie drogi między kuchnią a pokojem, zerknęła

10 - Klub Kosmohikanów

145

w przenoszone kolejno talerze i nie chciała dalej wejść, bo ona przecież tylko na minutkę. Postąpiła tak dziesięć i zdążyła przekazać Koniorom mnóstwo informacji. O psach rozmaitych, o pudlu cioci Agnieszki szczególnie, o papużkach nierozłączkach dyrektorowej, o słabostkach dyrektora, o niektórych ciekawostkach biurowych, o kanadyjskich krewnych jednej z koleżanek i jej perypetiach z wyjazdem tam na stałe, o trudnościach w nabyciu nowocześniejszego sprzętu dentystycznego, o przyjaciółce, która przewiozła przez granicę to i owo w częściach, dzięki czemu mogła rozwinąć interes - ale jaki, już nie zdążyła sprecyzować, bo znowu ktoś zadzwonił do drzwi. Bogdan otworzył. Weszła Kasia.

- Mamo, ja już ugotowałam wszystko i nie wiem, co dalej - powiedziała smętnie. - Chodź i dopraw, bo stygnie.

- Już idę, idę! Ojciec zażył lekarstwo? Pewnie zapomniał, to jedyna czynność, o jakiej muszę mu stale przypominać. Więc to nie wasz pies? Trudno, pójdę dalej. Aha, pani Soniu, odciążymy trochę Stefanka, uradziłyśmy zajmować się Krystynką na zmianę. Jutro przyjdzie do Andu-li. Tak będzie chyba najlepiej, prawda? Kasia mogłaby się czasem pouczyć z Bogdanem, co? Nie chciałbyś? To

inna klasa, ale równoległa, ten sam program. Bo podobno nienadzwyczajnie ci idzie ostatnio, co?

- Sam się uczę! - powiedział prędko Bogdan, gdy brała oddech. - My mamy zupełnie inny program!

- Inny? - zdziwiła się pani Awiejska i wyglądało na to, że z przyjemnością zajmie się omawianiem sytuacji w szkolnictwie podstawowym, ale Kasia w porę pociągnęła ją za rękaw. Wyszły. Dorośli powstrzymali się od uwag, ale wyraźnie odetchnęli. Inżynier zapytał o psa, Bogdan wyjaśnił, że klubowy, do Sławka się na ulicy przyplątał, więc go hodują w piwnicy. Pobiegł po obiedzie do niego. Jarek polecił mu przysłać tu na górę Witka, nie był pewien, czy Bratek powtórzy, boczył się przecież na niego od ostatniej brater-

146

skiej wymiany zdań. Ale Witek niedługo potem przyszedł i z dużym zainteresowaniem wysłuchał propozycji.

- Klawo! Nareszcie mogę mu zrobić kawał! - ucieszył się. - Trochę mu dokuczałem codziennie w drobiazgach, ale chyba nawet nie zauważał. A to, to już jest coś! Jutro załatwię, spokojna głowa! Daj tylko zdjęcie na wzór.

- Masz! Ale to wszystko tajemnica, pamiętaj! Nikomu pary z ust. Pancernym tym bardziej. To sprawa honorowa i trzeba załatwić ją po cichu, rozumiesz?

- Jasne! Słowo! Nikt się nie dowie! Jutro masz negatyw i odbitki! Wyobrażam sobie jego minę, hi, hi!

Ale nie poszło tak gładko, jak myśleli. Witek zgłosił się do Jarka w piątek po południu z pustymi rękami.

- Nie mam pojęcia, gdzie on mógł je schować! Szukałem wszędzie, inne znalazłem, a tych nie!

- Na pewno wszędzie szukałeś?

- Tak! Nawet w tatowych materiałach, i może być draka, jeśli zauważy. Strasznie nie lubi, jak mu kto w nich grzebie.

- Kto to lubi? - mruknął zawiedziony Jarek. - Może je zabrał ze sobą?

- Do Szczyrku? Po _co? Jeszcze poszukam... On ma szczęście, wiesz? Nawet kawału mu zrobić nie można!

Znów ogarnęły Jarka wątpliwości. To prawie pewne, że Beata natknęła się na oszusta, ale... czy Zellerowie muszą wszystko wiedzieć o swym kuzynie? A może on swój zawód trzyma w tajemnicy, żeby podpatrywać życie, i ujawni się dopiero po sukcesie? Jeśli zabrał ze sobą te zdjęcia... Ktoś, komu je pokazuje, może przecież bawić chwilowo w Szczyrku, na przykład na wczasach jesiennych... Trudno, trzeba zaryzykować i sprawdzić w bardziej bezpośredni sposób, skonfrontować Beatę z nim przy świadkach! Taak... Na razie pozostaje czekanie. Może Witkowi uda się jeszcze odnaleźć zdjęcia.

Kiedyż skończą się te lekcje? W sobotę siódma B ma tylko cztery przedmioty, ale mogą człowieka zupełnie

147

wykończyć. Jarek i Beata mieli w tym dniu nieszczególne humory, choć reszta szalała na przerwach. Tak żywiołowego temperamentu nie przejawili jeszcze w szkolnych murach i pani Zalewska nie wiedziała, czemu to przypisać. Przecież nie ożywieniu wiosennemu, bo właśnie zaczęła się jesienna szaruga i według radiowych i prasowych ocen sytuacji biometeorologicznej człowiek o normalnym systemie nerwowym winien się czuć ogólnie przyklapnięty. Sama tak się czuła, z trudem więc mogła się zdobyć na energiczną interwencję w bardziej karygodnych przypadkach. Gdy szła do klasy na przedostatnią lekcję, już na zakręcie drugiego korytarza zorientowała się, że gromkie „sto lat!” właśnie z siódmej B roznosi się po gmachu. August Mocny wychylił się zza którychś drzwi i zapytał:

- Czy można pani złożyć życzenia?

- Nie, dziękuję, nie obchodzę żadnych imienin! To moi kochani siódmacy coś znowu wymyślili! - wykrzyknęła. - Co tu się dzieje?! - spytała groźnie, wpadając do klasy. Na tablicy widniała dzisiejsza data, 11 listopada, w ramce z liści i kwiatów.

Umilkli i na wszelki wypadek zaczęli się uśmiechać rozbrajająco.

- Hm... - chrząknęła Tereska. - Niektórzy wymyślili.

- Teheska! Bo ci przypomnimy, że ty też! - ostrzegł scenicznym szeptem Opalek. Tereska chrząknęła znowu i przyznała się:

- Bo obchodzimy imieniny miesiąca!

- Imieniny miesiąca? Czyje? - wychowawczyni pewnie skojarzyła to sobie z „bombą sezonu” i nie zrozumiała od razu.

- No... miesiąca! Jedenasty jedenasty.

- Oj, myślałam, że bywacie dowcipniejsi! - westchnęła pani Zalewska i otworzyła dziennik.

- Proszę pani! - zaczęła przymilnie Rysiówna. - Czy mogę o coś zapytać? Żeby potem nie przeszkadzać pani w lekcji!

148

- Pytaj, proszę.

- Tak sobie myśleliśmy... że my chyba na wycieczkę dopiero na wiosnę pojedziemy! Prawda?

- Tak - odparła krótko wychowawczyni i wciąż pisała coś w dzienniku. Stały chwyt turystyczny nie udał się, na klasę padł lekki niepokój. Klasówka już się wprowadziła, dwójka z gramatyki na godzinie poświęconej literaturze nie powinna zagrażać, no więc co znaczy ta pisanina? Może to raport o ich całodziennym zachowaniu? Na ogół pani Zalewska działa jawnie, nie robiła dotąd takich notatek! Urbańska, siedząca pod katedrą, wyciągała szyję jak mogła, z krzesła nawet wstała, ale nie potrafiła się zorientować. A wychowawczyni po prostu uzupełniała sprawozdania z lekcji z kilku dni, bo spostrzegła lukę w notatkach. Nie miała jakoś natchnienia do rozpoczęcia kolejnej rozmówki z klasą. Cóż, przy ciężkawej sytuacji biometeorologicznej zdarza się to nauczycielom.

- Szukasz czegoś? - zaskoczyła Urbańska, która właśnie stała w ławce niemal na palcach. Ktoś z tyłu zachichotał.

- Nie! - Urbańska klapnęła na krzesło w popłochu, czerwona jak burak. Pani Zalewska dopisała jeszcze dwa słowa, zamknęła dziennik i obrzuciła klasę roztargnionym spojrzeniem.

- Taaak... No, więc zaczynajmy!

Nie była to wcale męcząca lekcja, skończyła się czytaniem literackiej prasy bieżącej i z minionego tygodnia. W połowie klasa odetchnęła i przestała się przejmować notatkami pani. Tylko Muszkietierowie pozostali w niepewności, czy doszło do ciała pedagogicznego to i owo z ich dzisiejszych największych wybryków.

- Mówiłaś już może z panią Królikowską? - spytał Jarek Zosię, gdy wracali ze szkoły. Czuł się w obowiązku prowadzenia rozmowy towarzyskiej, bo idąca wraz z nimi Beata milczała ponuro. - Słyszałem, że chce cię zaangażować jako niańkę dla Marzenki.

149

- Przecież i tak się z nią bawię - zdziwiła się Zosia. - To bardzo miły dzieciak, z wyobraźnią. Kombinuje coś teraz, bo obraziła się jednak na całe podwórko, ale nie chce mi powiedzieć, co. Wydaje mi się, że państwo Królikowscy...

- Jeśli nie uda się tych zdjęć wykraść, to pójdę po prostu do niego, tak jak się umawialiśmy... - przerwała Beata zwracając się do Jarka - i zmuszę do oddania.

- Zmusisz?

- Zmuszę! - Beata powiedziała to pewnym siebie głosem Kobiety-Szpiega, załatwiającej od ręki nie jakieś błahy sprawy osobiste, lecz burzącej plany mężów stanu w skali światowej.

Zosia milczała, Jarek patrzył na Beatę z podziwem - lekko zarumieniona, z gniewnie ściągniętymi brwiami, wyglądała jeszcze łatwiej niż zwykle. Szkoda, że nie zabłyśnie na ekranie... Kto wie zresztą, wątpliwości co do zawodu kuzyna Zellerów nie przestały go nurtować.

- To tu.

Stanęli przed drzwiami Zellerów i Jarek zapukał zdecydowanie. Nikt nie otwierał, zadzwonił więc energicznie. Cisza.

- Może on jeszcze nie wrócił ze szkoły? - powiedziała Zosia. - Muzyczne podstawówki i w soboty mają więcej lekcji... Wstąp do mnie, Beata, zaczekamy.

Drzwi otworzyły się nagle i Witek zaprosił ich do środka.

- Słowo daję, myślałem, że to wujek wrócił! Musiałem trochę posprzątać! Dopiero, jak usłyszałem twój głos...

- No i...? - zapytała niecierpliwie Beata.

- Niic... - westchnął Witek tracąc zapal do rozmowy. -Wszystko przeszukałem.

- Może my znajdziemy? - Beata nie wyzbyła się jeszcze nadziei. - Gdzie nie szukałeś?

- Wszędzie szukałem! Nawet w spiżarni!

- A co jest w tym pudle? - wskazała palcem kolorowe blaszane pudełko stojące w kącie na komódce.

150

- Przybory do szycia. Mojej mamy.

Dla formalności rzucili okiem do paru szuflad, pod łóżka, za szafy i pożegnali się z Witkiem, zmartwionym bardzo, że nie udał się taki świetny kawał.

- Trudno! - westchnęła Beata. - Do poniedziałku coś wymyślę. Cześć!

- My też może wpadniemy na jakiś pomysł. Cześć! Anduła znów siedziała na schodach, tłamsząc Lofika.

Przygotowała sobie ciętą odpowiedź, ale Jarek tym razem nie zwrócił na nią uwagi.

Ktoś ma hobby, ktoś nieczyste sumienie

Wbrew przepowiedniom dyżurnego synoptyka niedziela od rana do wieczora była śliczna, słoneczna i ciepła, jak na początku jesieni. Komorowie pojechali wraz z babcią do znajomej w Bystrej, bez Jarka, którego niemal już z samochodu wyciągnęli na błonia Opałek z Wojaczkiem. Umówili się tam z kolegami z pracowni modelarskiej w MDK na ostatnie w tym roku nieoficjalne zawody. „Zwariowani modelarze”, jak określił ich Zbyszek, okazali się sympatyczni i Jarek spędził miłe przedpołudnie. Cierpliwie tłumaczyli mu budowę, zalety i wady każdego modelu, Leszek zrobił mały wykład o prądach powietrznych. Jarek kiwał głową, znał przecież te rzeczy jeszcze z okresu puszczania latawców, ale nie przerywał, bo modelarze płonęli entuzjazmem. Nie zapalili go jakoś do tego sportu, co trochę ubodło największego wśród nich fanatyka, Staszka Mo-drzyckiego, byłego piłkarza, jak się okazało w rozmowie o przesławnej aferze. Jarek nareszcie poznał całą historię z detalami i serio-komicznym komentarzem Opałka. W ogóle chłopcy porozwspominali się w drodze powrotnej, co omal nie skończyło się krwawo, byli przecież kiedyś konkurentami i wrogami. Jarek słuchał jednym uchem historii jakiegoś skradzionego szybowca, bardziej pochłaniało go przyglądanie się niedalekim górcom i bliższym drzewom w resztkach jesiennej szaty

- przy czym sam się sobie dziwił, bo dotąd lekceważył tak zwane piękno przyrody, dopiero nagła cisza, jaka zapadła po ostatnich słowach Opałka, ściągnęła jego uwagę.

- Więc to ty zniszczyłeś mój model? - upewnił się zaczerwieniony Mietek Dąbrówka stając naprzeciwko Zbyszka. Ten wyraźnie żałował, że się przyznał.

- Thudno... - mruknął. - Tak się złożyło.

- Złożyło! -zaśmiał się złowrogo Dąbrówka.-Przysłużyłeś mi się nieźle!

152

- Hany humszyk, przecież wytłumaczyłem, jak było! -zdenerwował się Opałek. - Nie zhozumiałeś, że to przypadek?

- Przypadek!

- Mnie podejrzewałeś, co? - zainteresował się Mo-drzycki. Poklepał Dąbrówkę w ramię. - Ja też o tobie wtedy źle myślałem, pociesz się.

- Kogo ja nie podejrzewałem! Zdrów ie trać ile próbując się domyśleć, kto to mógł być, ten... wandal!

- No, no, Dąbhówka, nehwowy jesteś, uważaj, zginiesz mahnie.

- Przecież to było w zeszłym roku! - krzyknął Wojaczek. - Nie musicie ciągle... - głos mu się załamał.

Umilkli i patrzyli na niego zdziwieni. Cichy Leszek zaczerwienił się

- On krzyczy! - stwierdził szeptem Opałek.

- On ma rację! - roześmiał się Modrzycki. Po nim zarechotali poważnieni. W znakomitych humorach dotarli do przystanku tramwajowego. Tym samym wozem wracały z lasu Zosia z matką.

Pani Majowa niosła ogromny bukiet różnokolorowych liści, może już ostatnich tej jesieni, Zosia dźwigała rozłożystą, dziwacznie powykręcaną suchą gałąź. Widać było, że są bardzo zadowolone z wycieczki, co niespodziewanie ucieszyło Jarka. Znowu się zdziwił w duchu i zawstydził - zamienia się w sentymentalną babę czy co? Zaczął głośno opowiadać kolegom kawały, śmiał się zaraźliwie, rozrabiał trochę. Jakiś starszy pan miał niezadowoloną minę i wymownie patrzył na konduktorę, ale ona wpięła w górną kieszonkę munduru złoty liść i życzliwie traktowała bliźnich. Jarek i tak szybko ucichł, gdy Zosia spojrzała w ich stronę. Lekko się zaczerwienił, przyklejając nos do szyby. Między dwoma ostatnimi przystankami mignął obok tramwaju samochód Raje-wskich. Na tylnym siedzeniu Sebastian opowiadał coś roześmianej Beacie. Marek prowadził. „Ciekawe, czy on wie o reżyserze” - pomyślał Jarek marszcząc brwi. Kole-

153

dzy nie dali mu pozostanawiać się nad byłym przyjacielem. Modrzycki opowiedział niezły kawał, potem trzeba było wysiadać. Modelarze bardzo się spieszyli, tylko Opalek odprowadził Jarka pod dom.

- Phawda bywa niebezpieczna nawet po latach - stwie- rdził filozoficznie. - Oni mają autentycznego modelah-skiego hyzia. Thącisz mu przypadkiem szybowiec, to gorzej niżbyś mu godzinę wymohdował. Licho wie, czy to jest dobre, taki hyż? Co? A ty masz jakie hobby? Bo nie zauważyłem.

- Nie wiem - zastanowił się Jarek. - Lubię to i owo, na przykład sporty wodne... ale hyzia chyba nie mam.

- Ja też nie. Najbardziej lubię niemęczące hozyhyki i kanapki z wędliną. Hyż to też phaca, zauważyłem. Jak talent. Co hobisz po południu? Twój wyjechali.

- Nie wiem, poczytam albo pójde na spacer. Oni wrócą na piątą. Umówiliśmy się w restauracji. Mama też chce mieć wolne od garnków.

- Jasne! Ale tehoz co będziesz jadł? - zaniepokoił się szczerze Zbyszek, czuł na punkcie żołądka. - Do piątej daleko.

- A, zostawili coś tam w lodówce.

- Bo do nas przyjechał jeden wujek. Fajny wujek, ale sthasznie dużo zjada. Obawiam się, że się dziś nie najem -Opalek podrapał się za uchem. - Kupię pączek czy co? Mam trzy złote.

- To wstąp do mnie, zjemy coś razem - zaprosił go nieopatrznie Jarek. Zbyszek nie miał siły odmówić i choć kurtuazyjnie wykręcał się od kolejnych repet, stan zawartości lodówki o godzinie szesnastej trzydzieści mógł zadowolić każdą matkę, obawiającą się braku apetytu u potomstwa.

- Ten wujek także sthasznie lubi mówić, a ja znam na pamięć wszystkie jego przygody z okhesu okupacji. Coś muszę wymyślić na zakończenie dnia -powiedziałOpalek już na progu. - Nie poszedłbyś ze mną do Wojaczka? Nie

154

widziałeś jeszcze kompletu jego modeli, a pani Wojaczko-wa zawsze na niedzielę piecze pyszną szahlotkę. Co?

- Może się przejdę - Jarek uśmiechnął się wyrozumiale.

- To ja wpadnę do ciebie o szóstej. Nie thafisz sam do Leszka. Fajne masz mieszkanie! Cześć! Może jednak wujek zmienił repertuar lub zaszło coś nieprzewidzianego w domu Opalków, bo Zbyszek nie pokazał się więcej tego dnia. Jarek zabrał się więc do lektury. Zaczął też kolejny list do Kosmohikanów, ale nie skończył - poczeka na finał przygody Beaty, list będzie ciekawszy.

Po niedzielnej wycieczce Beata miała lepszy humor, rozrabiała nawet na pauzach razem z klasą, a na zapytanie Jarka, czy ma już plan rozprawy z reżyserem, odparła niedbale:

- Nie martw się, coś się zrobi.

Zosia miała więcej obaw, milczała jednak nie chcąc psuć dobrego nastroju koleżanki. Nie zamałyły go nawet troskliwe pytania pozostałych dziewcząt o stan wyrostka robaczkowego Gwiazdy oraz o powód przeciągania się próbnych zdjęć.

- Na razie reżyser wyjechał i ewentualnie przyśle mi zaproszenie do Łodzi. A jak nie przyśle, nie będę się martwić. Może znajdą lepszą odtwórczynię tej roli - powiedziała pogodnie.

- Nie znajdą lepszej! - przypochlebiała się Joaśka. Beata uśmiechnęła się wieloznacznie i zmieniła

temat

rozmowy.

Gdy wychodzili ze szkoły po lekcjach, zapowiedziała Zosi i Jarkowi, że zamierza się martwić całą sprawą od jutra i niech na razie sprawdzą tylko, czy reżyser powrócił już ze szczyrkowskich wojaży. Pożegnała się optymistycznym „czuwaj!” i dołączyła do Agaty czekającej na skwerku w towarzystwie jeszcze dwóch innych licealistek.

- No cóż! - mruknął niezbyt jasno Jarek i zaraz zawstydził się przed Zosią swej nieco zawiedzionej miny, przy-

155

wołał więc gestem Opałka, aby to zatuszować. - Jak tam wujek? Wszystko zjadł?

- Wcale nie miał apetytu, bo on właściwie przyjechał do Bielska do szpitala, na opehację! - westchnął Zbyszek. - I nie mówił tyle, w ogóle w domu było ponuho. Mam nehwową siostrę i musiałem wymyślać dla niej jakieś ghy i zabawy pokojowe, bo już widziała wujka na mahach, a bahdzo go lubi. Ja też. Ale życie jest bhutalne.

- Gdzie Leszek? - spytała Zosia widząc, że Opałek sam ich odprowadza. - Nie pokłóciliście się chyba?

- Skąd! Z nim się nie można kłócić na sehio. Po phostu bzikuje nad nowym modelem, poleciał na nahadę do tego dhugiego nahwańca, Dąbhówki.

Przy Zbyszku nie bardzo było wygodnie wypytywać Witka o reżysera, ale on sam ukazał się w oknie parteru, gdy podchodzili, pod bramę domu. Wymienili znaczące spojrzenia, Opałek nic nie zauważył. Zatrzymali się odwołując chwilę rozstania. Jakoś przywykli do wspólnych powrotów i wzajemnego odprowadzania się, a poza tym na podwórku zawsze działo się coś ciekawego. W tej chwili brykał po wszystkich kątach zdobywczy Szarik Pancer-niaków, wyprowadzony z piwnicy po raz pierwszy w biały dzień. Jako pies z natury pogodny szybko zaprzyjaźnił się z wszystkimi dziećmi, nawet pani Pawłasowa spoglądała na niego z życzliwością.

Nagle w bramie ukazał się rosty mężczyzna z niedużą dziewczynką w czerwonym płaszczku.

- To ten! - mała wskazała palcem Sławka. Szarik wyrwał mu się i w szalonych podskokach, merdając ogonem zaczął obtańcowywać przybyłych. Mężczyzna szybko podszedł do Sławka i chwycił go za ramię.

- Co to ma znaczyć? - spytał gniewnie. - Ja ci pokażę! Ile już psów ukradłeś? Gdzie są twoi rodzice?

- Mama! - wrzasnęła Tubka wrywając się mężczyźnie. Tubowa wyjrzała przez okno.

- Co się dzieje? Zostawi pan tego chłopca czy nie?

156

- To pani syn?

- Mój. I niech pan się lepiej od niego odczepi! Co to za szarpanie?

- Ładnie go pani wychowała!

- Pilnuj pan swoich dzieci! Co on zrobił?

- Psa ukradł! Sprzed sklepu. Córka zauważyła, że to on. Niech się pani cieszy, że nie daliśmy znać na milicję!

- Co mnie pan będzie straszył milicją! Bierz pan to bydłę! I co za wymyślanie od złodziei? Pies się sam przyplątał, mój syn nie kradnie!

- Sam się przyplątał! - zaśmiał się mężczyzna. - Był przywiązany do kraty, moja pani!

- To się odwiązał! Niech pan na dragi raz sprawdza węzły! Chodź, Sławuś, do domu. A pan niech się nie awanturuje, tu jest porządna kamienica.

- Nikt się nie awanturuje. Niech się pani cieszy, że mi na odszkodowaniu nie zależy.

- Odszkodowanie? To pan niech mi zwróci za żarcie, jakie psu dawałam! Odszkodowanie, patrzcie go!

- Droga pani! Bo zażądam satysfakcji!

- Eee! - zirytowała się Tubowa. Znikła z okna. Trzasnęły drzwi.

- Niech pan wieje, ona jest lepsza od boksera wagi ciężkiej - powiedział Witek.

Tubowa weszła na podwórze, schwyciła psa za skórę na karku i wyniosła na ulicę jak szczeniaka,

choć to przecież spory wilczur.

- Poszedł! - miotnęła psem. Mała pobiegła za nim płacząc rzewnie, mężczyzna stał chwilę bez ruchu, połykając przekleństwa, wreszcie pogroził Sławkowi pięścią i ruszył za nimi.

- Niech pani spyta, czy był szczepiony! - poprosiła Kasia Tubową. - Pogryzł przecież Lofika, a Lofik gryzie czasem Andulę i...

- A dajcie mi spokój z wszystkimi psami! - krzyknęła Tubowa. Porwała Sławka za ramię, zaciągnęła do domu

157

i trzasnęła drzwiami. W chwilę potem dało się słyszeć pochlipywanie jedynaka Tubów, który oberwał lanie za zadawanie się z byle zwierzakami, a po następnej krótkiej chwili Sławek siedział już na oknie udobruchany wielkim kawałkiem ciasta. Kanarek poćwierkiwał mu nad uchem, zawieszony w klatce na gwoździu w ramie okiennej.

- Wesole to wasze podwóhko! - stwierdził Opalek na pożegnanie.

Popołudnie mijało Jarkowi w błogim, rodzinnym spokoju. Bogdan nie dokuczał mu ani nie milczał demonstracyjnie, w ogóle był dziwnie grzeczny i spokojny. Mama Sonia widocznie postawiła mu jakieś warunki lub inaczej trafiła do przekonania. W każdym razie dopilnowała, żeby starannie odrobił lekcje. Jarek czuł się więc chwilowo zwolniony z obowiązków braterskich, poprzestał na uwadze: „miliście szczęście z tym psem” i raczył wziąć udział w zabawie. Tym razem była to wyprawa mitologicznych Argonautów - Bogdan pożyczył od Witka „Mitologię” Parandowskiego - która przekształciła się w odkrywanie nowych lądów, potem w wyprawę Kolumba, wreszcie w przejażdżkę po Atlantyku papirusową łodzią „Ra”. Gdzieś na wysokości Wysp Zielonego Przylądka żeglarz Bogdan dostrzegł przez lornetkę samotnego żeglarza Leonida Teligę i wymachał chorągiewkami serdeczne słowa powitania. Gdy „Ra” i „Opty” zbliżyły się do siebie dostatecznie, żeglarz Bogdan rozłożył ramiona i wrzasnął:

- Nie, ja wracam do kraju! - i z hymnempañstowymna ustach rzucił się w słone fale, szczęśliwie docierając do dywanika koło tapczanu. „Ra”, czyli gumowy materac dmuchany, wzięła sobie na ambit i rozpoczął się wyścig.

- Górą „Opty”! Ha, tylko dzielny polski żeglarz zasługuje na tytuł najlepszego w świecie! - ryczał Bogdan, zgrabnie ślizgając się na dywaniku w stronę drzwi. Gumowa „Ra” piszczała niemile po klepkach podłogi i wyraźnie zostawała w tyle. -Ha! Oto Atlantyda! -Bogdan triumfal-

158

nie chciał uderzyć rękami w drzwi,4ale otworzyły się nagle i dzielny żeglarz klapnął nosem prosto pod nogi Zosi.

- Sądząc po huku, to nie było miękkie lądowanie! -zauważył Jarek, gdy przestali się śmiać. Bogdan rozcierał nos.

- Chciałam sprawdzić zadanie z matmy - powiedziała Zosia wyciągając spod swetra zeszyt. - Chyba się pomyliłam, w odpowiedziach jest inny wynik. Nie wiem, gdzie zrobiłam błąd.

Zajęli się zadaniem, Bratki zabawiły się tymczasem w plażę, przy czym Bogdan zepchnął Stefanka z materaca na dywanik.

- Ja leżę na plaży kamienistej, a ty na piaszczystej. Muszę mieć miętko - umotywowował. Zamknął oczy, wyciągnął się rozkosznie. Stefanek sięgnął po stojący na półeczce wazonik, odłożył kwiatki na bok i sownie skropił go wodą.

- Za bardzo się przypiekleś. Jesteś bliżej słońca na tej twojej kamienistej górze. Ja mam w dole cień - zaznaczył.

- Tfu! Co to za śmierdząca woda? Przestań, bo oberwiesz! No popatrz, mamu Soniu, poplamiał mi sweter!

- Cii, nie róbcie takiego hałasu! Przecież oni pracują.

- Już skończyliśmy - oświadczyła Zosia. - Jarek świetnie tłumaczy.

- Cieszę się - uśmiechnęła się matka.

Zosia przyglądała jej się ukradkiem jakimś skupionym i zarazem pytającym wzrokiem, co pani Koniorowa zaraz spostrzegła, lecz nie chciała przyspieszyć decyzji dziewczynki niewczesnym pytaniem. Widząc, że Zosia waha się na progu, zaprosiła ją na wspólne oglądanie „Zwierzyńca” w

telewizji. Nie omyliła się - w połowie programu dziewczynka odeszła od zapatrzonych w ekran chłopców, prosząc ją cicho o chwilę rozmowy. Jarek nic nie zauważył. Nie spostrzegł także, że obie zęgnaly się bardziej serdecznie niż zwykle i że matka była przez cały wieczór mocno nad czymś zamyślona.

O losie dobroczyńców ludzkości i wzajemnym zaufaniu

Rano Zosia z Jarkiem wpadli na progu szkoły w objęcia podekscytowanego Opałka.

- Jest nadzieja! - zawołał mrugając okiem. - Podburzam niektóhych z A i C! Piothowski też czytał.

- Ale co? Szykujecie jakąś sensację?

- E tam, żadna sensacja! Phoste uhozmaicenie. Chcemy namówić chemika na lekcję przed ekhanem telewizoha! Jest akuhat phogham dla klas ósmych, czyli phawie dla nas. Możemy się przecież pasjonować chemią i hozwijać na zapas, nie?

Kilku nauczycieli optymistycznie uwierzyło w zapał swoich klas i młodzież z ósmych A i B oraz siódmej B i C ochoczo, z wielkim szuraniem i potracaniem się zajęła krzesła w sali telewizyjnej.

Obsługą nieco rozregulowanego aparatu zajął się chemik, trzy panie usiadły rzędem przy drzwiach i zatoneły w rozmowie, niewątpliwie pedagogicznej. Klasy przemieszały się, podzieliły na zaprzyjaźnione grupki. Koledzy z siódmej C zaczęli poszturchiwać Muszkieterów, ósmacy flirtowali z koleżankami. Opałek z Wojaczkiem przysiedli się do trzeciego Aferzysty, Koniewicza z ósmej. Zabrakło krzesel, kilku chłopców usiadło na parapecie okna, powiercili się trochę i oberwali ciężką pluszową zasłonę, co dodatkowo uatrakcyjniło program. Nie dało się załatać tej dziury w zaciemnieniu, bo wypadła akurat naprzeciwko ekranu, trzeba więc było przesunąć telewizor.

- W takim razie notujemy! Jest wystarczająco jasno! - zirytował się chemik. - Sprawdzę potem zeszyty.

- Przecież nie wzięliśmy! - zaprotestowali niektórzy.

- Mamy tylko karteczki! - To pilna ósma B.

160

- Nie wszyscy! My nie mamy!

- Spokój! Co to za protesty? Siódma B ma dziś chemię w programie, na pewno przynieśliście zeszyty, proszę mi je oddać zaraz po audycji! Bez gadania!

Siódma B wpadła w popłoch. Tylko Hania Rudecka i jeszcze kilka pilniejszych dziewczyn wzięło zeszyty Ambitni podzieliili się jakimś notesem, Orłowicz szybko uśmiechnął się uwodzicielsko do najbliższej zaopatrzonej w zeszyt koleżanki i wymrugął kartkę. Inni poszli za jego przykładem, tylko dla Muszkieterów nie starczyło papieru. Zaczęli wiercić się niespokojnie i rozglądać po sali. Heniek wypatrzył kartkę wystającą z kieszeni marynarki jednego z ósmaków, podkradł się, szarpnął i dostał po łapach. Właściciel kartki prał go przez chwilę po głowie dla nauczki, a koledzy zasłaniali ich przed niepowołanym okiem. Heniek ugryzł któregoś w udo, ten kwiknął, zach wiał się i runął na podłogę wraz z kolegami i ławką, a Heniek skorzystał z zamieszania i przemknął się na czworakach pod przeciwległą ścianę. Chemik spiorunował wzrokiem gramolących się z podłogi ósmaków, wychowawczyni zanotowała ich nazwiska i audycja telewizyjna potoczyła się dalej bez większych wstrząsów. Siódma B miała cichą nadzieję, że chemik zapomni o zeszytach, ale nie udało się - stanął przy drzwiach i odbierał notatki.

- Gdzie nazwisko?! - grzmiał. - Dopisz tu, w rogu... Co to za porządki? Zeszytów nie chce im się dźwigać! Wyciągnę konsekwencje!

Heniek wmieszał się w szeregi siódmej C, ale reszta Muszkieterów wpadła fatalnie.

- Hany humszytk! Jaki ten ludzki los jest niepewny! - westchnął Opałek do Jarka. - Zanosilo się na przyzwoitą hozhywkę, a tu masz! Gdybym wiedział, tobym siedział cicho! Tehaz ludzie będą mieć do mnie phetensje!

Nikt nie czepiał się Opałka, zapomnieli, że to on poddał myśl o uatrakcyjnieniu lekcji, ale odetchnął dopiero po ostatnim dzwonku:

11 - Klub Kosmohikanów

161

- Dobhoczyńcy ludzkości mają niehaz ciężkie życie -podsumował zęgnając się z Jarkiem i Zosią. - Ty, Zośka, uważaj! Thafisz kiedyś na bliźniego, któhy cię z wdzięczności do khyminału wsadzi!

- Może nie będzie tak źle - śmiała się Zosia. - Ludzie wcale nie są...
...tacy dobrzy! - wpadła jej w słowo Beata, jakaś poważniejsza od paru dni. - Wiem coś o tym.
Globuska zatrzymała Jarka po lekcjach, wracał więc sam, pograżony w pedagogicznych rozmyślaniach. Geo-grafka, wychowawczyni Bogdana, prosiła go o pomoc w kontrolowaniu nauki i poczynić Bratka, sprawa była więc poważna. Co zrobić? Czuł się słaby i bezradny - cóż z tego, że ma dobre chęci, kiedy nie wie, jak je zrealizować? Poddać się i poprosić Zosię o pomoc? Znowu ta Zosia!

Zastał ją przyjaźnie gawędzącą z matką. Trochę zmieszała się na widok chłopca i chciała zaraz pędzić do domu, ale matka chwilę jeszcze porozmawiała z nią na ogólnoży-ciove tematy, wciągając do pogawędki Jarka. Pomagali jej w przygotowaniach do obiadu i w pewnym momencie równocześnie zatrzymali się koło okna. Na podwórku Marzenka, stojąca na kilku ceglach jak na podwyższeniu, opowiadała coś z zapałem zasluchanym malcom. Stefanek z Krystynką też kręcili się w pobliżu tej grupki, więc gdy przyszedł czas na obiad, matka zapytała najmłodszego z uśmiechem:

- Widzę, że Marzenka znowu czuje się z wami dobrze. O czym tak interesująco opowiadała?
- Same ciekawe rzeczy - Stefanek wykręcał się od konkretnej odpowiedzi. - Ale my najpierw sprawdzimy, czy niektóre prawdziwe... Bez dokuczania.
- To ładnie... A więc do jutra! - matka pożegnała się z Zosią. - Wszystko musi się dobrze skończyć!
- Oby! - westchnęła dziewczynka, ale uśmiechnęła się wychodząc.

Jarek znowu nie zwrócił uwagi na ton ich pożegnania,

162

układał sobie plan popołudnia. Wróblica zapowiedziała dziś klasówkę z całości przerobionego materiału jeszcze w tym tygodniu lub w przyszły poniedziałek, musi więc zrobić powtórkę. Nie ma co prawda kłopotów z matematyką, ale pewne luki w opanowaniu materiału wymagają załatania. Poza tym trzeba podjąć jakieś decyzje w sprawie Bogdana! O reżyserze Beata sama myśli, jak znów trochę nieuprzejmie zaznaczyła dziś w szkole, ma więc czas dla Bratków. Z rozpedu zainteresował się także lekcjami Stefanka.

- Ja się zawsze staram! - obraził się nieco najmłodszy. - Muszę dawać przykład Krystynce...
Chociaż ona chyba woli się uczyć z Andulą, wiesz? One się przy nauce bawią lalkami i misiami i plotkują. Kompletne baby! Dlaczego kobiety nie potrafią pracować poważnie naukowo? Powiedz?
- Taką już mają widać naturę.
- Chyba. Wiesz, a Marzenka...
- Przestańcie gadać! Nie widzicie, że się uczę? - burknął Bogdan rozpanoszony na połowie stołu. Przypomniawszy słowa ojca: - Na rozmowy i rozrywkę jest czas po kolacji!
- Co? Co za ewolucja! - zażartował niezłośliwie Jarek. - Przepraszamy... Bardzo was w klasie mordują? - spytał uprzejmie.
- Średnio, tylko że teraz pora na klasówki!
- U nas to samo.
- To się ucz i siedź cicho!
- Chciałem tylko spytać, czy nie trzeba ci w czym pomóc - Jarek nie zrażał się tak łatwo, skoro postanowił działać.
- Na razie nie! - nie była to zbyt uprzejma odpowiedź, ale dobre i to na początek poprawy wzajemnych stosunków.

Tajemnica wzorowego zachowania starszego Bratka wyjaśniła się zaraz po powrocie inżyniera z pracy. Dowiedział się od kogoś, że z nieszczęsnym Szarikiem sprawa nie

163

była taka znów jasna, skrzyczał synów, a potem wezwał Bogdana na osobną rozmowę do stołowego. Stefanka zostawił mamie Soni. Nie miała z nim kłopotu, bo malec mocno przeżył zbrukanie czystej idei Pancernych niecnym postępkami Sławka i opłakał rzecz sowicie. Bogdan wrócił do pokoju chłopców z miną skrzywdzonego przez tatę niewinnego baranka, ale można było łatwo się zorientować, że i to tylko poza. Jarek, który akurat dziś miał natchnienie pedagogiczne, oszczędził go uznając, że dosyć oberwał. Poprzestał na ignorowaniu zaprosin do wspólnej zabawy,

zresztą Bratki były jakieś niemrawe i spędziły popołudnie grzecznie nad książkami.

Nazajutrz Stefanek powitał wracającego Jarka radosnym uśmiechem.

- Popatrz! - podsunął mu pod nos nieduży kwadracik zielonkawej welenki z wyhaftowanym na niej brązowym psem. - To będzie nasza odznaka! Na żywego nie zasługujemy... - westchnął. - Zosia narysowała, mama Sonia zrobiła resztę! Fajny, nie?

- Fajny! Co on ma na łbie?

- To początek hełmu pancernych, tylko mama Sonia jeszcze nie zdążyła dorobić. Dałem jej różne ilustracje wojskowe, niech się podszkoli, bo nie miała pojęcia.

- Hm... widać. A co to za pies?

- Nie poznałeś?! To przecież Huckelberry.

- Rzeczywiście...

- Każdy dostanie taką odznakę! Ta jest moja. Bo mnie wreszcie przyjęli, wiesz?

- Bez próby?

- Bez... bo coś im próby nie wychodzą. Ale się wykażę. Będzie akcja. Taka z telewizji. Bo my się chyba zgłosimy w sztabie, wiesz? Przyjmą nas z takim wełnianym Szari-kiem? Co? Przyjmą?

- Nie wiem. Musicie najpierw napisać i spytać.

- Wszystko? Dlaczego haftowany?

- No, chyba.

164

- Ee, lepiej nie...

- Musicie się narodzić. Sztab powinien znać prawdę.

- A jak się nie zgodzą, to już niech będzie kanarek! -westchnął Stefanek. - Pomożesz nam ułożyć list? Taki dyplomatyczny. Bo ty masz pomysły.

- Zobaczymy, zobaczymy. Sami musicie to zrobić. Dopiero jak nie dacie rady, to się włączę - rzekł łaskawie Jarosław Pedagog.

Skomponowali ten list całkiem zgrabnie, Jarek poprawił jedynie dwa ortograficzne błędy.

Zaadresowali kopertę „Do Sztabu Południowego Klubu Pancernych TV w Katowicach" i szeregiem udali się do najbliższej skrzynki pocztowej, już od momentu wrzucenia listu niecierpliwie oczekując odpowiedzi. Na wszelki wypadek przyzwyczajali się powoli do Sławkowego kanarka, portrety psa Huckelberry w hełmofonie trzymając na razie w kieszeniach.

Kiedy wrócili, matka dla uczczenia ważnego momentu klubowego życia poczęstowała wszystkich sokiem wiśniowym i kruchymi ciasteczkami. Pozartowała chwilę z nimi, ale co jakiś czas zerkała dyskretnie na zegarek, oczekując czegoś lub kogoś. To wreszcie Jarek zauważył.

- Spodziewasz się gości? - spytał.

- Tak... Już powinni przyjść. Witku, czy twoi rodzice są teraz w domu sami, czy z wujkiem?

- Poszli gdzieś z wizytą. A wujka chyba jeszcze nie ma.

- Ach tak? - wyglądała na zmartwioną. - A jutro będą o tej porze w domu?

- Chyba będą.

- Czy wujek jada z wami obiady?

- Jada.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Matka sama poszła otworzyć i chwilę szeptała z kimś w przedpokoju, potem wróciła, zapytała Witka, o której zwykle mama podaje obiad, trzasnęły drzwi.

Zaintrygowany Jarek ruszył się

165

wreszcie z wygodnego fotela i w drzwiach kuchni wpadł na Zosię.

- Właśnie chcemy ci wszystko wyjaśnić -powiedziała matka. - Siadajcie tu na stołkach, mamy chwilę spokoju... Oho! Guzik!

Znowu ktoś przyszedł.

- Pani Soniu kochana, wpadłam pożyczyć trochę cukru...

No, pani Awiejska na pewno nie wyjdzie po pięciu minutach! Matka wymieniła z Zosią wymowne spojrzenia i Zosia zaproponowała Jarkowi spacer do Groty.

- Cóż to za tajemnice? - spytał zaraz za drzwiami.

- Może za chwilę ci powiem... - szepnęła Zosia wskazując głową bawiące się na schodach Andulę i Krystynkę. Doszli do Groty z zachowaniem wszelkich ostrożności.

- Była ze mną Beata, ale spieszyła się do domu, więc ja sama muszę się tłumaczyć...

Porozmawiałam w poniedziałek z twoją mamą o tej całej sprawie, bałam się, że Beata zrobi jakieś głupstwo, a to jednak całkiem dorosła historia. Twoja mama przyznała mi rację i obiecała pomóc. I właśnie wybiera się z Beatą do tego reżysera po zdjęcia... żeby był dorosły świadek... Żeby on widział, że ktoś jest dobrze poinformowany o jego sprawkach... - trochę się zaplątała. - Rozumiesz?

- Tak, ale jak...

- Więc mama chce wybrać porę obiadową, żeby byli też przy tej rozmowie rodzice Witka - przerwała Zosia i tłumaczyła dalej jednym tchem: - Beata nie oskarży go wyraźnie, poprosi tylko o zwrot zdjęć, Zellerowie może się wcale nie zorientują, ale tu nie chodzi o nich, tylko o reżysera, postawi się go w głupiej sytuacji, rozumiesz? Taki łagodny szantaż, bo sprawa jest delikatna. Twoja mama pomoże Beacie przeprowadzić tę rozmowę, będzie czuwać... Twoja mama jest naprawdę wspaniała! - zakończyła z zachwytem.

166

- Jutro? - spytał po krótkiej chwili Jarosław Zaskoczony.

- Jutro...

- Hm... Potrzymamy za nie kciuki. Dlaczego zrobiliście z tego tajemnicę?

- Nikt specjalnie nie robił tajemnicy przed tobą, tak jakoś wyszło... Myślałam, że może będziesz protestował, bo ty pierwszy zająłeś się reżyserem, i nie będziesz chciał zwierzać się nikomu dorosłemu... A jednak trzeba było.

- Tak. Rzeczywiście - przypomniał sobie gorzkie słowa Bola i dodał męskim tonem: - Tylko nie trzeba z nim zbyt łagodnie, rozumiesz? Musi wiedzieć, że w razie czego da się znać milicji.

- Twoja mama zasugeruje mu to.

- Cóż... więc do jutra!

- Cześć.

W drodze przez podwórko rozpatrzył jeszcze raz ten plan z różnych stron i musiał przyznać, że był chyba najlepszym z możliwych. Oni z Bólem nie wymyśliliby takiego... przynajmniej nie tak szybko. Przy okazji pobytu w „Cichym Kąciku” - przypadkowego, oczywiście - opowie mu, jak się skończyła przygoda z reżyserem! Stop... jeszcze się nie skończyła, licho nie śpi.

- Tyle nieprzewidzianych przeszkód może jutro wypłynąć, nie cieszymy się przedwcześnie! - powiedziała matka, gdy udało mu się porozmawiać z nią przed snem.

- Właśnie! Z dorosłymi nigdy nic nie wiadomo! - mruknął wymownie. - Nawet najlepsi z nich nie mają na przykład zaufania do swych dorastających synów...

- Nie uważasz, że można to samo powiedzieć o dorastających synach?

Spojrzeni na siebie z przyjacielskim zrozumieniem.

.

Nerwy i szkolna rzeczywistość

Jeszcze żaden czwartek w szkolenie włókł się tak przeraźliwie wolno dla trójki wtajemniczonych. Od momentu rozpoczęcia każdej kolejnej lekcji czekali niecierpliwie na jej koniec, nie zwracając uwagi, co się wokół nich dzieje. Podczas pauzy Beata porywała Zosię i zniknęły gdzieś umiejętnie, Jarek też izolował się od towarzystwa tolerując przy sobie jedynie Opałka z Wojaczkim, którzy wyczuwali niejasno, że coś gnębi Marcinowskiego, i nie męczyli go rozmowami. Snuli się we trójkę po zakątkach szkoły, jak najdalej od terytorium opanowanego przez siódmą B, ze trzy razy zajrzeli do kącika koło piwnicy. Gdy zatrzymali się tam po raz chyba czwarty i po nabraniu oddechu zamierzali zawrócić, jak spod ziemi wyrósł przed nimi samorząd siódmej B w komplecie, wzmocniony liczebnie przez grupkę koleżanek i kolegów. Tereska chciała zabrać głos, ale wyręczył ją Bartecki:

- Uprzejmie was zapraszamy... a raczej: zapytujemy was uprzejmie, czy raczycie się przyłączyć do nas w momencie, może dla was nieważnym, nieistotnym, nieciekawym, jakim jest chwila wspólnego zastanowienia się nad sposobem umilenia życia belfrom w Dniu Nauczyciela? Nie zabierzemy wam zbyt wiele cennego czasu, przeznaczonego zapewne na snucie górnych myśli o

życiu, wszystko już zostało omówione, nie raczyliście jakoś tego zauważyć, chcemy tylko wysłuchać waszych ewentualnych błyskotliwych propozycji, aby uzupełnić koncepcję ogólną... Macie coś do powiedzenia? - zakończył sucho.

- Mają, ale głupie miny! - prychnęła Tereska. - Nie widzisz, że pierwszy raz słyszą o Dniu Nauczyciela? Moglibyście się czasem zainteresować życiem klasy!

- Aferzyści mają praktykę w wykręcaniu się od obowiązków, Marcinowski dopiero nam się ukazuje w pełnym

168

blasku - ciągnął Bartecki złośliwym tonem. - Jest okazja...

- Bahtecki, nie hób się taki ważny! Nie nadużywaj stanowiska, to niezdhowo.

- To wy naduzywacie naszej cierpliwości!

- W tej chwili nadużywa się tutaj słów - powiedział spokojnie Jarek marszcząc lekko brwi. - Po co tyle gadania? Zdarzyło się, że zapomnieliśmy o kalendarzu, ale przecież nikt się nie wykręca!

- Coście wymyślili? Kiedy to wypada?

- W poniedziałek! My już od tygodnia...

- Hany humszyk! Whóblica gotowa nie odwołać klasówki! Będzie jakaś akademia ogólna w auli? Na której lekcji? - Opalek był wyraźnie zaniepokojony.

- Już po matmie - zgasił go Bartecki. - I wcale niewykluczone, że klasówka odbędzie się W sobotę.

- Fakt! Jak Whóblicę Kocham!

- I właśnie w związku z tym postanowiliśmy solidnie się do tej klasówki przygotować - powiedziała Hania Rudecka. - Od tygodnia co najmniej powtarzamy i chcieliśmy zapytać, czy wy też? Bo była już o tym mowa.

- O klasówce była, ale nie o tym, że wszyscy muszą być obkuci na sto procent!

- O tym też mówiliśmy, tylko wam się nie chciało słuchać.

- Ale teraz już wiecie. Opalek, może by powtórzyć z tobą to i owo? - zaproponowała solidna Hania.

- O, dziękuję za sehcę! To już wolę z Mahcinowskim... ale za hezultat nie hęcę!

- Jarek, pouczysz się z nim? Z nimi? - poprawił się Bartecki wskazując bladego Wojaczka. - Bo inne kółka już pełne.

- Jasne, nie ma o czym tyle gadać.

- No, to jedno z głowy - odfajkowała Tereska. - A teraz o stronie artystycznej... Jarek, czy ty umiesz deklamować?

- Nie, nawet w chórze. Poza tym nie śpiewam.

- Nie żartuj, tu są poważne problemy!

169

Rozgorzał spór o szczegóły, najwięcej i najszybciej gadały dziewczęta, każda chciała przeforsować swój pomysł. Okazało się, że wcale nie są tak świetnie zorganizowani, jak sugerowali w ostrej mowie do opieszalców. Duża pauza skończyła się, kilku punktów programu nie zdążyło się omówić.

- Trudno, zostajemy na kwadrans po lekcjach! - zadecydowała Tereska. - Nie możemy być gorsi od innych!

- Ja muszę być wcześniej w domu - oświadczył Jarek. - Wyjątkowo dzisiaj. Beata i Zosia także.

- O, znów się wyłamują! Wyłamywacze! - pisnęła Joaska.

- Cóż to, ekipa filmowa się zwiększyła? - zdziwiła się złośliwie Rysiówna.

- A może? - Jarek zasiał intrygę.

- Wszyscy zostają!

- Ale po kwadransie ja wychodzę - zaznaczył Jarek.

- Zdążymy się dogadać!

Nie zdążyli, ale rozeszli się do domów odkładając zebranie do jutra. Jarek umówił się z Leszkiem i Zbyszkiem u siebie tak mniej więcej godzinę po obiedzie i ostrym klusem ruszył na Kamienną. Dziewczęta wyprzedziły go o dobre sto metrów. Dogał je na klatce schodowej.

Sapali chwilę pod drzwiami, wzbudzając zainteresowanie czujnej Anduli. Kaśka też wyjrzała przez szparę, Jarek posłał pannom Awiejskim złowrogie spojrzenie i nacisnął dzwonek. Otworzyła im

pani Leokadia.

- Matka jeszcze nie wróciła z rozmowy z kimś tam na temat pracy - powiedziała, a im wydłużyły się miny. -Telefonowała przed chwilą, żebyście zaczekali... A jak się bardzo spóźni, to jutro. Co jutro? O niczym nie wiem, jak zwykle.

- Załatwiamy pewną sprawę, nie wiadomo tylko, czy się uda - Jarek zaczął się wykręcać.

Babcia westchnęła z rezygnacją: „przywykłam do tego, przywykłam" i poszła do swojego pokoju. Bratków nie

170

było, cisza w mieszkaniu zaczęła denerwować ich jeszcze bardziej. Milczeli nie patrząc na siebie. Nareszcie! Zgrzyt klucza w zamku poderwał ich na nogi.

- Już idziemy, przyczeseś się tylko! -matka zakręciła się błyskawicznie po mieszkaniu. - Co prawda mamy jeszcze trochę czasu, Witek mówił, że siadają do stołu o trzeciej... Może napijecie się wody z sokiem?

- Bardzo chętnie - Beata powiedziała to nieco zachrypniętym głosem, usiłowała się jednak uśmiechać. Zosia już zaczęła zaciskać kciuki.

- Obiad będzie dziś trochę spóźniony... -matka zajrzała do lodówki. - Przynajmniej dla nas...

- Malcy już jedli! - zawołała ze swego pokoju babcia. -Podgrzałam to, co zostawiłaś.

- Dziękuję! A gdzie są?

- U Sławka, na zebraniu tych... husarzy. Nie, pancernych.

- Proszę, pijcie. Mam jakieś ciasteczka - matka starała się dodać otuchy Beacie spojrzeniami i uśmiechem. Sama była też porządnie zdenerwowana. Dla odwrócenia myśli od czekającej je wizyty zaczęła opowiadać swoje dzisiejsze perypetie, zakończone jak najbardziej pomyślnie. - Nie bardzo wierzyłam uszom, gdy dyrektor oznajmił, że oczekuje widoku mej osoby za orbisowskim biurkiem od dnia pierwszego lutego!

- Świetnie! - ucieszył się Jarek. - Masz taką pracę, jaką chciałaś.

- Tak, udało się... Dzwonek. Weszły Bratki.

- Koniec zebrania?

- Tak, Witek poszedł na obiad - odparł Bogdan. Wymienili spojrzenia. Beata szybko wytarła dłonie chusteczką. Matka jeszcze raz dodała jej otuchy uśmiechem, zerknęła w lustro w przedpokoju i wyszły.

Nie chcieli im się ruszać z kuchni, siedzieli po obu

171

końcach stołu nie odzywając się do siebie. Jarek udawał, że czyta znaleziony na kredensie stary numer „Kroniki Beskidzkiej", Zosia patrzyła w okno, mocno zaciskając kciuki. Czas znowu włókł się niemilosiernie. Zaintrygowane Bratki zaczęły harcować po przedpokoju, aby rzucać okiem przez drzwi na dziwną parę. Bogdan z miną znającego życie mrugał znacząco do najmłodszego, ten był mocno zażenowany, ale dotrzymywał bratu towarzysztwa w zabawie. Dopiero jękliwa prośba pani Leokadii o trochę wytchnienia i spokoju zagnała ich do odrabiania lekcji.

Gdyby nie obawa natknięcia się na wszędobylską An-dulę, Jarek chętnie wyszedłby na schody, tak się niecierpliwił. Poza tym wypadało wykazać się przy Zosi opanowaniem, zaczął więc komentować przeczytane artykuły. Zosia uprzejmie udawała, że słucha.

- Co tak długo? - westchnęła w pewnym momencie. -Obawiam się jakiejś awantury...

- Wracają! - poderwał się Jarek.

Ale to był inżynier. Uważnie i życzliwie przyjrzał się dziwnym minom Jarka i Zosi, spytał, gdzie mama, i poszedł do stołowego poczytać gazetę. Dopiero w pięć minut po nim wróciły bohaterki dnia. Zarumieniona i uśmiechnięta twarz Beaty wieściła zwycięstwo. Matka też się uśmiechała, ale nie tak radośnie - była to jednak przykra przeprawa.

- Są! Negatywy też - Beata machnęła trzymaną w rękę kopertą. - Miałam nosa, trzymał je w tym rzekomym pudełku do szycia na komodzie. Nie miał innego wyjścia, musiał oddać! Pani jest wspaniała! -przytuliła się do pani Komorowej zakrywając twarz włosami.

- No, no, w porządku! -. matka Jarka poklepała ją po plecach. - Chciałabym was czymś poczęstować - zakrzętała się - z okazji naszego wspólnego małego sukcesu, ale najpierw trzeba

dać coś solidniejszego mężczyznom... Na was pewnie też czekają z obiadem, może wpadniecie tu wieczorem?

172

- To ja panią... i was też, oczywiście, zapraszam na ciastka! - zawołała Beata. - W „Cichym Kąciku” są całkiem niezłe!

- Beatko, nie...

Zadzwoił dzwonek, Bogdan wpuścił Opalka i Wojaczka.

- Zupełnie zapomniałem o tej powtórcie! - Jarek stuknął się w czoło. - Mamo, dzisiaj i jutro mamy wieczory z głowy, trzeba popracować!

- Tak, tak, życie jest bhutalne! Dzień dobhy! - Zbyszek z gracją uklonił się pani Koniorowej. - Ale wszystko ma swój khes, wierzę.

- Chyba odłożymy słodki wypad do niedzieli? - matka przymrużyła oko uśmiechając się do Beaty. Dziewczynka skinęła głową.

- Tak będzie najlepiej! Jeszcze raz bardzo dziękuję! Lecę już, do widzenia!

- Beata, zdjęcia!

- Aha! Dziękuję!

- A ty nie robisz powtórki?

- Fakt! Powinam... Zosiu, czy mogę przyjść do ciebie?

- Oczywiście... Do widzenia pani! Cześć, chłopaki!

- Cześć pracy!

- Czy dzisiaj w ogóle nie będzie obiadu? - spytał nieśmiało inżynier zaglądając do kuchni.

Znów samo życie

Jarek skończył jako jeden z pierwszych (zdążył jeszcze sporządzić małą ściągaczkę dla Opalka, którą zgrabnie podrzucił przy odnoszeniu zeszytu) i wyszedł na korytarz tuż za Barteckim.

Zatrzymali się we wnęce okiennej naprzeciwko drzwi klasy, porównując wyniki zadań. Hania Rudecka, jadąca na piątkach ze wszystkich przedmiotów, denerwowała się za swych podopiecznych z kółka. Nie uznawała instytucji ściągania, Jarek nie przyznał się więc do swego postępu wynikającego z braku zaufania do pamięci Zbyszka i Leszka oraz ich opanowania nerwów i zdolności kojarzenia faktów matematycznych w momentach szczególnego zagrożenia. Ale Opalek pojawił się na korytarzu bardzo z siebie zadowolony.

- Hany humszyk, w życiu tak mi mózg nie trząsał phacowicie! Jestem zmohdowany! Zmizehniałem, co? chyba widać... Haz tylko zajrzałem... - tu zauważył Jarko-wy ruch głową w stronę Hani - ...do skahbnicy mej pamięci i pohównałem wynik! Thochę się nie zgadzał, więc sphawdziłem zadanie jeszcze haz i wyszło! Uff! Coś bym zjadł, sthaciłem dużo kalohii.

Leszek miał smutniejszą minę, nie umiał skorzystać ze ściągaczki.

- Chyba w ostatnim zadaniu pomyliłem się w ułamkach... A drugiego w ogóle nie skończyłem...

- Za to pierwsze i trzecie masz dobre - pocieszyła go Zosia. - Wcale nie były najłatwiejsze.

- Whóbrica jest solidna, zahaz dzisiaj zacznij je popha-wiać i tu ogahnie ją zdumienie! - Opalek zatarł ręce. -W poniedziałek będzie hozczulona, mówię wam!

- Przewidzieliśmy to przecież - mruknął Bartecki. -Nie miej takiej miny, jakbyś to sam wymyślił.

174

- Ale z ciebie ponuhy człowiek! Daj się ucieszyć zwykłym śmiehtelnikom, bo sthacisz populahność!

- Pamiętajcie o reszcie programu! - zaszeptała konspiracyjnie Tereska, choć oprócz nich na korytarzu nie było nikogo. Przerwa się jeszcze nie zaczęła. -Beata, przygotowałaś się? Masz nam opowiedzieć ciekawe rzeczy o szkole we Francji!

- Mam czas przez niedzielę, najlepiej, żeby to wyszło spontanicznie.

- Jak?-nie zrozumiała Joaska.

- No, naturalnie. Nie wyreżyserowane.

- Przecież ty chyba lubisz reżyserowane występy? -Rysiówna nie mogła powstrzymać się od złościwości. Ku-szecka biedziła się jeszcze nad zadaniami, nikt się więc nie uśmiechnął. Beata

wzruszyła ramionami.

Świąteczny nastrój ogarnął uczniów i nauczycieli już na dużej pauzie i ostatnie lekcje tego dnia przeleciały szybko, w miłej atmosferze. Dzieci kłaniały się na do widzenia nieco uprzejmiej niż zwykle, nauczyciele uśmiechali się bardziej pobłaźliwie. Nawet woźny Fijołeczek miał lepszy humor.

Beata odprowadziła Zosię i Jarka, umówili się na jutro w „Cichym Kąciku”.

Przed domem zastali karetkę pogotowia i grupkę dzieciaków.

- Pan Tuba jedzie do szpitala! - poinformował ich przejęty Jędrus Ziębicki. - Bo mu się w grypie powił... powikłało... no, poplątało!

- Pewnie w płucach - dodała dorosłym tonem Krystyn-ka. - Jak Wojtusiowi w zeszłym roku.

Pielęgniarka i Tubowa wyprowadzili chorego, przy czym pielęgniarka udawał tylko, że dźwiga jedną rękę Tuby, bo żona znała swe obowiązki.

- Co za zbiegowisko? - mruknęła groźnie do dzieciaków.

175

Rozstąpiły się z przejętymi minami, a Zosia uśmiechnęła się do pana Tuby:

- Niech pan szybko wraca do zdrowia i do nas!

- Dziękuję! - wychrypiął zza szalika, obdarzając ją pocziwym spojrzeniem niebieskich oczu i było to pierwsze słowo, jakie Jarek usłyszał jego ust po trzech miesiącach znajomości.

- No, no, szanuj gardło! - mruknęła znowu Tubowa i jednym ruchem usadziła go na ławce-łóżku w karetce. A teraz się połóż... To co, że blisko?

Trzasnęły drzwiczki, głowa Tubowej w okienku kiwnęła się dwa razy i pojechali. Sławek udawał, że wcale nie chce mu się machać ręką, o popłakiwaniu nie mówiąc, ale zamrugał oczami, gdy przechodząca akurat pani Zellerowa położyła mu dłoń na ramieniu.

- Mamo! - zawołał dc niej z okna Witek wychylając się daleko za parapet. - Wujka rzeczy już nie ma! Wziął i pojechał! Żadnej kartki nie zostawił!

- Cicho, nie krzycz tak, w domu porozmawiamy - uspokoiła go łagodnie matka nie okazując, czy martwi ją ta wieść, czy cieszy.

Jarek mrugnął do Zosi porozumiewawczo. Anduła spostrzegła to, na pewno zaraz opowie siostrze, że z Jarkiem i Zosią „coś jest” - nie byłaby Andułą.

Zadowolony z życia Jarek znowu był łaskawy dla Bratków, pobawił się z nimi i z Witkiem na podwórzu, razem ich matka musiała zapędzać do odrabiania lekcji. Bogdan nie nadymał się, jego grzeczniutka mina irytowała trochę Jarka. Podejrzewał, że coś knuje, ale nie chciał go na razie drażnić pytaniami. Wieczorem wpadła do Bogdana Kasia Awiejska pod pozorem wymiany poglądów na program klasy piątej, ale gdy tylko Jarek na chwilę wyszedł z pokoju, rozszepiała się z plotkarską miną.

- Chciała wywąchać, co klasa Bogdana szykuje na Dzień Nauczyciela... i mówiła też o tobie i Zosi - powiedział potem Stefanek.

176

- Nie podsłuchuj! Marnujesz pancerne ucho.

- Tak tylko mówię, żebyś wiedział. Bo Kaśka lubi robić na złość.

- Wiem już o tym, pilnuj swoich spraw. Jak tam Sztab? Dostaliście odpowiedź?

- Nie. Oni tak nie odpisują. Trzeba poczekać do następnej audycji. Ale to są nasze sprawy! - odciął się Stefanek.

Jarek zwichrzył mu ręką włosy, trochę się do kolacji przyjacielsko poszturchali, a potem zaczął kolejny list do Kosmohikanów. Streścił w nim krótko historię Beaty i „reżysera”, poplotkował o szkole. Ten list na pewno Gośkę zainteresuje.

Zakończenie dopisał dopiero w niedzielę, po powrocie z „Cichego Kącika”. Zastali tam Łysego Bola, który na ich widok wbił się w najdalszy kąt sali, ale Beata i tak go zauważyła, gdyż Jarek dosyć nieostrożnie przesłał postrachowi dzielniczy porozumiewawczy znak, że wszystko w porządku. Dziewczęta mają intuicję, zaczęła więc coś podejrzewać, zaczęła jednak z pytaniami do następnego dnia, bo nie chciała męczyć Jarka przy matce i Zosi. Podejrzenia pogłębiła w niej uwaga pani Koniorowej:

- Zastanawiam się, skąd znam tego złotowłosego cherubina? Ach, tak, kręcił się codziennie koło naszego domu, ale ostatnio przestał. Znasz go, Jarku?

- Z widzenia... - zmieszał się, co Beata starannie zanotowała w pamięci. Bolo szybko wyszedł nie patrząc w stronę ich stolika i wydało jej się, że specjalnie starał się nie patrzeć.

W szkole nazajutrz nie było czasu na prywatne pogawędki. Od rana coś się działo, na lekcjach i na pauzach, klasy licealne rzuciły hasło: „Dziś my pracujemy, Oni odpoczywają!” - było więc strasznie miłe zamieszanie. Nauczyciele zeszli z katedr, przysiadali się do pierwszych lub ostatnich ławek, a uczniowie sami prowadzili lekcje, odpytując kolegów i wywołując dyskusje na bardziej lub

YI - Klub Kosmohikanów

177

mniej naukowe tematy, życiowych też nie brakło. Oficjalna akademia też udała się znakomicie, okraszona występami powstałego w tym roku kabareczku starszych licealistów, którzy jeszcze przed lekcjami wręczyli ciału pedagogicznemu różowe okulary z tektury i bibułki, co nadało ton wszystkim przyjemnościom dnia.

Oj, ludzie, ludzie...

- Jarek, nie wykręcisz się tak łatwo! Jeszcze mnie nie znasz!

- Kiedy obiecałem mu, że nie powiem!

- Ale mnie też obiecałeś, nie pamiętasz? Nie wiedziałam, że jesteś taki... niepoważny! - zrobiła obrażoną minę. - Bo się pogniewam naprawdę.

- Beata, przecież i tak wszystko potoczyło się inaczej! Tamten plan był trochę nieprzemyślany.

- Łysy Bolo? - zaryzykowała.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zawahał się lekko, zaraz to zauważyła i już była pewna swego.

-<- Nie wykręcaj się, ja wiem, że to Bolo!

- Kto ci powiedział?

- Nikt, mam nosa i umiem patrzeć na ludzi, wiesz? - roześmiała się stukając palcem w nos. - Nie rozumiem, po co ta konspiracja? Przypominam sobie, że on rzeczywiście deptał nam po piętach! Takiej głowy w lokach nie da się zamaskować. Mogłeś mi powiedzieć od razu, że go zaangażowałeś do obserwacji, przecież rano jesteś w szkole...

- To nie ja go zaangażowałem... raczej on... - Jarek trochę plątał się w zeznaniach. - Przejrzał „reżysera”, a że nie znał ciebie, więc mi powiedział o tym, żebym cię ostrzegł...

- Ach tak? - mruknęła Beata. Zamyśliła się i dała Jarkowi spokój. Nie mówiła więcej o Bólu, zdawał się nie interesować jej wcale, ale gdy Rysiówna z Kuszecką na następnej przerwie przypomniały sobie o złotolokim adoratorze ze skwerku i zaczęły robić aluzje, ofuknęła je ostro:

- Odczepcie się od moich spraw, dobrze? Dziewczyny obraziły się, takim tonem nie załatwia się porachunków w dobrze wychowanym damskim gronie.

179

Zaczęły, oczywiście, plotkować jeszcze bardziej], i to w coraz wytworniejszym stylu, żeby mieć przewagę nad gburo-watą Banettówną.

Czas płynął, zaproszenie do Łodzi czy Warszawy nie nadchodziło, ten i ów pytał Beatę, czy nie straciła jeszcze nadziei. Odpowiadała wesołymi, nic nie znaczącymi zdaniami, tylko Agacie, dziewczynie Sebastiana, powiedziała prawdę. Przystawała z nią częściej niż z Zosią i Jarkiem, ale wzajemne zbliżenie tej trójki nie uszło uwagi plotkarek klasowych wszędzie wietrzących intrygę. Panny A wiej -skie, zaprosiwszy do kompanii Jolę Pawłasównę, także śledziły ich z daleka na każdej przerwie. Jarek nie miał pojęcia, jaką siecią jest otoczony.

W piątek po lekcjach zaczął ich przed szkołą Marek Rajewski. Zwrócił się do Jarka uprzejmie, jakby nigdy nic:

- Cześć... A więc rozgryzanie oszusta to była ta twoja heca, no, no! Wiem od Agaty.

- Ooo? - Beata lekko zmarszczyła brwi.

- Rzeczywiście, należało się ptaszkiowi! A tak wyglądał solidnie w twoich opowieściach, Beata.

- To wiedziałaś, że ona umawia się z nim na zdjęcia? - spytał Jarek patrząc Markowi prosto w oczy.

- Powiedziała mi przecież.

- A ty nie sprawdziłaś, co on za jeden?

- Nie pozwoliłam mu się wtrącać! - powiedziała szybko Beata, bo Jarek miał dziwną minę. Marek też poczuł się niepewnie.
- Właśnie! - mruknął. - Oj, dziewczyny, dziewczyny! - westchnął filozoficzno-zartobliwie, podkreślając swój męski wdzięk i odszedł udając, że kolega go wzywa. Po kilku krokach obejrzał się na Jarka z ponurym błyskiem w oku.
- Mogłabyś się lepiej znać na ludziach! - rozżłościł się Jarek.
- Przestań! - tupnęła nogą i odeszła, też w nieświecym humorze.

180

Jarek uznał, że mieszka stanowczo za blisko szkoły, i powłókł się okrężną drogą przez park w Białej, położył po krętych uliczkach. Ładna pogoda sprzyjała beztróskim spacerom, on jednak rozmyślał nad ciemniejszymi stronami ludzkich charakterów, które wykluczają realizowanie tak zwanej miłości bliźniego. O zwykłą życzliwość trudno, cóż dopiero mówić o przyjaźni...

Te ponure myśli wprawiły go w odpowiedni nastrój na resztę dnia, wrócił do domu z grobową miną. Była tu chyba przed chwilą jakaś awantura lub mniejsze spięcie, bo matka starała się uśmiechać, a Bratki cichutko odrabiały lekcje. Jarek posłał z ukosa spojrzenie zatopionemu w lekturze prasy ojczymowi, ale okazało się, że to pani Leokadia wróciła od przyjaciółki mocno podrażniona i nadokuczała wszystkim.

- Zanieś to babci - matka wręczyła Jarkowi tacę z obiadem. - Zaraz zaparzą się ziółka.

Musiał zapukać dwa razy, żeby usłyszeć jękliwe „proszę”. Pani Leokadia ginęła w swym pokoju wśród starych, prawie stylowych mebli, poupychanych, gdzie się dało, i Jarek trochę się poobijał, zanim do niej trafił. Siedziała w wielkim fotelu pod oknem, otulona szerokim ciepłym szalem, wpatrzona w dal ponad dachem kamienicy naprzeciwko.

- Bądź łaskaw przysunąć mi tamten stolik... dziękuję. Cóż, ciebie wytypowano na pielęgniarza, jak widzę...

- Mama zaraz przyniesie ziółka - powiedział szybko Jarek i zaczął się bokiem wycofywać.

- Tak, tak... ziółka... Synowa chętnie parzy mi ziółka... Idź, dziecko, idź, unikaj smutnych, opuszczonych ludzi...

Jarek już był za drzwiami.

- Teraz będzie się mówiło pani Dońskiej, że babci nie ma w domu - pouczył go Stefanek. - Pamiętaj.

- Kto to jest?

- Babci koleżanka. Już tak bywało. Ma krótkie białe włosy i fioletową brodawę na policzku. Żebyś wiedział.

181

- Stefanku, nie plotkuj. Idź, umyj ręce i siadajcie do stołu. Poproś też ojca i zawołaj Bogdana. Wspólne obiady po sprzeczkach na ogół jednoczą rodzinę, dziś jednak nikt nie podtrzymywał wysiłków matki. Zjedli szybko i każdy udał się do swoich zajęć. Jarek miał dyżur w kuchni, zmywał wolniutko naczynia, wycierał je starannie, trenując Cierpliwość Życiową i Rezygnację. Nie pofatygował się nawet na kolejny film o Czterech Pancernych, strzały i detonacje dobiegające z pokoju stołowego były dobrym tłem muzycznym do jego filozoficznych du-mań o ginącym świecie dzieciennych wyobrażeń.

Po powrocie do pokoju chłopców zastał czterech smutnych klubowców siedzących rządkiem na tapczanie. Podobieństwo ich min rozśmieszyło go nieco. Spytał, co za nieszczęście się stało.

- Ech... To chyba o nas mówili w korespondencji do Sztabu! Komendant zastanawiał się, kto mógł z Bielska przysłać im pustą kopertę! - westchnął Witek. - Obracał ją w rękach, nawet, pokazał w zbliżeniu kamery... Pismo było jakby Bogdana... Teraz jesteśmy prawie pewni!

- Żeby jeszcze znalazł się tamten list - mruknął Bogdan. - Tak to jest zawsze, kiedy za dużo osób sterczy nad głową! Zagadaliście mnie i nie włożyłem kartki!

- O, grzebaliście w moich papierach - zmarszczył się Jarek.

- Szukaliśmy na całym stole. Nikogo nie interesują twoje papiery! - odburknął Bogdan. - Ty sprawdzałeś ten list...

Popatrzyli na niego podejrzliwie. Nawet Stefanek.

- Chyba nie myślicie, że schowałem go? Bo po co?
- Licho wie... - upierał się Bogdan, ale Witek szybko zagadał:
- Nie, on oddał, przecież pamiętam! Potem jeszcze Stefanek pokazywał go mamie i babci!
- Właśnie! - Bogdan spojrzał surowo na brata. Stefa-

182

nek zerwał się z tapczana, rąbnął pięścią w pierś i zawołał prawie z płaczem:

- Słowo, że oddałem! Oddałem! Bogdanowi! Wyście go jeszcze raz czytali! Słowo!
- Nie wrzeszcz tak! - uciszył go brat. - Jeszcze w domu pomyślą, że cię krzywdzimy.
- Bo to są krzywdowe... krzywdzące podejrzenia!
- Teraz w Sztabie myślą nie wiadomo co! - jęknął Sławek.
- Gapy jesteście i tyle. Napiszcie drugi list. Tamten pewnie dziesięć razy zdążył zgnić na śmietniku albo spłonąć - Jarkowi chciało się śmiać, pohamował się z trudem.
- Nie wiem, czy warto pisać - skrzywił się Bogdan. Stefanek zaprotestował:
- Warto! Warto! Bardzo warto! Będziemy w armii... i może dostaniemy wyróżnienie! O, tu leży papier! Jarek, daj kopertę!

Pancerni pomruczeli jeszcze trochę i wzięli się do pisania. Tym razem kopertę zaadresował Witek, żeby pismo było inne, i komisyjnie trzy razy sprawdzili, czy zapisana kartka nie ulotniła się z niej w tajemniczy sposób. Jarek obserwował ich spod oka i uśmiechał się. Zły nastrój zaczął się rozwiewać, wieczór mijał dosyć przyjemnie. Tylko pod koniec kolacji nastąpił znów mały zgrzyt. Inżynier przypomniał sobie o zaprosinach na niedzielę do Rajewskich na imieniny.

- Oczywiście, razem z Jarkiem - dodał.
- Ja nie pójdę - mruknął niegrzecznie Jarek.
- Dlaczego?
- Mam inne plany.
- Nie wydaie mi się... A choćby nawet, to nie możesz ich zmienić?
- Nie pójdę, nie mam ochoty.
- Dlaczego? Może coś z Markiem? Kłóćcie się?
- Nie, ale się nie lubimy.
- Chyba że tak... Szkoda!

183

- Każdy sam decyduje, kogo lubi, prawda? - stwierdził Jarek trochę za głośno.
- Oczywiście - zgodził się ojczym cicho i zastukał palcami po stole. Dokończyli kolację w milczeniu. Jarkowi zrobiło się głupio, nie wiedział, dlaczego się uniósł. Nie chciał jednak tuszować swego zachowania i snuł się po domu pochmurny, aż do pory snu.

Rozmówki domowe

Jarek przygotował sobie na niedzielny wieczór całą stertę gazet, tygodników i miesięczników, gdyż odkrył duże luki w swej orientacji w świecie współczesnym, a postanowił spoważnieć i prędzej wydorosnąć. Spokojnie przyjął prośbę rodziców o opiekę nad Bratkami, sugerując postawą i miną, że można mu powierzyć również i ważniejsze życiowe zadania, skoro zabiera się do czytania „Polityki”. Ledwie się drzwi za nimi zamknęły, Bogdan już był w przedpokoju i zlekceważywszy Jarka, pytał babcię słodkim głosem:

- Babciu, czy mogę na chwilę wyjść do Witka?
- Przecież był tu dzisiaj.
- To nic, właśnie wpadł mi do głowy ważny pomysł. Dla Klubu Pancernych, wie babcia?
- No, to idź, ale wracaj na kolację.

Jarek jakoś przegapił tę rozmowę, pogrążony w analizie tytułu jednego z trudnych artykułów, ocknął się dopiero słuchając Stefanka.

- Nie chciałem, żebym z nim poszedł - poskarżył się najmłodszy. - Oni mnie wykiwają, wiesz? Czuję to... Po co mu do Witka śniegowce i kurtka?
- Co? Ubrał się?
- Tak.

Jarek wyskoczył na schody. Po Bogdanie, oczywiście, ani śladu. Zeszedł na parter do Zellerów.

Otworzył mu Witek we własnej osobie.

- Jest tu Bogdan?
- Nie. A miał być? - zdziwił się Witek.
- Tak myślałem, cześć.
- U Sławka go też nie ma, bo Sławek jest u mnie - dodał jeszcze uczynny Pancerny.

185

Ej, doigra się wreszcie ten Bratek! Niech no tylko wróci! Jarek pożałował, że nie rozprawił się z nim po bratersku już wcześniej, matka przecież dosyć dawno prosiła go o pomoc... No i Globuska. Nic o nim właściwie nie wie, a dwunastolatki potrafią już mieć tak zwane własne życie.

- Ja też się zajmę czymś innym, wiesz? Jak oni przede mną uciekają, to są jacy? Powiedz! - nudził Stefanek. - No? Nieuczciwi, prawda?
- Mhm...
- To ja im też nie powiem, co podejrzewamy! - zniżył głos.
- Jacy my?
- No, trochę młodszy z kamienicy... Wiesz, co podejrzewamy?
- Hm?
- Że Marzenka może mówi prawdę.
- O czym? O Księżu Pikniku?
- To jasne, że to nie księż! Ale może naprawdę tam ktoś jest!
- Gdzie? Jaki ktoś? Wyrażaj się po ludzku.
- Przecież się wyrażam... Bo Marzenka, jak ją zdenerwowaliśmy tym wyśmiewaniem się z Księcia, to się rozbeczała i powiedziała, że ona tylko tak mówiła o zaczarowanym Pikniku, a właściwie to u nich w domu ukrywa się dziecko! Wiesz?
- Jakie dziecko? Co znów za bzdury?
- Może nie bzdury. Właśnie sprawdzamy... Andula mówi, że widziała je przez okno. Ja też coś chyba widziałem.
- Chyba?
- No, mignęło... Marzenka powiedziała, że ma chorą siostrzyczkę, wiesz? Jej nie wolno wychodzić z domu, bo umrze. Tylko czasami rodzice wynoszą ją w nocy na spacer, żeby nikt nie widział. I że nie wolno jej o tym mówić, tylko myśmy ją zdenerwowali, więc powiedziała... Nie mów o tym Bogdanowi, dobrze? Bo my to sami chcemy sprawdzić.

186

- Nie rozmawiam z Bogdanem o takich głupstwach.
- To wcale nie jest głupstwo, tylko jakaś tajemnica! - obraził się Stefanek. - Zobaczysz! Ktoś zadzwonił do drzwi. Obrażony malec nie ruszał się z tapczana, Jarek więc otworzył. Na progu stała niewysoka starsza pani o białych krótkich włosach, fioletowej brodawce na policzku, z uśmiechem na wąskich wargach.
- Dobry wieczór - powiedziała. - Czy zastałam panią Koniorową?
- Mamusia wyszła.
- Ale starszą panią Koniorową?
- Aha... - przypomniał sobie instrukcję i odparł możliwie jak najuprzejmiej: - Babci też nie ma w domu.

Starsza pani patrzyła na niego z niedowierzaniem. Chwilę wahała się w drzwiach, wreszcie zrobiła ruch w stronę schodów.

- Ależ jestem, jestem! - pani Leokadia wyskoczyła ze swego pokoju. - Wejdz, kochana! Jarku, nie zauważyłeś, że wróciłam? - mówiła z trochę przesadnym ożywieniem. - Wchodź, proszę, zaraz zrobię herbatki! Co nowego u ciebie? - zaćwierkała.

Jarek wzruszył ramionami. Wypełnij tu, człowieku, babskie instrukcje! Wrócił do lektury. Bogdan zjawił się dosyć wcześnie, jeszcze przed dziennikiem telewizyjnym. Zagadana z przyjaciółką pani Leokadia oczywiście nie zauważyła; że wnuk rozbiera się w przedpokoju, za to Jarek oparł się o drzwi, obserwując go uważnie. Bratek rozebrał się powolutku, starannie strzepnął kurtkę przed powieszeniem jej na wieszaku, równiutko ustawił w kącie śniegowce.

- Gdzie byłeś? - spytał Jarek inkwizytorskim tonem.
- Ja się ciebie nie wypytuję, jak wychodzisz!
- Jest pewna różnica... Gdzie byłeś?
- Jejku, jakiś ty nudny! Byłem u kolegi z klasy, po zadanie matematyczne! O! - podskoczył do kurtki i wyjął

18?

z kieszeni jakąś kartkę. - Tu sobie odpisałem, razem robiliśmy!

Jarek obejrzał kartkę.

- To nie twoje pismo.
- Kolegi! Oddaj i nie wtrącaj się!
- Pokaż zeszyt do matmy.
- Co się czepiasz? O, masz. Napatrz się! W zeszycie nie było nic ciekawego.
- Zadano wam trzy zadania i są trzy. Po co ta kartka?
- Bo zadano cztery, a ja zapomniałem zapisać numer! Zaraz to przepiszę.
- Przepisuj... - Bratek niechętnie zasiadł za stołem. - Czemu powiedziałeś, że idziesz do Witka?
- A myślisz, że babcia by mnie puściła? Już było ciemno. Ja ją znam! - Bogdan patrzył na niego z triumfującą miną. - Ten kolega mieszka w Białej. Jeszcze za MDK.
- Przypuśćmy... - mruknął zdezorientowany Jarosław Wnikliwy. Zaczekał, aż Bratek skończy przepisywanie zadania, i zagroził: - Tym razem ci się udało, ale niech cię kiedyś przyłapię na oszukiwaniu!
- To co? Co mi zrobisz? - prychnął Bogdan. - Co ty możesz mi zrobić? Nie jesteś nawet moim bratem!

Trochę to Jarka ubodło. Powoli przestawał czuć się obco w tym domu, a tu masz, nie uważa się go w pełni za swego. Bardzo możliwe, że i na przykład pani Leokadia s t a r a się być jego babcią. A ojczym? Nie wiadomo, czy się po prostu dobrze nie maskuje.

Bogdan, zadowolony z efektu, zerkał na niego złośliwie - odkrył broń na Jarka Marcinowskiego. Niech nie zadziera nosa!

- Jeszcze pogadamy, jak będzie trzeba! - mruknął Jarek i wyszedł do stołowego pooglądać telewizję.

Zrażony głupią odzywką Bratka, Jarek machnął na niego ręką i nie sprawdzał nazajutrz w szkole, czy nie kryje się pod kotłownią z papierosem, nie interesował się nim po południu. Poszedł do kina z Opałkiem i Wojacz-

188

kiem na western dozwolony dla młodszej młodzieży. Film wydał mu się przeraźliwie prymitywny. Po seansie przyłapał się na tym, że powtarza kolegom niemal słowo w słowo opinię Marka o tego rodzaju rozrywkach, nawet podobnym tonem. Wspomnienie o Marku nie poprawiło mu humoru, dopiero kilka odzywek nie zrażonego jego miną Opałka rozładowało ten kiepski nastrój. Przed kinem spotkali Ambitnych w komplecie, parę kroków dalej Orłowicza" z jakąś dziewczyną, Muszkietarów widzieli na sali i słyszeli po kronice.

- Nie tylko nam osłabły nehywy po tym ostatnim wkuwaniu! Inni też musieli odetchnąć - skomentował ten fakt Opałek. - Mam nadzieję, że nie było na tym seansie żadnego belfha. Nie lubię, jak oni się zanadto dziwią, ile to my mamy wolnego czasu przed piehwszą w hoku wywiadówką! Wesoła będzie śhoda w tym tygodniu!
- Przecież nie grozi ci żadna dwója - zdziwił się Jarek.
- Mnie nie! - Zbyszek spojrział na niego z wyrzutem: - To już myślisz, Mahcinowski, że los bliźniego z siódmej B jest mi kompletnie obojętny? Nawet Muszkietehów? Masz złe o mnie mniemanie... tfu, pojęcie! Hozczahowa-łem się.

Braterskie podchody, ojcowskie oko

- Nie miałem przeczucia? Nie miałem nosa? - tragicznym tonem zapytał Jarka i Zosię, razem wchodzących na schody szkoły, poblady Opałek. - Przed chwilą ukłoniłem się Hobackowi, a ten

czule: „Podobał ci się wczohajszty westehn?! Pogněbi mnie, zobaczycie!

- Robaczek? Nie przesadzaj - uśmiechnęła się Zosia. -Może się ucieszył, że lubicie jednakowe filmy.

- Akuhat! Ja bym się nie cieszył... Swoją dhogą, kto by przypuszczał, że on lubi kowbojskie wymachiwanie he-wolwehami? Taki łagodny Hobaczek!

- Może ma dzieci, które lubią, i wyciągnęły go do kina.

- Wszystko jedno! Mówię wam, że i tak będzie dziś rzeź niewiniątek! Przeczuwam! Przecież tylko dwa dni zostały na dożynki przed wywiadówką!

- Najgorsza jest Wróbllica, a ona już przecież nie pyta na stare konto po tej udanej klasówce - pocieszył go Jarek.

- Nową dwóję też można pokazać hodzicom! O chemicznych wolę nie myśleć! - Zbyszek widocznie miał dziś iście zajęczy dzień i nic nie mogło rozwiać jego obaw.

Tymczasem nic się nie działo, pytania, oczywiście, padały z katedry, ale nie ostrzejsze niż zwykle. Lekcje mijały ospale, na przerwach wiało nudą. Jedynie pojawienie się Marka przed siódmą B poruszyło nieco grupkę dziewcząt. Beata nie była zachwycona jego widokiem, kręciła głową, gdy coś do niej mówił ściszym głosem, nie raczyła się nawet uśmiechnąć. Rysiówna powiedziała do Kuszeckiej:

- Strasznie zarozumiała ta Banettówna, nie uważasz? Myśli pewnie, że zawsze będą koło niej skakać tacy przystojni chłopcy jak Marek.

- Ja bym go tak nie lekceważyła - zgodziła się Ku-szecka.

190

Do końca zajęć nic się straszliwego Opałkowi nie przydarzyło, nie wzbudził zainteresowania żadnego z belfrów, za to Jarek miał okazję poprawienia owej haniebnej dwój geograficznej, co przyszło mu bez większego wysiłku. Pytano go także z historii, odpowiedział na czwórkę z minusem, a na polskim zarobił plus za aktywny udział w lekcji.

- Ale jutho też jest dzień przedwywiadówkowy! - za-krakał na pożegnanie Opałek.

Na ulicach jesienne błocko, w szkole obowiązują papucie, więc w szatniach zdarzają się bijatyki.

Klasa Bogdana, piąta C, urządziła dziś regularną bitwę z obłężeniem jednego z boksów. Paru maluchów przy okazji oberwało. Za karę chłopcy z piątej C musieli zostać godzinę dłużej i porządkować szatnię oraz świetlicę, w której niedawno skończono malowanie okien. Dzięki temu Jarek wyszedł ze szkoły równocześnie z Bratkiem. Bogdan zauważył go natychmiast, wykrzywił się i zaczął błaznować na ulicy, potrącając dziewczęta. Wraz z nim dokazywał ten sam chłopak, którego Jarek widział pod kotłownią z papierosem. Biegli dwoma chodnikami, tuż przy krawężnikach, podając sobie przez jezdnię okrągły kamień. Traćili przy okazji jakiegoś przechodnia w nogę, zatrzymał się i zaczął im wymyślać od chuliganów. Inni oglądali się, zaciekawieni. Chłopcy uciekli, zatrzymali się dopiero na rogu Kamiennej.

Widząc, że Jarek się zbliża, Bogdan demonstracyjnie minął wlot na Kamienną i ruszył dalej z kolegą. Obejrzał się parę razy. Jarek, jakkolwiek wczoraj postanawiał w duchu nie przejmować się Bratkiem, poszedł za nimi z miną groźną i zawziętą. Skręcili w prawo, na plac Chrobrego, postali przy kiosku z gazetami, pooglądali taksówki na parkingu, wreszcie weszli w wiodący w dół krótki pasaż. Na placu Smolki Jarek stracił trop, schowali się pewnie w którejś z bram. Pochodził jeszcze chwilę po placu i przyległych uliczkach i wolno wrócił do domu.

191

Bogdan siedział przy stole i rozkładał zeszyty z miną niewiniątka. Mama Sonia stała nad nim przeglądając dzienniczek. Było już chyba po rozmowie na temat wojny w szatni, nie miała surowej miny. Pytała o lekcje. Jarek położył teczkę na drugim krześle. Bratek nie oszczędził mu złośliwego spojrzenia, zanucił też pod nosem:

- Uciekła mi przepióreczka w proso! A ja za nią, nieboraczek, bosó! - znał tylko te słowa, powtarzał je w kółko aż do końca melodii.

- Wiesz, mamó, że w środę jest wywiadówka? - spytał Jarek nie patrząc na niego. - Mówił ci Bogdan?

- Nie - zdziwiła się. Bogdan powiedział prędko:

- Jest o niej komunikat w dzienniczku! Tylko na innej stronie, bo mi się kartka przylepiła.
- Aha! - podpisała. - Spytaam ojca, czy będzie miał czas pójść.
- A ty nie możesz? - Bratek zakręcił się na krześle.
- Moja pani bardzo cię lubi - wtrącił przytomnie Stefanek. - Stale przesyła ci pozdrowienia, wiesz? Tylko ja czasem zapominam.

- O, to miłe!... Może pójde, zobaczymy. A jak u ciebie, Jarku, w porządku? Bo to twój pierwszy etap... Chyba jednak przejdę się sama na tę wywiadówkę, bardzo jestem ciekawa, jaką masz opinię... - zajrzała jeszcze raz do zeszytu Bogdana, przyglądała mu włosy i wyszła. Bratek szybko zwichrzył czuprynę, otrząsnął się i zanucił „Przepióreczkę”. Jarek nie zareagował. Zdusił w sobie złość i postanowił być cierpliwy. Cierpliwy, ale nieugięty. Znowu się smarkaczowi udało, ale do czasu! Dopilnowanie lekcji Bratka zostawił matce, już i tak wzięła się ostro do niego, siebie ustanowił kontrolerem pozaszkolnych działań Bogdana. Na razie dorośli nie muszą o nich wiedzieć, po co matka ma się denerwować.

Jeszcze nazajutrz miał szczyry zapał pedagogiczny, czuwał pod kotłownią, sprawdził, po której lekcji piąta C po-

192

szła do domu. Spieszył się na Kamienną nie czekając na Zosię.

Drzwi otworzył mu Stefanek.

- Wiesz, mamy pewne podejrzenia! - szepnął z przejęciem. - Marzenka...

Jarek nie słuchał, zapytał o Bogdana.

- Poszedł do Witka! - westchnął zawiedziony Stefanek. - Nie chcieli przy mnie obgadać jakiejś sprawy, a przecież ja też jestem Pancerny! Myślisz, że mnie skreślą?

- Przekonamy się... - mruknął Jarek zakładając dopiero co zdjętą wiatrówkę.

- Chcesz tam iść? - zdumiał się Stefanek. Nikt dotąd tak szybko nie interweniował w jego sprawie. Poczł wdzięczność. Wszystko robi dla Jarka! - Żeby już nas Sztab zatwierdził, toby oni nie mogli ze mnie zrezygnować! Prawda? A teraz mogą, co? Powiedz.

- Nie wiem, co knują, zapytam przy okazji.

- Iść z tobą?

- Jak chcesz.

Stefanek został. Wolał sobie wyobrażać, jak Jarek przemawia w jego obronie. A Jarek zapomniał o nim zaraz na półpiętrze. Zastukał do Zellerów, dowiedział się, że obaj chłopcy są u Sławka, sprawdził, dał do zrozumienia Bratkowi, że czuwa, i wrócił. Stefanek chodził koło niego na palcach, nie śmiał pytać. Dopiero wieczorem, kiedy Bogdan zaczął dokuczać małemu, Jarek przypomniał sobie jego prośbę. Gdy nieszczęśliwy Stefanek wybiegł do babci, spytał z przyganą:

- Wykluczyliscie go z Pancernych?

- Jeszcze nie!

- Ale zmawiacie się za jego plecami. To nie fair.

- Odczep się! Znajdziemy kogoś z psem, to go wykluczymy, wiesz? Żadne twoje wtrącanie się nie pomoże.

- Szkoda, że go nie doceniacie.

- Nasza sprawa! - Bogdan był zły i niespokojny. Matka coś za długo nie wraca z wywiadówki.

Rozmowa z Globu-

13 - Klub Kosmohikanów

193

ską nie mogła wprawić jej w dobry humor. Trzy dwójce udało się zlikwidować wspólnymi siłami, kontrolowaniem lekcji, ale i tak pozostała ich kompromitująca wiazanka.

- Co? Dwie dwójce?! - zdumiał się inżynier, kiedy już dłużej nie można było ukrywać przed nim fatalnych wyników. I tak mama Sonia odwlekała egzekucję. - Tego jeszcze nie było! No i co mam z tobą zrobić? Nigdy nie używałem pasa, ale dziś mam wielką ochotę. Skoro inne argumenty do ciebie nie trafiają...

- Może jednak jeszcze z nim porozmawiasz? - zaproponowała szybko mama Sonia. - Może nie jest jeszcze za późno?

- Zobaczmy! - mruknął groźnie ojciec. Rozmowa trwała tylko pół godziny, drugie pół Bogdan musiał czekać na werdykt. Ojciec postanowił traktować go aż do poprawy bardzo surowo: koniec z przyjacielskim tonem, na podwórko wolno winowajcy wychodzić tylko raz dziennie i tylko w sprawach Klubu Pancernych, o których zrećźnie przypomniał czujny Stefanek. Nauka, nauka, nauka. Niewesoło. Bogdan snuł się po mieszkaniu jak gradowa chmura.

Uwięzienie Bratka było na rękę Jarkowi, zwalniało go od pedagogicznych obowiązków.

Bogdan stał się wzorowym synem Pokutującym, nie nadużywał nawet ulg związanych z Pancernymi. Założył w domu punkt dowodzenia, zlecając reszcie intensywną działalność, czym wykierował się ostatecznie na dowódcę, bo do tej pory dzielił władzę z Witkiem. Sytuacja nawet go bawiła, zwłaszcza w zadeszczone dni. Postanowił pogłębić wiedzę fachową obłożywszy się wyłącznie wojennymi lekturami, choć wolno mu było czytać książki nieobowiązkowe tylko przez godzinę dziennie, cały czas miał poświęcać nauce.

Jarek też bardzo dużo czytał, zwłaszcza swe ulubione książki marynistyczne. Większość z nich znał niemal na pamięć, chętnie jednak ponownie je przeglądał. Wciąż

194

brakowało mu morza za oknem. Czasem starał się dosłuchać szumu fal w wieczornym hałasie ulicznym lub w ostrzejszych podmuchach listopadowego wiatru. Dla oddania sprawiedliwości podobającym się mu przecież Beskidom zaczął szukać w bibliotece szkolnej i miejskiej lektur „górskich” - o zbójnikach, taternikach, Zakopanem, partyzantce, ratownikach GOPR-u. Pomyślał, też poważnie o sporcie narciarskim, zwłaszcza po rozmowie ze Stefanem. Bystry Bratek powiedział mu w tajemnicy:

- Bogdan chciał dostać na Mikołaja nowe narty, ale po tych dwójkach mu nie dadzą. Za to dla ciebie będą. Pod choinkę. Przypadkiem słyszałem naradę. Ty jeździsz?

- Słabo... - nie chciał się przyznać, że w ogóle nie.

- Ja już nieźle - pochwalił się najmłodszy. - Tatuś umie świetnie. Ciebie też podszkoli... Ale sanki też lubię. A ty?

- Lubię, lubię... - Jarek zajął się lekturą. Nie zrażony Stefanek rozejrzał się, czy ktoś nie słyszy, i szepnął:

- Tego dzieciaka widziałem, ale z daleka. Z podwórka. Tylko głowę. Ma jasne warkoczki, wiesz? Marzenka do nas kiwała i ta jej siostra też, tylko niemrawo... Ona choruje... Ty nie słuchasz, a to ciekawe!

- Słucham, słucham.

- Prosiłiśmy Marzenkę, żeby ją z domu wykradła i przyprowadziła na podwórko, ale nie zgodziła się. Na co taki dzieciak może być chory, że go nie wypuszczają? Powiedz?

- Nie wiem... są różne choroby.

- Musimy jej się przyjrzeć, wiesz? Ale tak z dołu to nic nie widać.

- Zosia ma lornetkę, niech wam pożyczy - wyrwało się Jarkowi. Zaraz pożałował, bo może Zosia nie życzyłaby sobie tego, ale już było za późno. Stefanek rozpromienił się:

- Ty to masz zawsze dobre pomysły! Teraz nam się uda!

Domowy bigos na sucho

oraz grudniowe męskie problemy

W sobotę po południu wpadł do Koniorów roztrzęsiony sąsiad spod siódemki, urzędnik z brzuszkiem i łysinką, aby zatelefonować po pogotowie - a w niedzielny rano wstąpił do nich w drodze ze szpitala.

- Córka!-oznajmił radośnie.

Pogratulowali mu serdecznie pierworodnej, matka i pani Leokadia chciały poznać szczegóły, wzrost i wagę niemowlęcia, poczęstowały gościa herbatą, a on wstydliwym ruchem wyjął z zanadru małą flaszeczkę koniaku. Posiedział u nich prawie godzinę.

- No proszę, jak to szczęście zmienia człowieka! -powiedziała pani Leokadia, gdy wyszedł. - Ten pan zawsze wydawał mi się dość antypatyczny, a tu całkiem miło nam się rozmawiało! Jak to chcą nazwać małą? Ania? Alinka? Nie mam pamięci do imion.

- Agnieszka - przypomniała matka.

Jarek uśmiechnął się pod nosem. Dostyc długo był dla babci Jankiem, Jackiem czy Jurkiem. Przypomnił też sobie scenę podwórkową z żelaznym łóżkiem oraz inne spotkania z zawsze trochę nadętym urzędnikiem i filozoficznie pokiwał głową. Deszczowy dzień sprzyjał rozmyślaniom i lekturze, wszyscy się rozczytali, wygodnie wyciągnięci na tapczanach lub wtuleni w fotele. Gdy zbliżyła się pora obiadowa, jednogłośnie zwolniono matkę od przygotowywania odświętne obfitych dań i z indiańskimi okrzykami rzucono się do spiżarni po suchy prowiant. Oddziałem aprowizacyjnym dowodził sam Wielki Wódz Huczący Kompot, w cywilu inżynier. Pod jego sokolim okiem dzielni wojownicy: Szybki Przebiegły Koncentrat Pomidorowy, Chytra Cytryna (Bogdan nie był w świetnym humorze,

196

trochę chłodniej traktowany przez Wodza) i Skaczący Befszytk skomponowali coś, co można było od biedy uznać za Urozmaicony-Suchy-Bigos-Bez-Kapusty-Na-Zimno. Spożyto go siedząc w kucki na dywanie, jedynie Najstarsza Młoda Sąaw uzyskała zezwolenie na stołeczek. Po uczcie, ceremonialnie skonsumowanej gołymi palcami, Poranek Wiosenny Zimą nieśmiało zaproponowała, że na kolację zrobi placki kartoflane, żeby jednak coś gorącego zapełniło żołądki. Zgodzili się nieopatrnie - bo któż będzie obierał i tarł kartofle? Tylko dzielni wojownicy.

W indiańskim rozgardiaszu omal nie przegapili pory audycji dla Klubu Pancernych, a byłaby to wielka strata! Jarek mył ręce w łazience, gdy dobiegł go dziki wrzask spod telewizora:

- Zatwierdzili nas! Zatwierdzili! - Stefanek obtańczył Jarka parę razy. - Wymienili nasze nazwiska i imiona! I dali numer! Uznali kanarka! Bo koniecznie musi być żywe zwierzę! Teraz już nie wolno mnie skreślić tak sobie - dodał ciszej. - Chyba żebym popełnił przestępczy czyn. Ale nie popełnię! - Prędko, papier i ołówek! - Bogdan miotał się po mieszkaniu. - Podają nowe zadanie!

Jarek uśmiechał się wyrozumiale i z wyższością, poczuł też ulgę jako Pedagog: oto godziwa rozrywka dla Bogdana, może nie będzie miał czasu na zadawanie się nie wiadomo z kim. Z czystym sumieniem można się zająć własnymi sprawami. Aktualnie nie miał ich zbyt wiele do rozwiązania - w szkole szło mu nieźle, chociaż nie błyszczał, koledzy oswoili się już z jego obecnością, wrogów w klasie nie ma. Dogaduszek Heńka nie można brać poważnie, Orłowicz zwrócił serce do innej bogini, zresztą wszyscy już się w klasie przekonali, że Jarek z Beatą to nie „para”. Kojarzono go teraz z Zosią, ale jeszcze tego nie spostrzegł i na odcinku spraw sercowych odczuwał błogi spokój. Myślał czasami o Goście, ale nie cierpiał bynajmniej z powodu odległości dzielącej Bielsko od Warszawy.

197

Bardziej brakowało mu kogoś takiego jak Michał, najstarszy brat Gośki, chłopaka, który zaimponowałby mu charakterem, wiedzą, własnymi poglądami. Z którym można się zaprzyjaźnić lub rywalizować. Na razie nie widział takiego w najbliższym otoczeniu... Z zadumy wyrwał go okrzyk matki:

- Jarku, czy my mamy piec placki, czy budować z tartych ziemniaków wigwam? Wystarczy tego, obrałeś chyba kilogram za dużo!

Cóż, trzeba było wszystko utrzeć, przyprawić i sporo odłożyć na jutro do lodówki. Kolacja była wspaniała, trwała dwie godziny. Takich pysznych placków Jarek nie jadł jeszcze nigdy dotąd. I dawno nie miał tak miłej deszczowej niedzieli.

W ten sposób powitali grudzień, miesiąc złych humorów pani Leokadii, o czym lojalnie uprzedziła synową jeszcze w niedzielę:

- Co roku strasznie źle znoszę ten okres! W mojej rodzinie wszyscy umierali właśnie w grudniu, spotykały mnie same niepowodzenia. Postaram się wytrzymać, ale mogę być niemila. Nie przejmujcie się.

Na razie zachowywała nieźle samopoczucie, matka więc potraktowała to wyznanie jak żart. Jarek przewidywał jednak przykre sceny domowe, bo uchwycił spojrzenie pani Leokadii, gdy w poniedziałek przy śniadaniu matka przez nieuwagę nalala białej kawy najpierw Bogdanowi, dopiero potem teściowej, choć ta podsunęła filiżankę na brzeg stołu. To są głupstwa, ale z takich głupstw składa się życie - Jarek usłyszał już tę prawdę z ust bodajże Gośki Borzęckiej, kiedy przypadkiem asystowali przy jakiejś drobnej sprzeczce państwa Filipiaków w „Cichatce”, ukryci w gąszczu za

domkiem. Zaczął wreszcie odkrywać stare prawdy, uwrażliwiony ostatnio na atmosferę życia rodzinnego. Mimo woli notował w pamięci wszystkie spostrzeżenia charakterystyczne dla stylu życia każdego z domowników, a świadczące o wzajemnym ich

198

stosunku do siebie i do niego. Gdyby Bogdan był jego rodzonym bratem, na pewno nie drażniłaby go tak bardzo każda sprzeczka czy złośliwość, jakie przynajmniej raz dziennie świadczył mu zbuntowany Bratek, tak na pozór grzecznie i spokojnie znoszący ostry rygor domowy, któremu poddał go rozgniewany ojciec. Stefanek też częściej padał ofiarą jego złego humoru i szukał pomocy u Jarka, co już zupełnie nie podobało się Bogdanowi.

Także w szkole

grudzień zapoczątkowały życiowe kłopoty

Samorząd siódmej B, działający dosyć ospale, ożywił się dopiero przed Mikołajem. Na godzinie wychowawczej Tereska zaproponowała losowanie karteczek z nazwiskami.

- Każdy przyniesie prezent dla tego, kogo wylosuje!

- Jakiś drobiazg, oczywiście - uzupełniła pani Zalewska. - Żeby nie było w jednej paczce pół sklepu ze słodyczami, książkami i maskotkami, a w innej tylko torebka cukierków.

- Tak do dwudziestu złotych, prawda? - upewnił się skrupulatnie Piotrowski, skarbnik.

- Mniej więcej... Przygotowaliście już losy?

- Tak! Ja mam - poderwała się Tereska. - Wszystkie są jednakowe, o! - pokazała klasie kilka sztuk, żeby nie było wątpliwości. - Będziemy ciągnąć z mojego beretu!

- Sama zacznij, a potem przejdź wzdłuż ławek, inaczej powstałby przy berecie straszliwy tłok i mogłabyś go potem nie poznać - zażartowała realistycznie wychowawczyni.

Tereska z poważną miną wyciągnęła pierwszy los, rzuciła nań okiem, poczerwieniała i szybko schowała do kieszeni fartucha. Ktoś zachichotał, ktoś powiedział znacząco: „o!”. Wiadomo było przecież w klasie, że Tereska ostatnio chętnie udziela zeszytu Orłowiczowi, kiedy kolega tylko zażąda. Domyślali się, że to jego nazwisko wylosowała tradycyjna przewodnicząca. Nie wiadomo jednak, czy mieli rację. Tereska do końca lekcji zachowała kamienną twarz, nie unikając specjalnie spoglądania na ławkę Orłowicza ani też nie robiąc do niego słodkich

200

minek. Do Jarka i Beaty dotarli w berecie dwa ostatnie losy.

- Proszę bardzo! - grzecznie odstąpił sąsiadce prawo wyboru.

- Dziękuję ślicznie! - odparła nie mniej uprzejmie i roześmieli się.

Na karteczce Jarka, wypisane starannym okrągłym pismem, widniało nazwisko Urbańskiej, kuzynki Orłowicza. Zmiał karteczkę w małą kulkę i dyskretnie potem wrzucił do kosza. Nie miał bladego pojęcia, co chciałaby dostać w prezencie nie wzbudzająca w nim najmniejszego zainteresowania koleżanka. Prawie jej nie znał. I w ogóle, co też lubią otrzymywać dziewczyny? Co się im daje? Poprosił o pomoc matkę. Poradziła kupić jakąś małą zabawną maskotkę i słodycze.

- To jest neutralny prezent, zawsze miły dla dziewczynki. Możesz do paczki dołączyć ładną kartkę z życzeniem „smacznego chrupania” czy coś w tym rodzaju... Na pewno się ucieszy... Masz jeszcze jakieś pieniądze?

- Nie... parę groszy.

- Proszę - matka poszperała w portmonetce i podała mu zwinięty banknot pięćdziesięciozłotowy.

Wytłumaczyła tę hojność z lekkim zażenowaniem: - Może ci się przyda na prezenty dla braci?

Tylko jakieś drobiazgi, więcej pieniędzy nie mogę ci na razie dać.

- Dziękuję! Przydadzą się bardzo.

Postanowił kupić Stefankowi autko lub samolocik, dla Bogdana najlepsza byłaby jakaś wojenna książka, może z serii „Tygrysa”? Dyskretnie przejrzał półeczkę Bratka, na której przechowywał swe lektury, aby się zorientować w posiadanych przez niego tytułach. Bogdan przyłapał go przy tej czynności, zrobił aluzję do szperania w cudzych rzeczach, ale bez większej złości. Mocno był nad czymś zamyślony, nie słuchał uważnie, co się do niego mówi, przy obiedzie omal nie wpakował sobie widelca do nosa. Stefanek też marszczył poważnie czoło i był małomówny. Po

201

obiedzie ojczym poprosił Jarka do stołowego. Zamknął drzwi, chrząknął, wsunął rękę do bocznej kieszeni marynarki, wyjął skórzany portfel i powiedział:

- Pozwól, że wypłacę ci podwójną gażę miesięczną. To okres zakupów, wiadomo, kobiety lubią otrzymywać drobne prezenty. Wsuń coś dla nich pod choinkę lub pod poduszkę na Mikołaja. Może też coś wykroisz dla Stefanka... Bogdan nie zasłużył na podarki, pamiętaj.

- Nawet na coś zupełnie drobnego? - spytał lojalnie Jarek myśląc o „Tygrysie”. - Książkę, na przykład?

- Hm... Ewentualnie może być jakaś poważna książka. Słuchaj, nie wiesz, czy mama lubi haftować? - spojrzał na chłopca z nadzieją. Zakłopotanym gestem potarł policzek. - Mam okazję zdobycia ciekawego kompletu do wyszywania... czy jak to się takie pudło nazywa. Z bębenkiem, zabytek z ubiegłego wieku. Znajoma odziedziczyła po babce, a teraz chce sprzedać. Jak myślisz, ucieszy się matka?

- Chyba tak! Haftowała coś ostatnio... - przypomniał sobie wełnianego Szarika-Huckelberry.

- No, to świetnie! - poweselał inżynier. Odetchnął. Klepnął Jarka w ramię. - Kamień z serca! Życzę ci pomyślnych łowów, młody człowieku!

- Dziękuję! - roześmiał się Jarek. Ojczym podobał mu się coraz bardziej. A tak obawiał się na początku, że nigdy się nie dogadają! Co prawda, to jeszcze nie to, co mogło być z ojcem - jak sobie wymarzył od dziecka - ale nie powinien narzekać na los.

Odrobił lekcje, potem na kawałku papieru obliczył, ile ma pieniędzy na każdy prezent, uczciwie przestrzegając podziału tych od matki i ojczyma, aby przypadkiem sami sobie za podarki nie zapłacili. Zaczął układać listę ewentualnych drobiazgów, gdy do pokoju wsunęła się na palcach pani Leokadia i trzeba było wszystko obliczać od początku - ona też wcisnęła mu do ręki pieniądze.

- Nie wiem, czy pomyślano już o tym, że może cię

202

krępować brak gotówki przed świętami - szepnęła tonem, z którego wywnioskował, że znów się coś starszej pani nie podobało w postępowaniu syna i synowej. Widocznie grudniowa atmosfera, zgodnie z zapowiedzią, zaczęła już na nią działać. - Pojutrze Mikołaj... Weź to na prezenty dla malców. Nie krępuj się, Jureczku.

- Dziękuję... Mam na imię Jarek - przypomniał delikatnie.

- Ach, tak, tak, przepraszam! Wybacz, dziecko! - rzekła z roztargnieniem, łagodnie, ale zaraz potem zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się podejrzliwie: - Myślisz pewnie, że mam sklerozę, co? - rzuciła gniewnie i wyszła, zanim zdążył zaprotestować.

Westchnął i powrócił do skomplikowanych obUczeń. Szczęśliwie zakończył je przed przybyciem Bratków oglądających dotąd telewizyjny „Zwierzyniec”. Lojalny Stefanek przyznał się bratu do działań poza Klubem i streścił historię tajemniczej siostrzyczki Marzenki. Bogdan początkowo wyśmiał te bajdy, ale wzmianka o planie wykradzenia lub choćby obejrzenia chorego dziecka podziałała na jego wyobraźnię. A już pomysłem wykorzystania Zosi-nej lornetki był zachwycony. Jarek udawał, że nie słyszy ich szeptów, i lekko rozbawiony czekał, co wyniknie z tej nowej podwórkowej afery. Najmłodszy pokręcił się koło niego z niewyraźną miną, wreszcie zapowiedział na wieczór wizytę Zosi.

- Mówiła, że ma do ciebie ważny interes!

Zosia przyszła tuż przed kolacją, porozmawiała chwilę z matką Jarka w kuchni, a w pokoju chłopców zapytała od progu:

- Co się stało? Stefanek mówił mi, że masz do mnie bardzo ważny interes.

- Ja? To podobno ty właśnie... - rozejrzał się za Bratkiem, który dyplomatycznie wybył do babci.

Kiedy Zosia z Jarkiem dosyć się nadziwili, weszła do pokoju cała

203

delegacja: Stefanek, Anduła, Bogdan, Witek i Jola Pawła-sówna. Stefanek zagaił:

- U Zosi nie można robić tłoku... a musimy porozmawiać poważnie!

- Możesz wyjść - Bogdan uprzejmie zwrócił się do Jarka. - Mamy sprawę tylko do Zosi.

- O, dziękuję! Rzeczywiście wyjdę - uśmiechnął się Jarek i poszedł obejrzeć program telewizyjny, ale nie było nic ciekawego, poza tym inżynier znowu przeglądał przy biurku jakieś ważne papiery,

chłopcu pozostała lektura prasy bieżącej. Wkrótce zresztą matka zaczęła zwoływać bractwo na kolację. Ojczym przeciągnął się w fotelu, wstał i zajrzał do pokoju chłopców.

- Znów jakaś narada? - nie był zachwycony. - Bogdan, pokaż zeszyty. Stefanek też.

Konspiratorzy wymknęli się z mieszkania, została tylko Zosia, którą matka serdecznie zaprosiła na herbatę; Po kolacji, kiedy Bratki wraz z resztą rodziny oglądały przygody Bolka i Lolka, Zosia streściła Jarkowi przebieg „narady” i zakończyła:

- Podejrzewałam, że Marzenka tak łatwo nie zrezygnuje z Księcia Piknika, ale nie myślałam, że jest taka sprytna i umie długo trzymać w napięciu całą gromadę dzieciaków! Najpierw uwierzyły maluchy, a teraz nawet Bogdan z Jolą dali się wciągnąć. Powiedziałam im, że przecież czasem wpadałam do Królikowskich, chociaż ostatnio rzeczywiście długo nie byłam, i wiem, że mają tylko Marzenkę! Na to oni, że to chore dziecko dopiero niedawno przywieziono ze szpitala i że ukrywa się je w stale zamkniętym pokoju, tym od podwórza, jak wasz. Tak mówiła Marzenka... Nigdy nie zaglądałam do tamtego pokoju, ale nie sądzę, żeby to była prawda.

- Uwierzyli ci?

- Chyba nie. Chcą koniecznie zobaczyć to dziecko.

- Pożyczysz im lornetkę?

'204

- Po co? Pójdę po prostu do Marzenki, kiedy będą jej rodzice, i zbadam sytuację. Dla świętego spokoju.

- Jutro?

- Nie bardzo mam czas... Teraz przed Mikołajem tyle zamieszania w domu i w szkole -

uśmiechnęła się. - Tereska miała niezły pomysł, tylko trochę kłopotliwy tak na dzień przed imprezą.

- Właśnie! - westchnął zakłopotany Jarek. - Jutro będzie ciężki dzień.

Dużo radości, trochę poszlak...

W szkole panowała atmosfera przedmikołajowa. Dziewczyny z siódmej B na wszelki wypadek zrobiły się miłe dla wszystkich, chłopcy przyglądali się bliźnim podejrzliwie. Snuli się zamyśleni i purpurowieli, gdy któraś z koleżanek patrzyła na nich trochę dłużej czy uważniej niż zwykle.

- Hany humszytk, uchwianie głowy! Takiemu Leszkowi tobym wiedział, co podać, ale co mam hobić z tym fantem, o!? - zwierzył się Opalek Jarkowi i dyskretnie wskazał głową przechodzącą obok nich Hanię Rudecką. - Ona jest taka poważna i mądra. Pewnie zawsze dostawała same książki! Tylko skąd ja mam wiedzieć, czego jeszcze nie czytała? Pójdiesz ze mną do księgarni? Sam nie dam rady.

- Pójdę, ale też nie mam pojęcia, co jej kupić! - westchnął Jarek myśląc jednocześnie o Urbańskiej. Umówił się ze Zbyszkim na wtorkowe popołudnie przeznaczając je prawie wyłącznie na zakupy.

Wstąpili najpierw do sklepu z zabawkami, bo nawinął im się po drodze. Jarek wybrał dla Urbańskiej białego gumowego pieska o rzewnym spojrzeniu, piszczącego przy naciskaniu. Opalek obejrzał zabawkę ze wszystkich stron, pokiwał głową, westchnął i zastanowił się:

- A może Hudecka ma dość lektur, co? Podejrzewam, że nie uthafiłbym... Kupić jej takie coś?

- Pewnie, dwa jednakowe pieski przecież mogą być. I tak nie wiadomo, od kogo.

- E, kupię kota! Albo nie, tamtą żółtą kaczkę! Też piszczy, phoszę pani?

- Też. Podać?

- Wezmę - westchnął z ulgą Opalek. Wcisnął prezent do kieszeni i poszli dalej. Po czterech godzinach łażenia Jarek skompletował prezenty dla rodziny i za resztę drobnych

206

zaciągnął Opalka do „Cichego Kącika”, bo Zbyszek zgłodniał i mniej więcej od połowy zakupów marzyły mu się przynajmniej pączki.

W cukierni zastali Beatę z jakąś panią w średnim wieku. Nie chcieli przeszkadzać i usiedli przy innym stołku, chociaż Beata zamachała do nich przyjaźnie. Jarek zrezygnował ze swego ciastka, bo Opalek wykazywał autentyczny wilczy apetyt i tęsknym spojrzeniem wodził po wystawionych pod szkłem specjałach. Uprzejmie zawahał się nad Jarkowym talerzykiem, ale nie dał się długo prosić i skwapliwie uwierzył w absolutny brak smaku do słodkich rzeczy, jaki nagle odkrył w sobie kolega. - Ja lubię! - zwierzył się z pełnymi ustami. - Na przykład szahlotkę, taką maminią. Nie

tylko kanapki.

Gdy wychodzili, kłaniając się w przejściu Beacie, jeszcze raz pomachała ręką i zawołała na cały lokal:

- Wesołych świąt!

- A co, nie przyjdzie już do szkoły przed fehiami? - zdziwił się Opałek.

- Nie wiem, śmiała się przecież. Pewnie tak sobie zawołała.

Postali chwilę pod domem Jarka, Zbyszek zaczął się żegnać, gdy raptem ktoś wyskoczył z sieni i wpadł między nich, omal nie powodując zbiorowego koziołka.

- Teheska! - wykrzyknął Opałek odsuwając napastniczkę na długość ramienia. - To ty i po lekcjach jesteś taka sthasznie aktywna? - zażartował. Nie zareagowała na docinek, tylko szybko zagadała przejętym głosem:

- Mówię wam, kompromitacja! Byłam u Zosi, żeby się naradzić! Zapomnieliśmy o prezencie dla pani Zalewskiej! Najpierw myślałam, że ją dołączymy do losowania, ale jest nas w klasie akurat czterdzieści, czyli do pary! No i zapomnieliśmy! Trzeba będzie jutro raniutko zrobić zbiórkę, na przykład po złotówce lub dwa, co? Przynieście pieniądze i zawiadomcie resztę, dobrze? Jeszcze polecę do niektórych! Cześć! Pamiętajcie! - i poleciała.

207

- Ale ona tehkocze! - otrząsnął się Opałek. - I kogo ja tehasz zawiadomię? Najwyżej Wojaczka i Piothowskiego, bo mieszkają blisko. Mógłby ten nasz samorząd mieć więcej wyobhaźni! Cześć! Prezent dla wychowawczynie załatwiły Tereska z Zosią i Hanią dosłownie w ostatniej chwili, na dużej pauzie, szóstego. Kupiły zgrabne gliniane dwojaczki. Tereska dołączyła ludową serwetkę roboty swej mamy, Hania z Zosią postarały się o czekoladki i pomarańcze. Beata przytaszczyła bukiet z gałązek świerkowych i szyszek i przyozdobiła nim klasę. Do ferii jeszcze przeszło dwa tygodnie, a siódma B już nabrała świątecznego wyglądu.

Wszystkie paczki ułożono wokół pachnącego lasem bukietu, Tereska wyciągnęła z ławki opierającego się daremnie najmniejszego Wojaczka i kazała mu je rozdawać. Wychowawczynie bardzo była zadowolona z prezentu, uczniowie też, ustawili na brzegach ławek spod okien białe pieski, naprzeciwko białe kotki i zakończyli tę najmilszą z lekcji radosnym, trochę nie dostrojonym piskaniem. Najgłośniejszy ton wydawała żółta kaczka Hani Rudeckiej, jedyna w klasie, i Opałek miał satysfakcję.

U Koniorów nie spodziewano się osobistej wizyty świętego Mikołaja, drobne prezenciki znalazły się rano pod poduszkami, jednak wieczorem ktoś tajemniczy ostro zadzwonił do drzwi i zostawił przyczepiony do klamki bukiet złocistych chryzantem z karteczką „dla najlepszej Mamy”. Nastąpiła mała konsternacja, bo matka posądziła o autorstwo Jarka, a pani Komorowa inżyniera; obydwóm wydłużyły się nieco miny. Trwało to tylko momencik, bo po odwinięciu papieru wysunął się spomiędzy kwiatów puchaty potworek.

- Maskotka Beaty! - zawołał Jarek. - Nigdy się z nią nie rozstawała.

- Tym miłszy to dla mnie prezent! - odparła wzruszona mama sadowiac brzydalka na honorowym miejscu wśród

208

innych otrzymanych dziś drobiazgów. - Dlaczego ta niedobra dziewczyna nie zagląda do nas? Jarek nazajutrz powtórzył te słowa Beacie.

- Chciałam już parę razy, ale jakoś tak... Nie chcę się znudzić twojej mamie! - zażartowała pokrywając lekkie zmieszanie. - Wpadnę do was na pewno jeszcze przed świętami.

- Jeszcze w tym tygodniu! Bo się mama obrazi - zagroził Jarek, też na wpół żartem.

Przerwał im rozmowę Heniek przystawiający do ucha, komu się dało, swego piszczącego kotka.

Inni też nadużywali prezentów, nie tylko na przerwach. Na każdej lekcji w dzień po Mikołaju rozlegał się przynajmniej jeden cichy pisk, co w końcu wyczerpało cierpliwość nauczycieli.

Zagrozili obniżeniem stopni ze sprawowania i prezenty znikły z teczek.

Beata dotrzymała obietnicy i przyszła do Koniorów zaraz w piątek. Po bardzo miłym

podwieczorku, w którym wzięli udział także inżynier i pani Leokadia, Beata zatrzymała się jeszcze chwilę w pokoju chłopców, żeby obgadać jakieś szkolne sprawy. Nie było ich wiele, po kilku

zdawkowych zdaniach zapytała szczególnie beztroskim głosem:

- Słuchaj, widzisz się jeszcze czasem z tym... jak mu tam... Bolkiem?
- Z Łysym Bólem?
- Tak, z nim.
- Ostatnio nie, ale mogę go znaleźć.
- Bo wiesz, chciałam iść w niedzielę do kina, a nie mam absolutnie czasu na kupienie biletów, a on podobno jest konikiem. Może by mi załatwił? - trzepała z wdziękiem. - Skontaktuj nas, dobrze?
- Czemu nie, jeśli masz czas jutro po lekcjach, to wpadniemy do „Cichego Kącika”, on tam czasem bywa.
- Świetnie! To ja już lecę! Cześć!... Do widzenia państwu! - zjrzała do rodziców. - Przyjemnej niedzieli!

14 - Klub Kosmohikanów

209

- Do widzenia, dziękujemy, nawzajem! Wpadaj częściej - pożegnali ją serdecznie.
- Chciałabyś mieć taką córę, co? - powiedział inżynier do żony.
- Ba! - westchnęła. - Jeszcze jak!
- Pewnie myśmy się im znudzili! - rzekł ponuro Stefanek do Jarka. - Chłopcy w domu to nic przyjemnego. Tak niektórzy dorośli mówią... Mama Sonia nie, ale niektórzy. Nawet Kaśką i Andulą ludzie się w domu bardziej cieszą... Marzenka też woli sto razy swoją chorą siostrzyczkę od najlepszych chłopaków. Tak nam dzisiaj powiedziała.
- A co, dokuczaliście jej znowu?
- E, tak trochę, tyle co nic. Ona zadziera nosa z powodu tej siostry. Ale my to zbadamy. Nazajutrz po lekcjach Jarek odprowadził Beatę pod „Cichy Kącik” i chciał się wycofać, ale poprosiła go, żeby zagadnął Bola. Weszli więc razem. Bolo siedział przy stoliku, zasłonięty gazetą. Beata zamówiła dwa ciastka i lemoniadę, a Jarek podszedł mocnym krokiem do Bola:
- Cześć! Można się przysiąść?
- Cześć... - odparł pierwszy raz Bolo i poprawił się w krzeselku. - Czemu nie?
- Co słyhać? - spytał mało oryginalnie Jarek. Bolo wzruszył ramionami i milczał. Beata obdarzyła go uśmiechem. Sięgnęła po gazetę.
- Można?
- Proszę bardzo - odparł najwytworniej, jak potrafił.
- O! Grają „Tabliczkę marzenia”! Kiedyś bardzo mi się podobała ta książka. Ciekawa jestem, jak ją sfilmowali.
- Nie czytałem - przyznał się Jarek.
- W którym kinie? - spytał Bolo, żeby nie milczeć.
- W „Rialto”. Lubicie młodzieżowe filmy?
- Zależy jakie. Raczej nie chadzam. A ten o czym? - Bolo wykazał maksimum zainteresowania. Minę miał mocno nienaturalną.

Beata w skrócie opowiedziała główne wątki i miała

210

coraz większą ochotę na film. Jarek podziwiał jej sposób prowadzenia rozmowy.

- Bilety ja załatwię - zaofiarował się Bolo, jeszcze nie proszony. - I tak będę pod „Apollem”. Idzie kasowa komedia - te kina sąsiadują ze sobą, nie straci jako konik. To przynajmniej chciał zasugerować wyrazem twarzy.
- Świetnie! To może na niedzielę, na drugi seans? Masz czas, Jarek?
- Mam...
- Więc do jutra! Oddam ci forszę pod kinem, dobrze? - znów uśmiech dla Bola. - Teraz po ciastkach niewiele mi zostało.
- Drobiazg! - machnął ręką Bolo. PosiedzieU jeszcze chwileczkę, zjedli dziubane po kawaleczku ciastka i Beata wstała.
- Muszę już iść... Dziękuję ci. Cześć!
- Drobiazg... - powtórzył Bolo mniej więcej w stronę lemoniady. - Cześć!...

- Całkiem sympatyczny chłopak - stwierdziła Beata w połowie Kamiennej. - Tylko te włosy trochę mnie denerwują.

Jarek przestał myśleć intensywnie i powiedział:

- Wiesz... jakoś nie mam ochoty na ten film... I mogę mieć gości, całkiem o nich zapomniałem - bujał coraz pewniej. - Może wrócę i powiem Bólowi, żeby dla mnie nie kupował biletu?

- E, po co masz wracać? Najwyżej pójde z koleżanką lub z ciocią - machnęła ręką. - Dziękuję za pomoc! Lece, cześć!

- Cześć! - Jarek uśmiechnął się do siebie znacząco. Znów się dziwił: jeszcze na przykład przed wakacjami nie umiałby się wykręcić od kina, nie wyczułby, co w trawie piszczy... Może się myli... ale chyba nie, dziewczyna chce spokojnie podziękować chłopakowi za pomoc w ważnej sprawie, to jasne. „Gośka powiedziałyby, że dojrzewam

211

i zaczynam widzieć ludzi" - pomyślał, mocno z siebie zadowolony.

Na korytarzu zastał zaaferowane Bratki oraz innych konspiratorów.

- Jarek, sprawdź u was w pokoju, czy jest wybita szyba, czy tylko draśnięta! - poprosiła Jola. - I daj nam znać przez okno.

- A co się stało?

- E, nic, Bogdan trochę strzelał z procy i nie trafił...

- W co miałeś trafić? Polujecie na ptaszki? - zażartował. - To też zadanie Pancernych?

- Żadne zadanie! Strzelałem w okno Królikowskich, ale zmylił mnie ten diabelny balkon i kamyk się odbił w nasze okno... On wie! - uciszył Jolę dającą mu znaki milczenia. - Babcia była wtedy w kuchni, nie wiem, czy zauważyła, że to ja.

- Sprawdź, sprawdź... Po co te strzały?

- A widzisz? Nie wie! - podskoczyła Jola.

- Wiem, że tropicie jakiegoś dzieciaka u Marzenki. Chcecie go tymi strzałami wyciągnąć do okna?

- Właśnie! - wykrzyknął Stefanek. - Ich nie ma i Marzenka też jeszcze w przedszkolu! Jeśli on tam jest, to go zobaczymy!

- On czy ona?

- Ona, dzieciak! Marzenka powiedziała, że ona!

- Skomplikowane macie życie! - uśmiechnął się z wyższością i poszedł na górę. Sprawdzał: okno było całe, miało tylko małą rysę. - W porządku! - zawołał do Bratków. Natychmiast zaczęli fikać po podwórku ze zdwojoną energią. Otoczyli Zosię, która zeszła na dół z kubelkiem śmieci, i tłumaczyli jej coś z zapalem. Nie wyglądała na zachwyconą.

- Zosia nas skrzyczała za to strzelanie - powiedział wieczorem Stefanek do Jarka. - Ona była u Marzenki, ale nie weszła do tego pokoju. Był zamknięty! Wiesz? To są te... no... poszelki, prawda?

212

- Poszelki? - roześmiał się Jarek. - Jakie poszelki?

- No... w śledztwie... - mruknął zawstydzony malec.

- Poszlaki!

- Nie śmieję się! Już nic nie powiem!

- Przecież się nie śmieję poważnie! Opowiedz jeszcze coś o Marzence.

- Nie!

- Co Zosia o tym mówi?

- ... Ciągłe to samo... Że nie wierzy, bo nie widziała. A my zobaczymy! - Bratek odwrócił się na pięcie i już nie chciał się zwierzać.

Jarek pośmiał się jeszcze cicho w kułak i w wyśmienitym humorze zakończył dzień.

Marzenka staje się ważna

Tej niedzieli nie było już mowy o Bigosie Indiańskim. Pani Leokadia uparła się, że sama przygotowuje obiad, na który zaprosiła swą przyjaciółkę, „osobę samotną i skazaną na restaurację”, jak się wyraziła z troską w głosie. Ostatnio rzadko bywała miła, może więc chciała w ten sposób zdusić dzisiaj w sobie grudniowe nastroje.

- No i ty, Soniu, odpoczniesz jak należy...

Mama poszła więc ze Stefankiem na poranek filmowy (Bogdana ojciec nie puścił, zaczął przerabiać z nim dodatkowe zadania z matematyki), a Jarek ruszył na małą przechadzkę po mieście.

Maszerował różnym krokiem, nie przystając nigdzie na dłużej, bo choć jeszcze nie było śniegu ani innych wyraźniejszych oznak zimy, wiał mroźny wiatr przenikający ubranie. W górach musiał już spaść śnieg, były też pierwsze ofiary białego szaleństwa - przed jednym z domów Jarek widział młodego człowieka z nogą w gipsie, wysiadającego z taksówki przy pomocy kolegi. Dziewczyna niosła za nimi złamane narty.

„Ja też tak mogę wyglądać po pierwszym dniu jazdy!” - pomyślał tracąc wiarę we własne zdolności do sportów górskich, które od jakiegoś czasu usiłował odkryć w sobie, w tajemnicy przed Bratkami trenując mięśnie „na sucho”, według wskazówek podręcznika dla początkujących narciarzy pożyczonego z biblioteki miejskiej. Zbliżają się ferie, ambicja każe stanąć na deskach, a wyniki mogą być nieszczerłone. Wyobraził sobie minę Bogdana.

„E, nie od razu Kraków zbudowano! Potrenuję gdzieś w zacisznym miejscu i zobaczymy!” - pocieszył się. Odechciało mu się spaceru, nikogo znajomego nie spotkał, nie licząc Wróbcicy, zawrócił na podwórko. Tu, wśród maluchów, królowała Marzenka wypuszczona na godzinkę z domu. Przyjrzał jej się uważniej. Takie nic, pchła, sześć

214

lat, czarne, duże oczy, rumiane policzki, szalik w kratę i czerwona czapeczka. Dyryguje dziećmi, aż miło, nawet starszymi, od siebie. W trakcie zabawy zerka w okna swego mieszkania - tak niby nieznacznie, ale żeby dzieci zauważyły - macha do kogoś ręką, uśmiecha się. - O, jest! Wygląda! - zawołała w pewnym momencie. Jarek mimo woli też się odwrócił. - Gapy! Już sobie poszła!

A to spryciara! Jarek popatrzył na nią z uznaniem.

- Ona trochę pochodzi i idzie do łóżka. Pochodzi i do łóżka - opowiada „szepem” Marzenka. - Nigdy nie wyzdrowieje. Zawsze będzie się bawić tylko ze mną!

Odchodzi od dzieci, pani Królikowska otworzyła okno w kuchni, zaraz ją zawoła. Maluchy patrzą na nią z niechęcią.

- Ona jest zła, bo zamyka tamtą dziewczynkę i wypuszcza Marzenkę na krótko - stwierdziła Wiesia, sąsiadka Pawłasów.

Zauważyli Jarka i odświętnie ubrany Jędrus Ziębicki pochwalił się nowym autem strażackim:

- Tatuś mi kupił!

- A Agnieszka już wróciła ze szpitala! - zakomunikowała Krystynka. - Ta świeżo urodzona - dodała, bo Jarek nie miał pojęcia, o kogo chodzi. Coś odmruknął niewyraźnie. Poczł się głupio wśród tej gromadki, łypnął oczami po oknach, czy ktoś widzi tę jego „niańkowatą” minę i szybko zniknął w sieni.

Obiad toczył się leniwie, dorośli wiedli nudną rozmowę, chłopcy w milczeniu grzebali w talerzach. Bogdan chciał rozerwać Stefankę, dolewając mu kompotu do zupy, co skończyło się wycieraniem serwetki, swetra, stołu, krzesła i podłogi. Przy deserze Bogdan musiał na żądanie babci popisać się postępani w nauce gry na fortepianie, Stefanek zwał w samą porę.

- Wiesz - powiedział do Jarka rozkładającego się na tapczanie z książką w ręku - Sławek będzie uczył kanarka

215

gwizdać piosenkę Pancernych. Sam już zaczął trenować na glinianym kogucie... Długo trzeba uczyć kanarka? Powiedz.

- Nie wiem, zależy, jaki z niego uczeń.

- Ten nasz klubowy jest jakiś tępy, wiesz? Sławek przedtem gwizdał mu przez kilka dni sygnał TV Katowice, a on nic. Tylko trzy nuty zapamiętał. Te z końca, „la la la”. Przedostatnie.

W stołowym Bogdan ze złością walił w klawisze, co fatalnie odbiło się na zwiewnym walczyku, pani Dońska była jednak zadowolona, klaskała i prosiła o jeszcze. Bogdan odbębnił jakąś etiudę z ćwiczeń, „Ostatniego mazura”, „Kukułeczkę” i pod pozorem napicia się wody umknął do kuchni. Jarek zamierzał spędzić błogo resztę dnia ignorując gości i rodzinę i rzeczywiście aż do piątej nikt mu nie przeszkadzał. A potem przyszła ciekawa nowina o Marzence Kasia (miała grype, dlatego

dopiero teraz), za nią wkrótce Andula, potem Witek, wreszcie pani Awiejska po swe córę. Została, oczywiście, aż do kolacji. Jarek na swym tapczanie przeżywał tortury, podwójne drzwi i radiowa muzyka nie były żadnymi przeszkodami dla fal jej głosu. Wstał, wyjął z apteczki wate i demonstracyjnie zatkał sobie uszy - Andula nie okazała, co o tym myśli, ale na pewno zapamiętała niegrzeczny gest chłopca. Było mu wszystko jedno.

- Niedziela niedzieli nierówna - powiedział w przestrzeń, nie licząc na zrozumienie u malców, Stefanek jednak kiwnął poważnie głową:

- Takie jest życie! - i dla zadośćuczynienia wymogom gościnności poczęstował Andulę jabłkiem. Jarek po raz drugi w tym dniu musiał docenić malucha. Nazajutrz przed lekcjami zapytał Beatę o wrażenia z filmu.

- W końcu poszłam na tę komedię w „Apollo”, bo tamten film już zdjęli! - machnęła ręką. Nie była dziś

216

rozmowna. Dopiero na dużej pauzie odezwała się ponownie do Jarka: - Słuchaj, czy tu w Bielsku są jakieś technika dla pracujących?

- Na pewno są - zdziwił się Jarek. - Nie wiem dokładnie, jakie. Spytaj kogoś tutejszego... A co, chcesz po ósmej klasie zaraz iść do pracy?

- Tak tylko się spytałam - wykręciła się od odpowiedzi. Odeszła w głąb korytarza.

- Beata to świetna dziewczyna - powiedziała cicho stojąca obok Zosia i zaczerwieniła się, a po chwili zaczęła mówić z ożywieniem o sprawach podwórkowych: - Wiesz, dzieciaki mi nie dają spokoju z tą lornetką. I koniecznie chcą jednak jakoś przywołać tę tajemniczą siostrę Marzenki do okna. Uparli się przy strzelaniu... Pomyślałam o tobie, Zbyszek (Opalek jak zwykle towarzyszył Jarkowi), bo ty przecież jesteś sławnym procarzem.

- No, udawało się! - Opalek zrobił skromną minę, bardzo zadowolony. - Ale w co mam strzelać? W jakieś okno?

Streścili mu historię bajan Marzenki.

- Tłumaczmy smarkaczom, że się mylą, ale uparli się i co robić? - podsumował Jarek. - Niech się raz przekonają, że to głupie.

- Tak prawdę mówiąc... ja też widziałam u nich przez okno jakąś dziewczynkę z długimi jasnymi warkoczami-powiedziała Zosia. - Ciocia Karolina zwróciła na nią uwagę, więc też popatrzyłam... Nie było dobrze widać, ale zobaczyłam, jak Marzenka spaceruje z nią po kuchni... obie przytulone.

- A to heca! - Jarek wałnął się w kolano. - Rzeczywiście trzeba będzie to sprawdzić, bo się robi szum na podwórku.

- Właśnie... młodsze dzieci nie mają wyczucia i mogą narobić plotek przykrych dla państwa Królikowskich. Pani Pawłasowa już mi zaczęła zadawać szczegółowe pytania, jak tam wygląda u nich mieszkanie i czy Marzenka jest w domu szczęśliwa...

217

- To co, kiedy to załatwimy? - spytał Jarek. - Może jutro? Kończymy lekcje o godzinę wcześniej. Smarkacze pewnie też będą.

- Dobha, jutho. Przyniosę phocę do szkoły.

- Ale z jakimiś miękkimi pociskami - przypomniała Zosia. - Może jasiem?

- Jakim Jasiem?

- No, fasolą.

- Już ja coś przyniosę, nie mahtwie się! Zaangażowaliście mnie ze sprzętem, nie? - Opalek powiedział to tonem rzemieślnika znającego swe prawa i obowiązki. - Miewam zawodowe tajemnice.

- Ale gdyby to była prawda... - pokręcił głową Jarek. - No, no, tego chyba na Kamiennej jeszcze nie było?

- Biedny ten dzieciak, jeśli on tam jest naprawdę. Pół dnia samiutki, przez resztę też go ukrywają... Marzenka twierdzi, że jest u nich od niedawna, po szpitalu, ale zamknięcie jest zamknięciem... Może dałoby się coś dla niego zrobić... - Zosia odeszła do klasy, przywołana przez Beatę. Chłopcy zostali jeszcze na korytarzu. Zabrział dzwonek na lekcję, ale nie spieszyli się, nauczyciel nie

nadchodził.

- Zosia kiedyś będzie pielęgniahką albo wychowawczynią. Ona przynajmniej wyhaźnie się zapowiada... Bo my! - machnął ręką Opalek, nastrojony refleksyjnie. - Bawi się człowiek, szuka hożhywki, strzela z phocy, hośnie wzduż i wszecz i co? Inni tymczasem myślę... Dawniej w siódmej klasie już zmuszali ludzi do hożmyślęń o tak zwanej dhodze życia, a teħaz mamy jeszcze ósmę przed sobą.

- W sam raz dojrzejemy! Moħe będzie mniej pomyłek.

- Ćeby się teħ i dohośli nie mylili! Moi chcę mnie ostatnio poślę do technikum włókienniczego. Na ħazie nie czuję powołańia!

- Co to za rozrabianie pod klasę? - zaskoczył ich

218

nauczyciel. - Macie po dzwonku siedzieć w ławkach, regulamin chyba jasny, co? Bo zapiszę do dziennika!

Tym samym zagroził skaczącym przez ławki Muszkieterom. Jarek zaczął się zastanawiać, czy właściwie lubił kiedykolwiek chemię.

Wracali ze szkoły w trójkę.

- Zauwaħyliście, że dziś była pierwsza lekcja wychowawcza bez żadnej aluzji do mojego zachowania czy wyględu? - zdziwiła się Beata. - Przyzwyczaili się do mnie czy co? A moħe przyczaili się po prostu, bo ja się nie zmieniałam. Czekają na większą awanturę.

- Chyba mają co innego do roboty - uśmiechnęła się Zosia. - Oni przecieħ cieszą się, kiedy jest spokój...

- Ale teħ lubię sensacje, moja droga! Muszę coś wymyślić!

- Tylko Ćeby Bolo był w pobliżu - mruknął Jarek. Beata nastroszyła się, lecz po chwili parsknęła śmiechem i poklepała go po plecach:

- Ciesz się, żeś powiedział dowcip! To już wasza Kamienna! Ćegnam!

- Ćeść!

- Co to? - zdziwił się Jarek przystając w korytarzu. Zza otwartych drzwi z mieszkania Tubów wyplęwały dźwięki podobne do fałszującego radiowego śpiewu, przerywanego posapywaniem i jakby czkawkę.

- To pani Tubowa - stwierdziła Zosia. - Ona bardzo rzadko śpiewa. Musiało się stać coś miłego... Moħe Tuba wrócił?

Tubowa ukazała się w progu, zgięta we troje. Wycierała mokrę ścierkę podłogę, stędu urozmaicone efekty w piosence.

- Dzień dobry! - powitała ją Zosia. - Jak się czuje pani męħ?

- A dobrze, dobrze... Pojutrze wraca - odparła życzliwie Tubowa prostując swe obszerne plecy.

Przetarła dru-

219

gę ściereczkę drzwi i zamknęła je bez trzaskania. Znowu zanuciła trudną do zidentyfikowania melodię.

- Przedwczoraj trzepała materace i wietrzyła całą pościel. Pomalowała teħ z zewnętrż ramę okiennę. Zawsze męħem dyrygowała, a tu takie przygotowania! -dziwił się Jarosław Młody. Zosia nic nie powiedziała, uśmiechnęła się tylko po swojemu i poszła do oficyny.

Znowu niezłe perspektywy...

Akcję przygotowali starannie, wykluczając z niej maluchy, tylko Stefanka, Anduli i Krystynki nie wypadalo spławić. Przy podziale ról omal nie doszło do bijatyki -wszyscy chcieli czuwać na korytarzu oficyny z lornetką w ręku.

- Czas leci, a wy się kłóćcie! - wrzasnął w końcu zdenerwowany Jarek. - Wybierzemy komisję i już! Zosia... bo jej lornetka, Leszek Wojacek, bo niezaangaħowany zanadto i nie zobaczy, czego nie ma, dalej... na przykład ktoś z młodszych, Krystynka, i ktoś ze starszych, czyli ja! Koniec!

Reszta obstawia i robi tłum na dole, Ćeby się nikt obcy nie zorientował... A Jola idzie do domu i odciąga matkę od okna.

- O, aleś podzielił! Sprawiedliwie! - Kaška wydeła usta. - Ze średnich nikogo nie wybrał!

- No, to jeszcze ty, bo narobisz plotek! Lepiej, żebyś widziała!
 - Jak ona, to ja też! - zażądał Witek. -1 Bogdan!
 - O hany humsztyk! Czy można w tych wahunkach phacować? - zdenerwował się Opałek lustrujący teren. Przycichli, był tu obcy i najważniejszy w akcji. - Chłopaki, ghajcie w nogę i niby przypadkiem wkopcie piłkę na ten muh, jak dam znak! Tam jest dach jakiejś szopy z sąsiedniego podwóhka, wyleżę i strzelę pahe hazy... Stąd, z dołu, balkony przeszkadzają.
 - Właśnie! - przytaknął Bogdan.
- Już się nie kłócili, tylko Jola wzdychała, ale kto mógł jej matkę łatwiej odciągnąć od okna niż ona? Poszła więc do domu prosząc o dokładny opis twarzy tej tajemniczej dziewczynki.
- Wszyscy na stanowiska! Zaczynamy! - zakomenderował Jarek. Rzucił okiem na ekipę i ostatni skierował się

221

do oficyny. Na schodach siedziały naburmuszone szkraby.

- Bawcie się sami! - powiedział Wojtuś Ziębicki. - My i tak pójdziemy do Marzenki na podwieczorek!
 - Bo nas zaprosiła, a was nie! - dodała Wiesia. Jarek zatrzymał się wpół kroku.
 - Kiedy was zaprosiła?
 - Wczoraj!
 - A kiedy do niej pójdziecie?
 - Pojutrze! Pokaże nam swoją siostrę! Tak powiedziała!
- Jarek wyskoczył na podwórko.
- Stop! Akcja stop!
 - Co znowu? - Opałek wisiał niewygodnie, jedną nogą na murze, drugą już oderwał od postawionej ławki. Kopiający piłkę chłopcy podśmiechiwali się cicho. - Chodź tu bliżej pod muh, nie będę dziesięć hazy schodził!
 - Zawołaj tych z oficyny - Jarek wysłał Stefanka. Kiedy wszyscy się zeszli, powiedział o zaprosinach Marzenki. - Myślę, że możemy poczekać na raport maluchów. Zobaczą ją z bliska.
 - To świetnie - odetchnęła Zosia. - Takie strzelanie mogłoby się rozmaicie skończyć.
 - Nie masz do mnie zaufania? - obraził się wciąż wiszący niewygodnie Opałek.
 - Och, nie o to mi chodzi! Myślałam...
 - Więc odwołujemy - wpadł jej w słowo Jarek. - Szkoda czasu.
 - Odwołujemy, co robić!
 - Kogo Marzenka zaprosiła? - Andula zaczęła się wdzięczyć do maluchów. - Tylko was?
 - Tylko!
 - Zobaczymy...
 - No, nas tam na pewno nie przyjmą-mruknął Jarek. -Koniec zabawy młodzieżowej, dzieci zostają na parkiecie... Ale złożycie nam raport - przykazał Stefankowi.
 - Jasne!

222

Opałek wreszcie znalazł się na ziemi z miną wyjaśniającą, że lubi od czasu do czasu popatrzeć chwilę na krajobrazy dwóch sąsiadujących podwórek.

- Jak się imphezy odwołuje, to niektórzy żądają zwhotu kosztów - zauważył otrzepując spodnie. - Niektórzy -podkreślił. - Ja tobym podbudował zapas kalohii jakimś pączkiem... Może ktoś skoczy do „Ciczego Kącika”?
- Ale akcja już rozwiązana, to i słuchać pana Opałka nie trzeba. Nikt z młodszych nie zamierzał się ruszyć, starszym zaś nie wypadało.
- Chodź, Leszek, dociągniemy jakoś do obiadu!
 - Dziękujemy wam! - powiedziała prędko Zosia. -Fatygowaliście się na próżno, ale takie rozwiązanie chyba jest lepsze?
 - Dhobiazg, przecież nikt tu do nikogo nie ma phetens-ji! Chodź, Leszek... Polecamy się na przyszłość!

- Chyba się nie obrazili? - zaniepokoiła się Zosia. -Zbyszek tak jakoś dziwnie odszedł...
- E, dlaczego miałyby się obrazić? Głodny, to zły.
- Spodnie mu trzasły - wtrąciła Andula.
- Nie bądź taka podglądalska i podsłuchiwała! -przegonił ją Jarek. Mimo woU trochę go rozśmieszyła niefortunna rola Opałka, ale smarkacze nie muszą tego zauważyć. Pożegnał się z Zosią i pognął do domu po trzy stopnie - było jednak porządnie zimno. Może nareszcie spadnie śnieg? Połowa grudnia za pasem...

Kończyli obiad, gdy przyszła Zosia, mocno czymś uradowana, choć starała się to ukryć. Porozmawiała o tym i owym z matką Jarka, pokręciła się trochę po kuchni i wreszcie powiedziała niby obojętnie:

- Będziemy mieć w tym roku wesołe święta... Przygotujemy z mamą mnóstwo dobrych rzeczy... Brat do nas przyjedzie. Jest marynarzem, wie pani? To znaczy, na ostatnim roku szkoły morskiej... Właśnie przysłał list... pierwszy od kilku lat... - zaczerwieniła się, widocznie to ostatnie zdanie wyrwało jej się przypadkowo. Pani Konio-

223

rowa nie zna przecież jej kłopotów domowych i nie musi znać. Uśmiechnęła się teraz do dziewczynki ze zrozumieniem i nie pytała o nic więcej, powiedziała tylko:

- Cieszę się razem z tobą... Upieczesz coś z tych ciast, według naszych obgadanych przepisów?
- Oczywiście! - promieniała Zosia. -Wypróbuję któryś na najbliższą niedzielę i przyniosę pani do spróbowania!
- Jaką twój brat wybrał specjalizację? -zainteresował się Jarek, syn kapitana przecież.
- Nie wiem, wszystko nam opowie... Może wpadniesz kiedyś do nas, jak będzie? To porozmawiacie sobie... Ja się zupełnie na morskich sprawach nie znam, chociaż przeczytałam wszystkie książki, jakie Tolek zostawił w domu.
- Jeśli chcesz, to mogę ci pożyczyć inne i poobjaśniać.
- Dobrze! Pożycz mi na początek coś łatwego. Nie chciałabym okazać się w rozmowie z nim kompletnym cielakiem!

Następnego dnia na trzeciej lekcji trzeba było zapalić światło w klasie, takie chmuryzyska zasnuły niebo. Zanosilo się na pierwszy śnieg i Antonowna w rozpaczliwym natchnieniu zaczęła uczyć siódmaków rosyjskiej piosenki o ślizgawce, bo inaczej nie zdołałyby oderwać ich uwagi od okien. Śpiewali właśnie gładko pierwszą zwrotkę, gdy białe płatki gęsto zawirowały nad boiskiem. Co wrażliwsze dziewczyny poddały się nastrojowi chwili, rzewnie zawodząc wesołą przecież melodię. Urbańska, dotąd nie posadzana o sentymentalizm, uśmiechnęła się czule do nauczycielki i stwierdziła:

- O, wyśpiewaliśmy zimę!

Łagodnej z natury nauczycielce bardzo się to spodobało.

Zaraz po dzwonku na przerwę chłopcy rzucili się do okien sprawdzić, czy dużo śniegu napadało i czy można będzie zainaugurować sezon uczciwą bijatyką.

- E, nie maco zbiehać! - stwierdził Opałek. -Najwyżej po płatku dziewczynom za kołnierzyki! Muszkietierowie podchwycili pomysł i zrealizowali go

224

dokładnie, nie oszczędzając żadnej z koleżanek. Pisk, wrzask, śmiech. Gorzej wyszła na tym podłoga i ucho Heńka, które zdążył pochwycić tercjan Fijołeczek, przemierzający szkołę w cichych filcowych kapciach.

- On powinien nosić stale dzwonek na pasku! - wzdychał Heniek, przez całą następną lekcję masując obolałe ucho.

Augusta Mocnego nie rozczuliły pierwsze uroki nowej zimy, rzucił tylko aluzję do ciężkich warunków odwrotu spod Moskwy, jakie zafundował Napoleonowi sławny generał Kutuzow. Rysiówna próbowała podtrzymać temat zachwytem nad aktorką Audrey Hepburn w amerykańskiej wersji filmowej „Wojny i pokoju”, którą oglądała kiedyś jej najstarsza siostra, ale nauczyciel nie dał się nabrać. Musiała, biedaczka, wypowiedzieć się na zadany przez niego temat i omal nie wróciła

na miejsce z dwóją. W porę dosłyszała zgrabną odpowiedź wiernej Kuszec-kiej, co ją uratowało. Był też pytany Leszek Wojaczek, jemu nikt nie pomógł, bo nauczycielowi wróciła zwykła czujność. Nieśmiały chłopiec nie miał odwagi próbować ratunkowej improwizacji, wołał od razu przyznać się, że nie jest przygotowany.

- Ja zawsze mam kłopoty z historią - tłumaczył się na przerwie Opałkowi i Jarkowi. - Nie umiem dużo mówić.

- W zeszłym hoku wyciągnęliśmy cię na czysto (Opałek nie miał w tym wielkiego udziału, ale skąd na przykład Jarek miałby o tym wiedzieć?), to i teraz nie damy ci zginąć mahnie. Zrobimy konsultację przed północą i gotowe. Ktoś ci zhefehuje - tu spojrzął z nadzieją na Jarka, potem na podchodzącą do nich Zosię. Spytał szarmancko: - Czy nie potrzebuje pani mego hamienia uezbh-jonego w phocę?

- Na razie nie, dziękuję panu!

- Szkoda! Śnieg jeszcze do niczego, nie można iść na sanki. Chciałbym mieć znowu jakąś hozhywkę. - Ktoś go

15 - Klub Kosmohikanów

225

potrafił. - Czego włazisz pod nogi? A, to zdaje się twój bhat?

Bogdan wraz z tym podejrzanym dla Jarka kolegą przeszli obok nich bez słowa, traktując Jarka jak powietrze.

- On zawsze taki nadęty? - zdziwił się Opałek. - Sphał-bym go haz porządnie i tyle. Mam tylko siostrę, ale z bhatem też bym dał sobie hadę.

Jarek nic na to nie powiedział, uśmiechnął się jakoś niewyraźnie. Ciągle miał nadzieję, że do rękoczynów w rodzinie nie dojdzie, chwilami jednak z trudem znosił miny i odzywki Bratka.

Owocny spacer i tajemnica Marzenki

We czwartek powiały jakieś cieplejsze wiatry, pierwszy śnieg stopniał, wylazły spod niego rozmaite szarości, śmieci, miejskie błotko. Dorośli narzekali na gwałtowną zmianę pogody, pokwękowali, przepowiadali nawrót grypy. Młodzież smętnie spoglądała z okien szkoły na ponure podwórze, nikomu nie chciało się cieszyć życiem na kolejnych pauzach.

Jarek najchętniej spałby cały dzień, ale mając w perspektywie narty, już od początku grudnia przygotowywał się do ferii prowadząc sportowy tryb życia - nie wypadało więc zrezygnować ze spaceru. Samotna włóczęga po mieście nie uśmiechała mu się jakoś, pomyślał o Opałku.

Okręglemu, ospałemu Zbyszkowi drobna przechadzka nie zaszkodzi. Tak się jakoś złożyło, że nie był jeszcze u niego w domu, nie znał nawet dokładnego adresu. Opałek mieszkał gdzieś niedaleko szkoły, „tam, gdzie Bohatehów za-kehca nad rzeką, tylko od podwórza” - jak kiedyś przy okazji określił opisowo. Jarek doszedł do tego miejsca, postął chwilę wsparty o balustradę nad rzeką, Białą z nazwy, lecz dziś fioletową w kolorze, i zastanowił się, który to może być dom i brama. Podszedł na chybił trafił do rogu budynku i już nie musiał szukać, dobiegł go z głębi podwórza znajomy hałas:

- Chohoba! Zbiehaj to! No zbiehaj, mówię! Nie? To ja cię jeszcze kiedy dohwę! - Zbyszek w dresie purpurowiał o kilka kroków od śmietnika z pustawym wiaderkiem w rękę i kupką śmieci u stóp.

Kilku młodszych chłopaków kotłowało się kawałek dalej, nie zwracając uwagi na jego groźne okrzyki. Opałek westchnął, znalazł ułamaną deseczkę i zgarnął wysypane śmieci do wiaderka.

- Też miałem wczoraj sprzątanie - pocieszył go Jarek stając obok.

227

- Na ogół mam siostrę od tych rzeczy, ale zbuntowała się, smahkata. Szukałeś mnie czy tak przypadkiem?

- Szukałem właściwie... Nie przeszedłbyś się ze mną po mieście? Tak sobie, dla zdrowia.

- Ja też dbam o zdrowie i nie lubię thacić za dużo enehgii bez powodu... Ale z tobą się przejdę, czemu nie! -był zadowolony z wizyty Jarka, czego nie chciał okazać zbyt wyraźnie. - Zaniosę tylko sprzęt... Zaczekasz tutaj? W domu mama hobi phanie, a to niemiłe zajęcie.

- Zaczekam, nie pali się.

Zbyszek coś długo nie wychodził, wreszcie wybiegł z sieni, jakby go ktoś gonił.

- Uff! Jak się niehaz kobieta hozgada, to hany humsz-tyk! Zawsze coś w człowieku znajdzie nie w porządku. I zahaz wymyśli zadanie! Muszę skoczyć do ślusarza po odbiór nowych kluczy.
- Mówiłeś przecież, że nie lubisz tracić energii bez powodu. Mamy teraz cel przechadzki.
- Dobrze, że tylko jeden! Chciała mi jeszcze coś... W nogi! - rąco ruszył za róg domu, Jarek nie spiesząc się poszedł za nim.
- Zbyszek! Zbyszeek! - wołała daremnie pani Opał-kowa wychylona z okna. - Zaczekaj, ty łobuzie!
- No, udało się! - odsapnął wyrodny syn za kioskiem „Ruchu”. - Tu już wysłana thopem siosthunia nie doleci!
- Nie widzę, żeby cię ktoś ścigał.
- Zdarzało się, ja tak na wszelki wypadek... Nie chcę cię mahtwić, ale ten ślusarz mieszka dosyc daleko. To znajomy ojca i miał klucze załatwić od hęki... a tu już dhugi haz ganiają mnie do niego. Jakiś mało słowny. Jak dzisiaj też nawali, to wyślę siostrę, nie mam zdhowia!
Szli wolniutko, dotleniając organizmy, leniwie obgadywali rozmaite szkolne sprawy. U wylotu jednej z uliczek pod zamkiem mignęła im Beata z jakimś blondynem u boku. Dźwigał jej kolorową torbę. Zbyszek spojrział spod

228

oka na Jarka, ale nie zabrał głosu. Marcinowski miał minę neutralnie-nieobecna. Znajomy ślusarz tym razem nie zawiódł. Ledwie wyszli z kluczami z warsztatu, zatrzymała się przy chodniku taksówka i chudy, blade jegomość radośnie zahuczał basem:

- Zbycho! Co ty tu robisz? Siadaj, do was jadę!
- Wujek! - podskoczył Opałek. - Ale schudłeś! Puścili cię?

Parę osób zatrzymało się wietrząc sensację.

- Ano, zdarza się, że i ze szpitala ludzie wychodzą! Siadaj!

Trzask drzwiczek, taksówka ruszyła ostro. Opałek z wrażenia zapomniał pożegnać się z Jarkiem, chciał zawrócić i zabrać go, taksówkarz zwolnił, ale Marcinowski już gdzieś zniknął, nie mogli go przecież szukać. A Jarek postanowił skrócić sobie drogę powrotną i skręcił na pokryty gruzem placyk powstały po wyburzeniu dwóch starych domów. Pod murem kamienicy naprzeciwko spostrzegł Bogdana. Bratek z teczką pod pachą stał wraz ze znanym już Jarkowi „nikotynowym” kolegą pod otwartym oknem parteru, z którego wychylał się starszy chłopak z papierosem w ustach. Mówił coś do nich ostrym tonem. Jarek zatrzymał się w pobliżu, nie tak blisko jednak, by słyszał rozmowę. Do stojącego w oknie podszedł jeszcze starszy młody człowiek, wypowiedział się półgębkiem i rzucił koledze Bogdana coś, co mogło być kartką papieru lub paczką papierosów. Po skwapliwym ruchu, jakim przyjęto ten dar, oraz z głupiej miny Bratka, który go wreszcie spostrzegł, Jarek wywnioskował, że to raczej papierosy. Stał spokojnie i czekał, co zrobi Bogdan. Bratek wahał się przez chwilę, pospluwał trochę pod nogi i pożegnał się z kolegą. Przebiegł obok Jarka bez słowa, zwolnił i szedł do domu po drugim chodniku, demonstracyjnie głośno pogwizdując. Gdy Jarek przyspieszał, ruszał biegiem, aby wyprzedzić go o parę kroków. Dopiero

na
229

schodach udało się Jarkowi go dopaść, bo Sławek miał jakiś pancerniacki interes.

- Pogadamy! - syknął Jarek przechodząc koło nich. Zaczekał pod drzwiami. Bogdan nie dopuścił go do głosu dzwoniąc jak na alarm.

Wyjątkowo cała rodzina była w komplecie.

- Chłopcy! Co się z wami dzieje? Czekamy wszyscy z obiadem - powitała ich z wyrzutem matka. - Muszę odgrzewać. Myjcie ręce!

- A, jesteście - stwierdził inżynier i złożył gazetę. -Macie szczęście, kolega solenizant poczęstował mnie ciastkami, inaczej bym z wami pogawędził, gdyby mi burczało w brzuchu! - zażartował. - Bogdan, choćbyś nie wiem jak udawał, ojcowskiego oka nie zmylisz. Coś przeszkobał?

- Ja? Nic! - oburzył się Bratek rzucając szybkie spojrzenie na Jarka. - Możesz spytać wychowawczyni!

- Masz minę winowajcy... Więc w szkole w porządku, tak?

- Tak.
- A w domu?
- Nie broił ostatnio, muszę przyznać - wtrąciła matka. - Komu dolać zupy?
- Pani gospodyni jak zwykle torpeduje śliskie rozmowy rodzinne tematyką kulinarną! Cóż, poddaje się i proszę o receptę. Z pieprzem. Ciastka wzbudzają apetyt na rzeczy ostre i pikantne.
Dorośli żartowali tak do końca obiadu, nawet pani Leokadia miała świetny humor i Bogdanowi nic już nie zagrażało z ich strony, Jarek jednak nie zrezygnował. Gdy Bratek chciał wymknąć się do Witka, zatarasował drzwi i syknął:
- Wracaj do pokoju! Bo narobię hałasu, a po co psuć im dobry nastrój? No?
Bogdan wrócił niechętnie. Stał przy oknie z rękami w kieszeniach i nie zamierzał zaszczycić Jarka spojrzeniem.

230

- Czego chcesz? - spytał przez szybę.
- Dobrze wiesz, o co chodzi. Co to za towarzystwo, ci dwaj z okna?
- Znajomi!
- Twoi znajomi czy tamtego, który z tobą był?
- Nasi znajomi, jeśli chcesz wiedzieć! Nie czepiaj się!
- Skąd ich znasz?

Bogdan wzruszył ramionami i milczał.

- Pytam, skąd masz takie znajomości?
- A co, nie podobają ci się? Nie poznam cię z nimi, nie martw się!
- Ślicznie wygląda taka zebranka pod oknem i czekanie na ochłapy!

Tym razem Bogdan milczał dłużej.

- Nic mi nie powiesz? Czekam - odezwał się Jarek po chwili. Bogdan odwrócił się gwałtownie od okna i krzyknął:

- Odczep się, dobrze? Nic mnie nie obchodziło, że zadawałeś się z Łysym Bólem! To ty się też nie czepiaj moich znajomych! Szpicel!

Wydawało się, że skoczy na Jarka, ale pohamował się jeszcze. Ze wzmianki o Bólu Jarek wywnioskował, że Bratek musiał zawrzeć znajomości nieco podejrzanę.

- Będę cię miał na oku, pamiętaj! - zapowiedział groźnie. - Nie jestem zapracowanym ojcem, znajdę czas!

- Proszę bardzo! - prychnął Bratek. - Pożałujesz tego! Musieli przerwać „dyskusję”, bo do pokoju wpadł podniecony Stefanek ciągnąc za rękę mamę Sonię.

- Bo się spóźnię! A to nie wypada na taki pierwszy podwieczorek, prawda?

- Oczywiście! Ale na pewno się nie spóźnisz, synku, masz jeszcze pół godziny. Do Marzenki dwa kroki.

- Czy ja muszę włożyć garnitur? I krawat? I skropić się? Po co? Nie lubię! - zmarszczył nos. Przez ramię mamy Soni krytycznie lustrował wnętrze szafy.

231

- Nie cierp tak strasznie, dam ci ten popielaty sweterek do białej koszuli i bordową aksamitkę pod szyję.

Rozbawiony Jarek spod oka obserwował toaletę najmłodszego. Napięcie wywołane sprzeczką z Bogdanem minęło, mógł pożartować:

- Ho, ho, taki elegant! Nie opędzisz się od dziewczyn na tym przyjęciu!

- Wcale mi nie zależy! - odciął się Stefanek. Nieufnie spojrzął w lustro. - No, ujdzie... W garniturze tobym nie poszedł - stwierdził kategorycznie. Łaskawym okiem popatrzył na braci. - Opowiem wam o tej siostrzyczce, nie bójcie się! - zapewnił konspiracyjnym szeptem i wybiegł z pokoju.

Wieczór upływał w ciszy, wypełniony odrabianiem lekcji i lekturą. Czasem Jarek słyszał lekkie tupoty w mieszkaniu Królikowskich, na zmianę z piskiem Lofika, uśmiechał się wtedy pod nosem na myśl o pełnych poświęcenia i rezygnacji minach rodziców Marzenki.

Stefanek wrócił po dwóch godzinach, płonąć Sensacyjnym Świętym Oburzeniem, które wyładował przed braćmi, dorosłych kwitując stwierdzeniem, że „było fajnie”.

- Pewnie, było fajnie, na początku! - powiedział chłopcom. - Ale wszyscy chcieli zobaczyć tę siostrzyczkę i Marzenka zaczęła robić miny. Że chorych nie wolno denerwować i coś w tym rodzaju. Dopiero jak pani Królikowska do nas zajrzała i zdziwiła się, że Marzenka nie chwali się nam Małgosią, to nie było już wyjścia i zajrzeliśmy do tego stale zamkniętego pokoju. Tu, nad naszym... Była tam!

- O! - zdziwił się Jarek.

- Zaraz się dowiesz, zaczekaj! - Stefanek podskakiwał na kanapie. - Staliśmy na progu i patrzyliśmy. Leżała na tapczanie, przykryta kołdrą! Tak trochę bokiem. Z długimi jasnymi warkoczami! Marzenka powiedziała, że śpi i mamy już sobie iść. No to wróciliśmy do pierwszego pokoju, tylko Lofik się gdzieś zaplątał. I jak trzeba się już

232

było żegnać, to Andula zaczęła go szukać, a on zaczął szczebrać w tym zamkniętym pokoju i jak tam wpadliśmy, to właśnie skakał po tapczanie i przekręcił Małgosię, że wisiała głową na dół i Jolka krzyknęła, i wtedy okazało się, że to... lalka! Małgosia to ogromna lalka! Taka wielka jak Marzenka! - na zakończenie tej sensacyjnej relacji Stefanek podskoczył najwyżej, jak umiał, a potem machnął koziołką. Usiadł. - Marzenka miała głupią minę i zamknęła się w łazience, i musieliśmy już iść sobie z podwieczorku. Chytra ta Marzenka, co? Cyganka! Tak nas nabrała! Wszyscy są źli.

- Była z wami Zosia? - spytał Jarek.

- Nie, musiała coś załatwić dla którejś cioci... Zawsze broniła Marzenkę, a teraz się dowie, jaka z niej cyganka! Tamci nie chcą się już z nią bawić.

- A ty?

- Mogę! - Stefanek wzruszył ramionami. - Ale po co?

Mało chłopaków?

Sposób na Bratka

- Biedulka! - westchnęła Zosia, gdy Jarek nazajutrz w szkole zrelacjonował jej przebieg podwieczorku u Marzenki. - Spróbuję przekonać dzieci, żeby jej nie dokuczały...

Stali na korytarzu pod klasą. Muszkieterowie, znowu snujący się gęsiego po budynku, otoczyli rozmawiających i Heniek wzniósł gromki okrzyk:

- Niech żyje nowa kapitanowa!

Zosia oblała się rumieńcem, a Jarek puścił w ruch pięści. Jeden z Muszkieterów w odpowiedniej chwili dostrzegł nadchodzącego dyrektora i bractwo rozbiegło się na wszystkie strony. Zosia cicho wsunęła się do klasy, starając się nie widzieć uśmiezków koleżanek. Jarek mężnie został na placu.

- Wiesz, że Beata znowu z kimś innym chodzi? - poinformowała go Kuszecka. - Joaśka widziała.

- Z takim jakimś blondynem! - uzupełniła skwapliwie Joaśka.

- Kiedy wy zaczniecie wreszcie myśleć o czymś poważnym? - rozżłościł się Jarek. Dla rozładowania nerwów zaczął rozmawiać z Opałkiem o nadchodzących feriach.

- Jadę do Hajczy na zimowisko - oznajmił Zbyszek. - Góhskie powietrze dobrze hobi na apetyt...

Sanki też.

- A na nartach nie jeździsz? - spytał Jarek tonem lekko zdziwionym, jak przystało na Teoretyka Narciarstwa, którym był od dwóch tygodni. - To przecież wcale nietrudne.

- Nie, jasne, że niethudne! Tylko ja się lubię zamyślać, a na stojąco i z góhki to haczej niezdhowo! Pani Zalewska poprosiła klasę o pomoc przy rozpakowywaniu nowych książek w bibliotece, trochę się więc dzisiejsze zajęcia przeciągnęły, ale Jarek na rogu Kamien-

234

nej machnął ręką - i tak jest spóźniony, skoczy na chwilę pod to podejrzone okno, może dowie się czegoś bliższego o znajomkach Bogdana. Po obiedzie może nie będzie mu się chciało, a warto coś zrobić w tej sprawie.

Na placu nie było nikogo, w oknie też pusto. Jarek wdrapał się na kupę cegieł, niby to czegoś wśród nich szukając, i zerknął do podejrzanego lokalu. Niewiele z tej odległości zobaczył - kawałek szafy, wewnętrzne drzwi, półki i obrazek nad nimi. Ani śladu mieszkańców. To go ośmieliło. Podszedł i wspiął się po podmurówce. Brak firanki wywoływał wrażenie, że to nie mieszkalny

pokój, tylko półurzędowe pomieszczenie na tyłach zamkniętego na sztabę sklepu czy składu. Za pierwszym razem nie zauważył, czy był otwarty i co się w nim mieści.

- Szukasz kogoś? - usłyszał za plecami. Odwrócił się gwałtownie. Poznał najstarszego z podejrzanych znajomych Bogdana. Ten przyglądał mu się uważnie małymi czarnymi jak węgle oczkami. - No? Pytam się?

- Nie, przechodziłem tędy! - odparł obojętnie.

- No, to przechodź dalej! A niekoniecznie po ścianach -mruknął czarnooki i dopilnował, by Jarek bez zatrzymywania minął kamienicę.

Za najbliższym rogiem Jarek puścił się biegiem - naprawdę matka może być zła, a obiad zimny. Ale nikt nie robił mu wyrzutów. Cały dom był poruszony zniknięciem Marzenki. Skrzyczane przez Zosię maluchy tkwiły smętnie na klatce schodowej, Krystynka Ziębicka pociągała nosem.

- A... przyszła do nas na podwórko i dzieci zaczęły się wyśmiewać - niechętnie wyjaśnił Jarkowi pogrążony w wyrzutach sumienia Stefanek. - No, to odwróciła się i uciekła. Myśleliśmy, że do domu, a ona na ulicę... Państwo Królikowscy szukają jej razem z milicją...

Znalazła się po trzech godzinach.

Stefanek chodził z kąta w kąt jak struty, a po kolacji zwierzył się Jarkowi:

235

- Ja nie wiedziałem, że ona aż tak bardzo chce mieć kogoś w domu... Zosia poradziła nam, żebyśmy odwiedzali Marzenkę i udawali, że nic się wielkiego nie stało, że to była taka zabawa w Księcia Piknika i w siostrzyczkę... Każdy może mieć swoje Pikniki. Prawda?

- Jasne... - mruknął zdawkowo Jarek pogrążony w lekturze listu od Kosmohikanów. Pełen był Gośki uwag o życiu, zakończonych wykrzyknikami. Ona też wplątała się w koleżeńsko-sąsiedzka historię, na razie jeszcze bez finału, nie chciała więc jej streszczać. Niektóre fragmenty listu Jarek odczytał głośno całej rodzinie. U Borzęckich specjalnie nic nowego, tylko Adzik złamał rękę koleżance z podwórka, ratując ją w zabawie z pirackiej niewoli, i cierpi bardziej niż sama poszkodowana. Nosi dwie teczki do i ze szkoły, czuwa, żeby nikt jej nie potrafił, pomaga w lekcjach i koniecznie chce być przy zdejmowaniu gipsu, żeby sprawdzić, czy nie ma powikłań. Te powikłania spać mu nie dają, męczy ojca pytaniami o różne ich rodzaje i sposoby leczenia. Matka spogląda nań z nadzieją, że może odziedziczył po ojcu skłonności do medycyny i przynajmniej jedno z dzieci nie marzy o zawodzie pilota-kosmonauty czy badacza głębin morskich. Kiedy dała wyraz tej nadziei, Adzik odparł spokojnie, że przecież w kosmosie oraz na dnie oceanów lekarze są jak najbardziej potrzebni i niech się nie łudzi, że on będzie szukał spokojnego życia.

- Pewnie - skomentował ten fragment listu Stefanek i zadumał się głęboko. Dziewięcioletni Andrzej Borzęcki zaimponował mu wielce, siłą w rękach także. - A nie piszą, co chcą robić w czasie ferii? Nie lubią niewysokich gór? - spytał po chwili.

Jarek wymownie spojrzął na matkę. Uśmiechnęła się tajemniczo, mrugnął więc uspokajająco do najmłodszego Bratka i szepnął:

- Czuję, że coś się do świąt wymyśli!

Na razie trzeba było coś wymyślić w sprawie Bogdana.

236

Jarek postanowił odszukać Bola i zasięgnąć języka, może zna tych ludzi. Warto wiedzieć, co zagraża Bratkowi. Głowił się, co zrobi, gdyby Bolo był nieuchwytny w „Cichym Kąciku”. Do koników pod kinem nie chciał się zwracać, licho wie, czy zechcą go prawdziwie poinformować... Wielogodzinna penetracja rozmaitych zakamarków dzielnicy nie uśmiechała mu się przy kiepskiej pogodzie. Ostatnio nie widywał jakoś złotolokiego młodziana, może mu się coś przytrafiło i wszedł w kolizję z prawem? Ciężka sprawa... Oczywiście, zacznie jutro od „Cichego Kącika”, może akurat będzie miał szczęście.

Ale nazajutrz w szkole co innego przyszło mu na myśl -kiedyś skontaktował z Bólem Beatę, może dziewczyna wie coś o nim?

- Beata, czy ty przypadkiem nie wiesz, gdzie można spotkać Łysego Bola? - zaryzykował. - Teraz ja się ciebie pytam o niego. Mam ważny interes.

- Przypadkiem wiem... to znaczy, mogę wiedzieć. Zależy ci na czasie?

- Raczej tak, chciałbym to już załatwić.
- No, to wpadnij do mnie dzisiaj, koło piątej, dobrze? Wiesz, gdzie mieszkam?
- Mniej więcej. Jak jesteś w spisie lokatorów, to znajdę.
- Po co masz szukać? Proszę - zapisała mu adres na zeszyty. - Tylko dzwoń trzy razy, to jest wspólne mieszkanie.

- Dobra! Wpadnę na pewno!

Punktualnie o piątej zadzwonił trzy razy do drzwi opatrzonych trzema różnymi tabliczkami.

Otworzyła Beata i zaprowadziła go do niedużego wesołego pokoju, umeblowanego nowoczesnie i kolorowo.

- Ciociu, to jest Jarek, kolega z klasy - przedstawiła.

Sympatycznie wyglądająca pani w nieokreślonym wieku, pisząca coś przy małym biurku, uniosła nieco okulary i z uśmiechem skinęła głową.

237

- Dzień dobry, dzień dobry. Nie przeszkadzajcie sobie... Nie robię nic specjalnie ważnego.

- My przejdziemy do kuchni, ciociu, musimy pogadać. Kuchnia też miała jeden wesoły kącik.

- Siadaj, to nasz taboret, proszę... W kuchni trwa aktualnie zawieszenie broni, ale lepiej siedzieć na swoim! Wesoło bywa w takich wspólnych chatach! Oho... - wyszła do przedpokoju. Znowu trzy dzwonki. Na progu stanął znany już Jarkowi z widzenia nieciekawym nowy „blondyn Beaty”, z paczuszką ciastek w ręku. Nie był zachwycony widokiem Jarka. Pomilczał i spytał:

- No, jaki masz interes? Po co mnie tropisz?

Jarek uchylił usta, zamknął je, wytrzeszczył oczy. Jego zdumienie coraz mniej bawiło przybyłego.

Wyczuł to i na szczęście powstrzymał się od pytań. Krótko streścił, o co mu chodzi. Bolo zastanowił się i powiedział mrukiwie:

- Domyślam się, o kogo chodzi. Lepiej niech się mały trzyma od nich z daleka. Na razie wykorzystują go pewnie do drobnych robótek ręcznych, może nawet jeszcze nie. Ty się też koło nich nie kręć. Ja to załatwię przy okazji.

- Jak?

- Moja rzecz. Odechce się smarkaczowi przygód.

- Ale...

- Nic się nie bój, moja głowa, żeby z niego łagodnie zrezygnowali.

- Dziękuję ci...

- Drobiazg.

- Zjedzcie jabłka - poczęstowała ich Beata niczym prawdziwa gospodyni. Weszła dopiero pod koniec rozmowy z talerzykiem w ręce. - O, patrzcie, jaki wspaniały śnieg! Ogromne płatki! -

podeszła do okna. - Już nie mogłam się doczekać! Święta będą takie, jak trzeba... Idziesz, Jarek?

- Tak, właściwie się spieszę... Dziękuję! Cześć!

- Cześć - odpowiedziała Beata. Bolo milczał.

238

„A to heca! Ta Beata! Twarda sztuka!” - myślał wykrzyknikami, skacząc w dół po schodach.

Śnieg! A więc perspektywa narciarskich ferii.

Wracał w świetnym humorze. Usiłował sobie wyobrazić, jak też Bolo załatwi tę sprawę. Bał się trochę, żeby za mocno nie nastraszył Bratka, lecz zadowolony był z wyniku „audiencji” u Byłego Łysego Bola. Lepszego sposobu na utemperowanie Bogdana nie wymyśli. Ale ta Beata, no no!

Ktoś cierpi filozoficznie, ktoś pedagogicznie

Matka otworzyła mu drzwi i powiedziała, że Zosia była tu przed chwilą, ma jakiś interes do niego.

Jarek zawrócił, poszedł prosto do Groty. Nie omylił się - dziewczynka znalazła chwilę wytchnienia w przedświątecznym rozgardiaszu, mogła spokojnie uzupełnić notatki w dzienniczku. Powitała chłopca niewyraźnym uśmiechem.

- Wejź, proszę...

- Co słyszeć? - spytał oficjalnie, sadowiąc się na pieńku.

Właściwie nic ciekawego... Nie powinnam ci zabierać czasu! Czy... czy ty masz jakieś kłopoty z Bogdanem? Tak mi się wydaje... widziałam przez okno, jak się kłócicie. Wiesz przecież o cioci

Karolinie - usprawiedliwiała się z rumieńcem.

- Mam trochę kłopotów! - machnął ręką. - Dziwny się zrobił. Nigdy mnie nie uwielbiał, a ostatnio to już zupełnie... Wpadł w kiepskie towarzystwo.

- Powinieneś wymyślać dla niego jakieś rozrywki... żeby nie miał czasu.

- Już coś wymyśliłem - opowiedział jej o Bólu. Ucieszyła się i pomysłem Jarka, i przemianą Bola, ale dalsza rozmowa jakoś się nie kleiła.

- Wiesz, wpadliśmy u Marzenki na pomysł zorganizowania teatrzyku podwórkowego - powiedziała Zosia po chwili milczenia. Ożywiła się. - Małgosia... to znaczy ta wielka lalka, też będzie z nami grała. Może później zaangażujemy także inne kukiełki... Dzieciaki strasznie się zapaliły i już chcą zaczynać. W mieszkaniu na razie, a na podwórko wyjdziemy wiosną... Zupełnie nie mam teraz czasu na organizowanie teatrzyku, święta za pasem... ale przynajmniej pierwszą ogólną naradą trzeba zrobić, bo ekipa straci zapał. Szkoda by było ze względu na Marzen-

240

kę... Czy naprawdę moglibyśmy przyjść do was na godzinę? Stefanek zaprasza, twoja mama też nie miała nic przeciwko temu... ale to wasz pokój. Twój i Bogdana także...

- Co za problem? Przychodźcie - wzruszył ramionami.

- Świetnie! Bo państwo Królikowscy po dzisiejszym popołudniu mają nas chyba dosyć... - westchnęła. - Właściwie powinnam zwołać to zebranie tutaj, w Grocie...

- W Grocie? A po co wszyscy mają o niej wiedzieć? -Jarek wyobraził sobie na przykład Pancernych w tym przytulnym wnętrzu i aż się wzdrygnął.

- Ja też wolałabym ją stałe mieć tylko dla siebie... dla nas, dla Beaty, jeśli będzie chciała... - poprawiła się. -Jestem straszną egoistką!

- Ty? - zaśmiał się szczerze. - Nie gadaj głupstw! Ty jesteś... - urwał, a potem powiedział szybko, marszcząc groźnie brwi: - Nie wolno ci rezygnować z tej Groty, słyszysz? Musisz mieć wreszcie coś tylko dla siebie! Przypilnuję - niepewny swej miny cofnął się nieco w cień, poza krąg lampy. Zosia uśmiechnęła się tak jakoś promiennie, w ciemnawej Grocie pojaśniało. Jarek popatrzył na nią po raz pierwszy uważniej i wydała mu się bardzo ładna. Nie tak wyraźnie, jak Beata czy Gośka, spokojniej, trzeba się przyjrzeć, by to zauważyć. Trzeba widzieć jej uśmiech i wyraz ciemnych oczu.

- Hm... - chrząknął z zakłopotaniem. Czuł, że zagapił się na nią nieprzyzwoicie długo i głupio. Wstał z pieńka, choć miał ochotę posiedzieć tu jeszcze. - No, to ja lecę!... Zróbcie u nas naradę, kiedy chcecie! Cześć! - powiedział trochę zbyt dziarsko i szybko wybiegł z piwnicy. Nie zdążyła mu odpowiedzieć.

Ostatnia przedświąteczna niedziela była pogodna, zachęcająca do wypoczynku poza miastem, ale trzeba było biegać po sklepach, bo przywieziono świeży towar. Jarek sokolim okiem wypatrzył transport szynek i połądwic do

16 - Klub Kosmohikanów

241

Delikatesów i ustawił się w krętym ogonku, wysyłając Stefanka na poszukiwanie matki błądzącej w innej części dzielnicy. Kolejki do rozmaitych stoisk mieszały się co chwila i Jarek w pewnym momencie znalazł się obok Zosi zdążającej do działu ogólnospożywczego. Niemal w tym samym momencie wyrosła przy nich Beata, z wdzięcznym uśmiechem udając, że stała tu od początku świata i nikt nie ma prawa wyrzucić jej z kolejki. Sapiący za Jarkiem obładowany siatkami jakiś ojciec rodziny patrzył na nią z przyjemnością i nie zaprotestował. Dopiero gdy dołączył do nich Opalek, powstał hałas.

- Przephaszam, ja stoję po jarzyny! - oznajmił Zbyszek z godnością. - Przeszedłem pohozmawiać! O, tam jest moja mama!

Szum ucichł. Zbyszek od stóp do głów pałał chęcią podzielenia się z przyjaciółmi jakąś sensacyjną wieścią, oczy mu błyszczały.

- Nie uwierzycie! - zaczął zdumionym półgłosem. -Cichy Bolo w Łysym Kąciku... tfu! odwhotnie! Ale na-phawdę łysy. Wczohaj tam wpadłem przypadkiem, a on bhał ciastka na wynos! Gdyby się nie odezwał do bufetowej, nigdy bym go nie poznał!

- Gardło cię boli? - spytał Jarek widząc jego wysiłki.

- Nie, tylko pomyślałem sobie, że była jakaś dhaka i Bola milicjanci ostrzygli, a po co hobić plotki
- wskazał głową tłum dokoła - jeśli się nie zna phawdy?
- Nie było żadnej draki - uśmiechnęła się Beata. - Bolo od stycznia będzie pracował w Befamie. Ostrzygł się, bo tam nikt go nie będzie podziwiał.
- W Befamie? - zdębiał Opałek. - Bolo będzie phaco-wał? Hany humszyk! Ale co on będzie hobił? Skończył tylko podstawówkę.
- Będzie pracownikiem fizycznym i równocześnie nauczy się zaocznie w technikum, tylko się jeszcze waha, w którym... Co się tak dziwicie? - trochę ją to zniecierpliviło. - Każdy sobie w życiu radzi, jak może.

242

- Pewnie - mruknął Jarek. Opałek na długo zamilkł z wrażenia, kręcił głową, a gdy byli już wreszcie w pobliżu lady, posmutniał i westchnął:
- Ech, dziwny ten świat! Nie ma nic thwałego! - matka zawołała go gniewnym głosem, przekrzykując jakimś cudem gwar w sklepie, znikł więc Jarkowi z oczu. Ale po południu zjawił się u Koniorów, tak mu ta sprawa nie dawała spokoju.
- Dla Bola dobrze, że oprzytomniał... - dowodził - ale przedtem też był pożyteczny! Innym się wydawało, że są od niego lepsi, bez dużego wysiłku, a tehoz będą się musieli stahać, żeby być! Chciał z kimś rozsądnym a równym wiekiem porozmawiać poważnie o ludzkiej naturze i innych dziwach przyrody lub choćby pomilczeć wspólnie na te tematy, ale źle trafił. Pani Awiejska perorowała w kuchni, pani Dońska grała z babcią w halnę i trzeba im było donosić do pokoju kawę z ciastkami, inżynier konferował przez telefon z jakimś swoim kolegą, przez którego plan roczny w fabryce nawalał, w pokoju chłopców trwała burzliwa narada entuzjastów teatrzyku podwórkowego. Jarek ubrał się i odprowadził go okrężną drogą do domu, wymienił kilka uwag ogólnych, pomilczeli. Trochę Opałkowi ulżyło.

Wracając Jarek natknął się pod bramą na nikotynowego znajomka Bogdana.

- Czekasz tu na brata? - spytał go marszcząc brwi.
- Czekam.
- No, to idź do domu, Bogdana nie ma.
- Eee... wiem, że jest!
- Kiedy ci mówię, że nie ma, to nie ma! Zjeżdżaj! Mały odsunął się na brzeg chodnika, ale nie odchodził.

Krzywił się ironicznie, niedowierzająco.

- A ja i tak poczekam.
- No, to czekaj sobie do rana. Bogdan nie wyjdzie! Jarek pognął do domu wielkimi susami, żeby uprzedzić

Bratka. Trafił dobrze, właśnie Bogdan w przedpokoju

243

pytał ojca o pozwolenie wyjścia na chwilę z Witkiem w sprawach Pancernych.

- Tylko na pół godzinki! -zapewniał przekonywająco. Ojciec, udobruchany jego dotychczasowym zachowaniem na pokucie, już miał przyzwalająco kiwnąć głową, ale Jarek wtrącił prędko:
- Spotkałem teraz Witka na schodach! Kazał ci powiedzieć, że nie musisz wychodzić, bo on już tę waszą sprawę załatwił.
- Ale ja muszę się dowiedzieć, jak ją załatwił! - bronił się jeszcze Bogdan grożąc mu wzrokiem.
- E, już się nie dowiesz. Witek właśnie wychodził gdzieś z ojcem.
- Poczytaj sobie coś w takim razie, jutro się dowiesz. Albo pobaw się ze Stefankiem, ma znudzoną minę -poradził pogodnie ojciec, nieświadomy dramatyzmu sytuacji.

Wściekły Bogdan usiadł na tapczanie z „Tygrysem” na kolanach, piorunując spojrzeniami porządkującego szufladę Jarka. Milczał, raz tylko warknął:

- Ja ci się kiedyś odwdzięczę, ty przybłodo! Zobaczysz! Jarek opanował się i powiedział w miarę łagodnie:
- Zobaczę, trudno. Wiem, co robię!

Stefanek wodził wzrokiem od jednego do drugiego, bał się pytać, o co poszło. „Przybłoda” - to

zabrzmiało ostro. Zazgrzytało. Zawstydził się za brata, łzy stały mu w oczach, atmosfera była jednak tak napięta, że nie miał odwagi wynagrodzić jakoś Jarkowi tej zniewagi, załagodzić jej. Rozgadał się dopiero, gdy mama Sonia przyniosła do pokoju chłopców czystą bieliznę i układała ją w szafie. Opowiedział o teatralnych pomysłach Marzenki i całej „truby”, jak określił trupę. Bogdan zgasił go brutalnie:

- Dobrze dla przedszkola! My się innymi sprawami zajmujemy!

- Jacy my? - spytał czujnie Jarek.

- Nie twoja rzecz! Pomyśl sobie, że Pancerni!

244

- Ja też jestem Pancerny! - przypomniał Stefanek. - I mogę cię naganie, bo nie chce ci się wykonywać zadań! Witek i ja...

- Patrzcie go! Wiesz? Jesteś Pancerny-mizerny! Pan-cerny-mizerny! - strasznie mu się to spodobało i dokuczał małemu przez resztę wieczoru.

- Przystaniecie wreszcie, czy nie! - zdenerwował się w pewnej chwili ojciec. - Spokoju nie ma w tym domu!

Umilkli. Cała rodzina zaczęła chodzić na palcach, inżynier rzadko tracił panowanie, efekt był piorunujący. Niemilo skończył się ten tydzień.

Czarny tydzień Jarka

Następny, ostatni tydzień przed świętami, również nie zapowiadał się wesoło. Wszyscy byli zmęczeni i podenerwowani. Pani Leokadia niemal bez przerwy mówiła o rychłej zmianie adresu, chociaż do wiosny jeszcze daleko, a kto wie, czy obiecany na kwiecień nowy budynek spółdzielczy nie zostanie oddany do użytku na przykład w czerwcu? Pilnie studiowała wszelkie ogłoszenia i biuletyny spółdzielni, śledziła też w prasie i telewizji dyskusję o bolączkach i perspektywach budownictwa mieszkaniowego. Co godzinę mniej więcej jej westchnienia zmieniały intonację, z młodzieńczo-entuzjastycznej („nareszcie się wyprowadzam, zacznę nowe życie, a na to nigdy nie jest za późno!”) na posepnie-żałośliwą („tak, tak, muszę się wyprowadzić z własnego domu...”) przy czym zgodnie z jej grudniowymi humorami przeważała ta druga. Już w poniedziałek wywołała awanturę na ten temat, gdy syn w ramach gwiazdkowego prezentu chciał się przyczynić do uzupełnienia jej wkładu pieniężnego. Obie kobiety popłakały się, inżynier wyszedł na spacer trzasnawszy drzwiami. Drobniejszych scen babcia też nie szczędziła rodzinie, nie zważając na to, że syn ma kłopoty w fabryce, a synowa ciężko pracuje w domu przed swymi pierwszymi świętami w tak dużym rodzinnym gronie. Matka nie mogła kiepsko wypaść jako gospodyni. Pochłonięta sprzątaniami, przeliczaniem złotych na kHogramy i litry, studiowaniem książki kucharskiej i innych przepisów, kontrolowała tylko pobieżnie sprawy szkolno-domowe młodszych chłopców, Jarka ufnie pozostawiając samemu sobie. Nie sprawiał zresztą rodzinie jak dotąd kłopotu.

A dla Jarka nastał prawdziwy „czarny tydzień”. Włókł się ponuro, stopniowo odbierając chłopcu resztki humoru i nadziei na lepszą przyszłość. Wydawało mu się, że nawet

246

przedmioty martwe czyhają na jego zgubę, a przynajmniej kompromitację. Na przykład taki głupi epizod przy wtorkowym śniadaniu: zapiszczał gwizdek czajnika, chcąc wyręczyć matkę sięgnął tak niezgrabnie, że zwałił go na podłogę z wielkim hukiem. Nic się czajnikowi nie stało, nawet woda się nie wylała i dopiero przy wyciąganiu korka gorący strumień oblał chłopcu spodnie. A zaraz potem drżącą ze złości ręką przewrócił napełnioną już do połowy szklankę i znów trzeba było się wycierać. Niby drobiazg, a zepsuł humor na cały dzień, bo Bratki dusiły się ze śmiechu, a pani Leokadia wyrażała współczucie w tak komiczny sposób, że nie wiedział, czy nie kpi z jego niezgrabiarstwa. Przebierając się w inne spodnie rozdarł podszewkę na prawym kolanie, trochę się w niej zaplątał, a czas leciał. Na złość nie wiedzieć komu nie pędził specjalnie do szkoły, no i oczywiście spóźnił się, trafiając na zły humor chemika, który na pierwszej lekcji był także fizykiem, dopiero na następnej wykładając swój właściwy przedmiot.

- A, witamy pana! Proszę bliżej, pod tablicę, niech się pan nie trudzi do ostatniej ławki - rzekł zjadliwie nauczyciel i udowodnił Jarkowi, że ma poważne braki w materiale.

Potem na którejś z przerw Jarek miał sprzeczkę z Heń-kiem. Do rękoczynów właściwych jeszcze

nie doszło, ale zaczęli się lekko poszturchiwać w pechowym momencie (Heniek w ogóle był w tym roku klasowym pechowcem) i przyuważyła ich dyżurująca nauczycielka, znana w szkole propagatorka dobrych manier. Nawet te lekkie szturchnięcia bardzo jej się nie podobały. Zaprowadziła obu chłopców do dyrektora, „bo dają zły przykład młodszym, w szkole szerzy się niemal bandytyzm!”, i dyrektor musiał ich ukarać drobną pracą na dużej pauzie.

We środę nie bardzo udało się Jarkowi błyskawiczna kartkówka z matematyki, specjalność Wróblicy, a potem skompromitował się przy deklinacji rzeczownika „gorod-
247

niczyj” na ostatniej lekcji. W domu dla urozmaicenia dnia zepsuł elektroluks chcąc pomóc matce w sprzątaniu. Przed chwilą miała znowu krótką sprzeczkę z teściową, ofuknęła więc syna dosyć ostro, co bardzo wziął sobie do serca. Poszedł do pokoju chłopców, zostawiając elektroluks na środku przedpokoju, zaszył się w rogu kanapy z książką w rękę ignorując życie rodzinne tudzież odrabianie lekcji. Inżynier przepadł gdzieś na całe popołudnie i wieczór, nikt chłopców nie pilnował. Bogdan skorzystał z tego skwapliwie i wybył na dłuższą eskapadę, wrócił jednak w fatalnym humorze. Zbił Stefanka, Jarkowi dokuczał, jak mógł. Agresywnością tuszował niemęską chęć popłakania sobie w kącie, co nietrudno było zauważyć. Musiał doznać jakiegoś zawodu lub przykrości. Obserwacja Bratka przywróciła Jarkowi jaką taką równowagę, odsunął swoje złe humory. Może mały oberwał od Bola? Nie wyglądał na poturbowanego, zresztą Bolo nie zniżałby się do bicia słabego smarkacza, może pognebił go w inny sposób, psychicznie?

Wyczekał spokojniejszego momentu w pokoju i zagadnął neutralnie o sprawy Pancernych.

- Nie nudzimy się! - odburknął Bogdan.

- No to fajnie...A w twoim nikotynowym towarzystwie też ci tak dobrze idzie?

- Co ci do tego? Pewnie, że idzie... ale pchać się do nich na siłę nie muszę, wiesz? - to ostatnie zdanie upewniło Jarka, że faktycznie coś tam się Bratkowi nie udało. Nie męczył go już wypytywaniem, porozmawiał ze Stefankiem o okrętach i statkach rybackich.

- Tyf Jarek, czemu cię interesują moi znajomi? - w Bogdanie po jakimś czasie ocknęła się podejrzliwość.

- Tak się spytałem! Nie wolno? - Jarek obojętnie wzruszył ramionami, nie patrząc na niego.

- Uważaj! Bo jak ty mi będziesz chciał tam zaszkodzić, to ja ci też zaszkodzę!

- Znam ich czy co?

248

- Uważaj, mówię ci!

Stefanek przytomnie zagadał o projektowanej premierze teatryku podwórkowego (jeszcze nie zdecydowali się na repertuar) i reszta wieczoru przeszła bez większych zakłóceń. Podejrzliwość Bogdana miała oczywiście podstawy, Jarek wołał już więcej w tym tygodniu Bratka nie zaczepiać. Chciał się skontaktować z Bólem i spytać, czy już rzeczywiście zadziałał, ale były „postrach dzielnicy” nie miał czasu na błahe spotkania, wyręczył się Beatą.

- „Z małym załatwione”, tak kazał mi powiedzieć. Nie wiem, o co chodzi, on mi się nie zwierza - zakomunikowała mu w czwartek, ostatniego dnia w szkole przed feriami.

Nie był to dla Jarka miły dzień; Wróblica przyniosła poprawione kartkówki i zdziwiła się publicznie, co mu się stało, że tak kiepsko wypadł tym razem. Miała o nim dotąd lepsze zdanie.

Augusta Mocnego też nie zachwyił... Po ostatniej lekcji odważył się nieco odetchnąć, przynajmniej szkolne kłopoty ma za sobą na całe dwa tygodnie.

Chłopcy z siódmej B urządzili w parku za rzeką pożegnalną bitwę śnieżną, w której za przeciwników mieli połączone siły szóstej A i piątej C Jarek chętnie wziął w niej udział dla oderwania się od smętnych myśli, dosyć się nawet udzielał i awansował na dowódcę odcinka.

Bogdan walczył po przeciwnej stronie i bardzo chciał go trafić, do bezpośredniego starcia jednak nie doszło. Jarek w pewnym gorącym momencie zauważył kątem oka, że Bratek porzucił przepisowe formy walki na dystans i tarza się po brudnym śniegu z jakimś kolegą. Dopiero gdy wstali na chwilę, by się ponownie rzucić na siebie, poznał owego „nikotynowego” smarkacza.

Widać było, że niedawni przyjaciele leją się teraz całkiem serio.

Bitwa trwała do zmroku. Jarek z Bogdanem wrócili do domu osobno, jednakowo niedokładnie

otrzepani i mo-krzuteńcy, głodni jak wilki. Tak zwykle cierpliwa matka zrobiła im ostrą wymówkę. W domu nic się nie zmieniło -atmosfera napięta. Chłopcy cichutko zamknęli się po
249

obiedzie w swoim pokoju, grzecznie odkurzając wszystkie książki i porządkując szafę. Tylko do Stefanka nikt nie miał pretensji, mógł się swobodnie poruszać po całym mieszkaniu. Pani Leokadia zaszczyliła go wyborem na słuchacza swych cennych uwag o życiu w idealnej rodzinie, jaką ona sobie zawsze wyobrażała. Na szczęście wpadła z życzeniami świątecznymi wierna pani Dońska, co przynajmniej na wieczór wprawiło babcię w lepszy humor. Pozwierała się przyjaciółce, ponarzekła ogólnie na grudniowy ciężki los i pochwaliła się nową odmianą konfitur, jakie tylko ona potrafi dobrze przyrządzić (rzeczywiście, na tym polu była bezkonkurencyjna, chłopcy docenili to należycie wykradając ze spiżarni jeden spory słoik, który chowali na półce za książkami). Przyszła też na minutkę z życzeniami Beata i udało jej się wywołać uśmiech na ponurej ostatnio twarzy pana Koniora. Dzień zakończył się całkiem znośnie.

Pierwszy ranek bez szkoły upływał na dalszym sprzątanu, bieganiu po drobniejsze sprawunki, trzepaniu chodników i froterowaniu podłóg. Matka sprawnie zorganizowała pracę męskiej ekipy, efekty było widać z minuty na minutę. Dopiero koło południa Pancerni wyskoczyli na podwórko w celach rekreacyjnych i hałasowali potężnie, nadrabiając zaległości. Jarek okładał swoje książki nowym papierem, niektóre raz jeszcze przekartkowując z zainteresowaniem. Nie zwrócił uwagi na podejrzaną miny Bratków, gdy wrócili na obiad. Bogdan sztucznie podkreślał swój świetny humor i energię życiową, a Stefanek był markotny, przygaszony jakiś. Obydwaj unikali Jarka, omijali go wzrokiem. Bogdan zaraz po obiedzie pobiegł do Witka, najmłodszy udawał, że interesuje go przeczytany już wielokrotnie numer „Płomyczka”. Po jakimś czasie nie wytrzymał, zajrzał do kuchni, gdzie Jarek dyżurował nad zlewozmywakiem, i spytał niewyraźnie: - Nie idziesz dzisiaj do Zosi?... Lepiej idź... - dodał i pobiegł do mamy Soni.

250

Zamyślony Jarek nie wyczuł należycie osobliwej intencji Jeg^o głosu, nie spieszył się ze zmywaniem, potem przejrzał jeszcze bieżącą prasę, porozmawiał z ojczymem o polskiej kadrze narciarskiej i dopiero o zmroku wybrał się do Zosi. Właściwie nie miał w planie tej wizyty, wziął więc ze sobą „Torpedę w celu” Romanowskiego, ostatnią z książek obiecanych kiedyś dziewczynce. Poszedł prosto do Groty, może Zosia już też jest wolna na dzisiaj.

Była w Grocie, owszem. Stała bez ruchu na środku, patrząc na walający się po podłodze pokreślony, porysowany pamiętnik. Stołu już nie było, tylko przewrócona skrzynia, pieńki zniknęły, firanki w oknie miały kolorowe ciapki. Z lampy zdjęto klosz, pęknięty prawie na pół. Z zapasowej puszkę na półeczce ciekła wąska strużka nafty brudząc papierowe wycinanki na ścianie. Jarek potknął się o porzucony na progu kluczyk, niepotrzebny już, bo zamek był wyłamany. Na wewnętrznej stronie drzwi wyrysowano niemożliwy bohomas i pod nim napis węglem: „Ładna parka z Zosi i Jarka”.

- Co to... Podejrzewasz kogoś? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Zosia bezradnie rozłożyła ręce nie odwracając się. Nie mogła mówić.

- Domyślam się... - szepnął Jarek. - Zaczekaj! - wyskoczył z Groty i pognął prosto do domu.

- Co się stało? - spytała matka otwierając mu drzwi. Odsunął ją delikatnie, bąknął:

- Przepraszam... zaraz to wyjaśnię... - i wpadł jak bomba do pokoju chłopców. Bogdan czytał książkę. Do-skoczył do niego, rzucił książkę na tapczan i potrząsnął Bratkiem, aż mu zadzwoniły zęby. - Ty to zrobiłeś, tak? Ty i twoi zakichani Pancerni!

- O... o... odczep się!...

- Idź tam zaraz i przeproś ją! W tej chwili! Słyszysz, głupi smarkaczu?! Bo stracę cierpliwość...

- I co mi zrobisz? - Bogdan usiłował jeszcze skrzywić

251

się ironicznie. - Nie jesteś tutaj taki ważny, ty... przybłądziuchu!

Jarek stracił panowanie nad sobą. Trzasnął Bratka na odlew w twarz, potem jeszcze i jeszcze, walił, gdzie popadło. Czerwone płatki latały mu przed oczami.

- Jarku! Jak możesz! -usłyszał przerażony głos matki. Ojczym oderwał go od Bogdana, matka

starala się zatamować Bratkowi krew z nosa.

- Bandyta! Bandyta! - piszczała histerycznie pani Leokadia. - Od początku miałam pewne podejrzenia!

Stefanek ryczał w kącie za szafą.

- Może się jednak wytłumaczysz? - krzyknął ostro ojczym zaciskając uchwyt.

- On niech się tłumaczy! - Jarek znów chciał skoczyć do Bogdana. Ten chował się za ojca i wołał połykając łzy:

- Onjesttuobcy, anajwięcej sierządzi! Wlej mu, tato! Jarek miał dość. Wszystkie złe nastroje z ostatnich

tygodni zsumowały się nagle. Wyrwał się ojczymowi i wypadł z mieszkania.

I

Męska decyzja

Postanowił pojechać do Warszawy. Zaraz, tak jak stał, bez bagażu i pieniędzy. Może uda mu się przebyć trasę na gapę. Tam Kosmohikanie jakoś go przechowają, znajdą kryjówkę. Potem zacznie gdzieś pracować, odwdzięczy się Borzęckim, przyśle matce prezent za pierwszą zarobioną pensję i koniec kontaktów z rodziną Koniorów. Głupi był myśląc, że się już wszystko ułożyło. To nie jest jego prawdziwy dom...

Nie, nie będzie rozczulał się nad sobą. Mało to ludzi na świecie znajduje się w podobnej sytuacji? Albo jeszcze gorszej - na przykład z jakimś kalectwem czy chorobą na dodatek. On jest młody, zdrowy, silny, sam ułoży swoje życie. Pokaże wszystkim, co potrafi.

Twardo wkroczył na dworzec. Pociąg odjeżdżał dopiero koło północy, za pięć godzin z hakiem. Ma czas, poogląda sobie peron. Jednak mróz szybko zapędził go do zadymionej poczekalni. Tu znowu po półgodzinnym łażeniu z kąta w kąt wzbudził zainteresowanie milicjanta. Wołał więc zwiac, zanim ten ruszył w jego stronę. Pokręcił się wobec tegopo placu przed dworcem. Patrzył na wystawy sklepów przystrojone w świąteczne choinki i świecidelka. Ludzie dokoła spieszą się, objuczeni pakunkami, każdy myśli o świętach, o swoich bliskich... Tylko on nie ma domu. Trudno. Czas włócił się niemiłosiernie. W miarę jak upływał, zapal Jarka do podróży przygasał. Hm... czy koniecznie musi jechać dziś, na gapę, ryzykując przyłapanie i przymusową odstawkę do Koniorów? Może lepiej będzie przenocować gdzieś, z zachowaniem ostrożności. Na przykład w Grocie. A jutro pożyczyć od kogoś pieniądze na bilet. Od Zosi? Ona mu pożyczy, na pewno, tylko może nie mieć takiej sumy po świątecznych zakupach... Chyba żeby inni

253

też pomogli, Zbyszek, Beata... przekona się, czy ma tu w Bielsku prawdziwych przyjaciół.

Spodobał mu się ten nowy projekt, zaraz wcielił go w czyn. Wrócił na Kamienną okrężną drogą, wykorzystując najciemniejsze zakamarki. Przekradł się ostrożnie przez podwórko, na palcach wbiegł po schodach oficyny i zastukał do drzwi Majów, zamiast zadzwonić, jak zwykle. Otworzyła mu Zosia.

- To ty... Pan Konior był tu przed chwilą, szukał cię...

- Już był, to dobrze.

- Powiedział, że skoczy na dworzec...

- Aha!... Zawiedzie się - mruknął Jarek niewyraźnie. - Mogę wejść na chwilę? Albo lepiej chodźmy do Groty.

- Tam też był, z Bogdanem.

- Aha! Wyjaśniło się!

Zeszli do piwnicy. Grota była już jako tako wysprzątana, ale o dawnej przytulności nie mogło być mowy.

- I drzwi wymyte... Widzieli ten porządek?

- Sprzątaliśmy razem. Bogdan przepraszał... Pan Konior zbił go chyba? Miał podbite oko i spuchniętą twarz. Po co zaraz bić? Ostatecznie nic się wielkiego nie stało. Zostałam ukarana za... egoizm.

- Nie gadaj głupstw!... A Bogdan oberwał ode mnie, należało mu się też za inne sprawki! Nie mam wyrzutów sumienia.

Stali pod ścianą, choć pieńki poustawiane już były na dawnych miejscach.

- Twój ojczym obiecał naprawić zamek... - odezwała się Zosia po chwili milczenia.
- Myślę! - burknął. - A pamiętnik? Da się go uratować?
- Raczej nie... Podopisywali głupie uwagi... Witek, zdaje się, miał najdowcipniejsze pomysły.
- Na pewno to wszystko sprawka Bogdana. Mieliśmy porachunki ze sobą o to jego podejrzone towarzystwo... i w ogóle.
- Twój ojczym...

254

- Nie rozmawiaj ze mną o moim ojczymie ani o nikim z tak zwanej rodziny! - powiedział ostro, nie patrząc na dziewczynkę. - Zrezygnowałem z ogniska domowego.
- Jak to?
- Jutro jadę do Warszawy, mam tam przyjaciół. A dzisiaj będę tu spał. Znalazłby się u ciebie jakiś niepotrzebny koc?
- Przecież tu nie ma łóżka! I dlaczego uciekłeś? Zastanów się!
- Nie ma o czym gadać, postanowione! Więc dasz mi koc? - mówił nieprzyjemnym tonem. - Łóżko niepotrzebne, przesiedzę. Tylko marznąć mi się nie chce nad ranem.
- Przyniosę ci... ale...
- Powiedziałem: nie ma żadnego ale.
- Masz taką wspaniałą mamę... i... i pan Konior też cię lubi... - Zosia nie traciła jeszcze nadziei, głos jej drżał lekko. Jarek milczał z gniewnie zmarszczonymi brwiami, zrozumiała wreszcie, że się uparł i nie ma co przekonywać go o zmianie decyzji. Przynajmniej teraz. Jutro może będzie miał inny nastrój. Po dłuższym milczeniu przypomniała sobie żelazne łóżko wyrzucone kiedyś spod siódemki.
- Gdzieś tu jest na pewno w piwnicy... Przyciągnijmy je i rozłożymy. Może się zmieści...
- Oni mają piwnicę od frontu. Nie chcę się kręcić po podwórku.
- Można przejść tędy korytarzem... Mam latarkę.
- Zostawisz mi ją na noc? Może z jakąś książką, co?
- Dobrze... Przyniosę też coś do jedzenia i herbatę w termosie.
- Dziękuję, odwdzięczę się kiedyś... - bąknął niewyraźnie. - Pomożesz mi jeszcze jutro w uzbieraniu forszy na bilet?
- Pomogę... Skoczę teraz po koc i wałówkę, potem ciocia Weronika zaśnie i nie będę mogła tłuc się w kuchni...
- A ja tymczasem zbadam piwnice. Poszukam łóżka...

255

- Zaraz wrócę... Tobie ucieczka uda się na pewno lepiej niż Marzence! - dodała z niespodzianą gorzką ironią i szybko wybiegła z Groty.

Jarek poczerwieniał aż po korzonki włosów i spociał się, jakby oblano go wrzątkiem. On i sześćioletnia smarkuła! Co za porównanie! Ta Zosia jednak chwilami nie wie, co mówi! Powinien się obrazić... On i mała Królikowska!

- Ja mam poważne powody, a Marzenka po prostu narozrabiała i zwała przed odpowiedzialnością! - powiedział półgłosem do ściany. Musiał to powiedzieć, bo poczuł się mniej pewny siebie, ale słowa „zwała przed odpowiedzialnością” pogłębiły tylko jego niepokój. Czy aby na pewno jego męska decyzja jest czymś więcej, niż prymitywną ucieczką z trudnej sytuacji, tak zwanym najprostszym wyjściem? „Bzdura! Ja nie uciekam po prostu... ja protestuję!” - usiłował pocieszyć się w myślach. Ruszył z latarką na zwiedzanie podziemi Kamiennej 7, przywołując po drodze wszystkie zapamiętane rodzinne sytuacje, przeciw którym miał właśnie zaprotestować czynnie. Wszystkie spięcia wywołane przez panią Leokadię. Wszystkie starcia z Bogdanem. Wszystkie zmiany wyrazu twarzy i intonacji głosu ojczyma, z jakimi zwracał się do niego i synów... Tu musiał przyznać, że było tych różnic niewiele... i nie zawsze na korzyść Bratków... Tak samo postawie matki wobec niego nie można właściwie nic zarzucić -oprócz tej jednej jedynej niespodzianki matrymonialnej w środku wakacji, drobiazg!

Skrzywił się brzydko, wzruszył ramionami i postanowił przerwać te jałowe rozmyślania. Decyzji

nie zmieni...

Latarka wydobywała z ciemności zarysy poskręcanych rur instalacyjnych, tajemnicze zakamarki, stare graty, porzucone tu i tam pod ścianami, opatrzone solidnymi kłódkami drzwi do poszczególnych piwniczek, pełne lub pozbijane ze skrzyżowanych palików. Na chwilę zawładnęła nim swoista atmosfera podziemi, zaczął sobie wyobrażać rozmaite mrozące krew w żyłach woj

enno-szpiego-

256
wsko-przemytliczo-bandyckie przygody, o jakich marzył w dzieciństwie. Nagły ruch tuż nad głową, wśród rur, omal nie wyrwał mu z ust hańbiącego okrzyku trwogi. Przywarł do wilgotnej ściany i zapuścił między rury strużkę światła. Błysnęły zielone kocie oczy.

- Tfu- splunął ze złością. - Głupie kocisko! Niepoważny dziecinny nastrój prysnął, zawstydził się sam przed sobą. Trzeba wracać do twardej rzeczywistości. I stanąć na wysokości zadania.

Znalazł wreszcie to łóżko oparte niedbale o ścianę za drzwiami wiodącymi na główną klatkę schodową. Oświetlił je dokładnie, potem zgasił latarkę i sterczał tak w ciemności dłuższą chwilę, nie bardzo wiedząc, co właściwie powinien teraz zrobić. Lista krzywd, jakie z wyroku losu przypadły mu w udziale na tak zwanym łonie nowej rodziny, wydała mu się nagle dosyć mizerna. Nie czuł już tak silnej potrzeby „odegrania się”, „pokazania IM”, podkreślenia swej roli Odepchniętego. Coś tu zawiodło w jego rozumowaniu. Ta „męska decyzja” zbyt dziecinnie jednak wygląda... Tracił łóżko kilkakrotnie nogą, aż zaczęło obsuwać się po ścianie. Poprawił je, mruknął pod nosem:

- Ktoś tu pewniemyśli, że ja się boję pokazać w domu! - i powoli zawrócił do Groty. Znalazionym po drodze węgielkiem wypisał koślawo na świeżo oczyszczonych drzwiach:

„Wracam. Dziękuję ci. Jarek. Zmyj to jutro”.

Spieszył się bardzo, wołał teraz uniknąć spotkania z Zosią. Biegając przez podwórze tłumaczył się w myślach, że zmienia decyzję, gdyż chce wystawić matkę (i resztę Koniorów) na jeszcze jedną próbę Pokojowego Współistnienia, ale w głębi ducha zaczął podejrzewać coraz wyraźniej, że to właśnie dla niego nadchodzi czas Próby Dorastania.

17 - Klub Kosmohikanów

Spis treści

Wakacje skończone.....	5
Klub Kosmohikanów.....	9
Ładnie się zapowiada.....'	12
Rozpoznanie-może być interesująco.....	16
Klub klubowi nierówny.....	21
„Nowego” życie nie pieści.....	28
Marek?.....	33
Sensacja w siódmej B.....	38
Niby nic-czyli życie rodzinne.....	44
„To nie sklep z zabawkami”-czyli życie klasowe.....	49
Ból głowy, problemy alpinistów i zaczarowany książkę Piknik.....	53
Czyżby jednak sprawa sercowa?.....	60
Tydzień awantur.....	68
Tydzień nie tylko awantur-także informacji	77
Pryskają złudzenia, dom trzeszczy w posadach.....	84
Proza życia i tajemniczy telefon.....	89
Galopujące sensacje.....	95
Kaprys Łysego Bola.....	102
Blask srebrnego ekranu i prawdziwe ludzkie kłopoty.....	106
Bolo czuwa, inni też działają.....	114
Plany się chwieją, poważnieją rozmowy.....	121
Sytuacja dojrzewa.....	130

Nowe plany, tajemnice podwórkowe.....	137
Nie wszystkie kawały bywają udane.....	144
Ktoś ma hobby, ktoś nieczyste sumienie.....	152
O losie dobroczyńców ludzkości i wzajemnym zaufaniu.....	160
Nerwy i szkolna rzeczywistość.....	168
Znów samo życie.....	174
Oj, ludzie, ludzie.....	179
Rozmówki domowe.....	185
Braterskie pochody, ojcowskie oko.....	190
Domowy bigos na sucho oraz grudniowe męskie problemy	196
Także w szkole grudzień zapoczątkowały życiowe kłopoty.....	200
Dużo radości, trochę poszlak.....	206
Marzenka staje się ważna	214
Znowu niezłe perspektywy.....	221
258	
Owocny spacer i tajemnica Marzenki.....,*227	
Sposób na Bratka......II.....*,234	
Ktoś cierpi filozoficznie, ktoś pedagogicznie.....	240
Czarny tydzień Jarka.....	246
Męska decyzja	253

„Czytelnik”. Warszawa 1986. Wydanie II. Nakład 40 320 egz. Ark. wyd. 11,4; ark. druk. Papier piśmienny sat. III 65 g, rola 52 cm. Druk ukończono w styczniu 1986 r. Szczecińskie Zakłady Graficzne Zam. wyd.,439;.. druk..«382/11,10/84/11^ Z-103 Printed in Poland

-